



Agnieszka Janiszewska

OWOCE  
ZATRUTEGO  
DRZEWA Tom II

zaczytani

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

AGNIESZKA JANISZEWSKA

OWOCE  
ZATRUTEGO  
DRZEWA

TOM II

**zaczytani**



# ROZDZIAŁ 1

*Droga Kuzynko Kingo,*

*przypuszczam, że powinienem na wstępie napisać, jak bardzo zaskoczyły mnie wieści na Twój temat. Jak bardzo jestem wstrząśnięty, zasmucony, a do tego pełen niepokoju o Twój los. Taką zapewne postawą powinien się wykazać dobrze wychowany mężczyzna, dżentelmen w każdym calu – jak by powiedzieli Anglicy. Ja jednak – jak Ci zapewne wiadomo – nigdy nie miałem pretensji do bycia dżentelmenem, a kwestię mojego dobrego wychowania lepiej w ogóle pominę. Nie znaczy to, broń Boże, że Twój los jest mi obojętny, że nie obchodzi mnie, co się z Tobą dzieje. Mówiąc wprost, nie czuję się jednak zaskoczony. Wiadomość o tym, że wyjechałaś, że próbujesz ułożyć swoje sprawy jak najdalej od mojej rodziny, nawet odrobinę mnie nie zdumiała. Oboje wiemy, w czym rzecz, więc daruję, zarówno Tobie, jak i sobie, rozpisywanie się na ten temat. Chyba podświadomie zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później do tego dojdzie, tym bardziej że nie brak Ci odwagi, determinacji i zawsze potrafiłaś walczyć o swoje. Nie byłem tylko pewien, w jaki sposób i kiedy to przeprowadzisz. Żałuję, że nie było mnie w tym czasie w Warszawie, bo pomógłbym Ci w tej przeprowadzce. Tak jak żałuję,*

*że wcześniej nie dość zdecydowanie stawałem w Twojej obronie. A właściwie – nie owijając w bawełnę – nigdy tego nie uczyniłem. Zawsze wolałem się wycofać, znaleźć się możliwie najdalej od wszelkich domowych konfliktów, kiedy mogłem, uciekałem gdzie pieprz rośnie. Tak mi było łatwiej, wygodniej. Nie jestem z tego dumny i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.*

*Być może zaczęłaś już przypuszczać, że o Tobie zapomniałem. Minęło przecież dobrych kilka tygodni, odkąd przeprowadziłaś się do Krakowa. Ja jednak dowiedziałem się o tym stosunkowo niedawno. Ojciec z sobie znanych względów zwlekał, aby mnie o tym powiadomić. A kochana mama i siostra także – jak się zapewne domyślasz – się do tego nie kwapiły. Lecz mniejsza o to, mniejsza o nich wszystkich. Gdy tylko skończę tę praktykę i wrócę do kraju, możesz być pewna, że pierwsze kroki skieruję do Krakowa.*

*Bądź zdrowa, Kuzynko, i jeśli znajdziesz odrobinę czasu, napisz mi choć parę słów o sobie. Rozumiem, że jesteś zajęta, ale chciałbym z pierwszej ręki, u samego źródła, dowiedzieć się czegokolwiek o Twoim nowym życiu.*

Zbyszek

*Drogi Kuzynie,*

*list Twój sprawił mi prawdziwą radość. Nie winię swojego ojca o to, że zwlekał z wiadomościami na mój temat. Przypuszczam, że nie chciał mnie w tym wyręczać. Wiedział przecież, że korespondujemy ze sobą, a zatem miał pełne prawo zakładać, że o wszystkim dowiesz się bezpośrednio ode mnie. To raczej do mnie mógłbyś mieć pretensje, że tyle czasu się nie odzywałam, jednak najpierw musiałam poukładać*

swoje sprawy. Musiałam poczuć, że stoję na w miarę pewnym gruncie, że rzuciłam kotwicę. Zanim jako tako to zorganizowałam, miałam – wierz mi – zbyt wielki zamęt w głowie, by poskładać słowa i zdania w sensowny sposób. O rozterkach i wątpliwościach nie potrafię nawet rozmawiać, a co dopiero pisać.

Czy to znaczy, że wszystko już uporządkowałam i wiem, co mam dalej robić ze swoim życiem? Nadal nie mogę za to ręczyć, ale przynajmniej widzę jakieś światło w tunelu, a to oznacza, że chyba podążam we właściwym kierunku. Jakże chciałabym być naprawdę taka, jaką mnie przedstawiłeś: odważna, zdeterminowana, skutecznie walcząca o swoje prawa. Niestety, to wyidealizowany obraz. W istocie nie raz się bałam i nie miałam pojęcia, co dalej ze sobą robić. Wielokrotnie traciłam wiarę, że w ogóle cokolwiek mogę jeszcze zmienić w swoim życiu. Wiedziałam, że Twoja matka nie chciała mnie w Waszym domu, dlatego już dawno pragnęłam stamtąd odejść, ale nie miałam pojęcia, jak miałabym to przeprowadzić. Toteż cała moja rzekoma odwaga (jak twierdzisz) czy też zuchwałość (jak zwykły mawiać Twoja matka, siostra i Tomaszowa) w rezultacie sprowadzała się do pustych gestów z mojej strony, które w praktyce nie miały żadnego znaczenia.

W taki sposób oszukiwałam przede wszystkim samą siebie, a może raczej próbowałam oszukiwać, bo w głębi duszy zdawałam sobie przecież sprawę, że nie jestem przygotowana do samodzielnego życia. Nie mam odpowiedniego wykształcenia ani umiejętności, dzięki którym bez niczyjej pomocy zdołałabym znaleźć posadę i zarobić na swoje utrzymanie. Wiedza, którą nabyłam na pensji, nie przygotowała mnie do takiego życia, jakie od dawna chciałam prowadzić. Tak naprawdę najbardziej przydatna okazała się nauka kaligrafii

*i buchalterii, bo właśnie dzięki nim znalazłam zatrudnienie w kantorku sklepu pana Wincentego Gajewskiego. Choć nie ukrywam, że nie obeszło się bez interwencji (rekomendacji) Amelii.*

*Jej ojciec dał mi szansę, niemniej – jak zaznaczył – początkowo tylko na próbę. Nie postawił mnie jednak za sklepową ladą ani przy kasie, lecz dał miejsce w kantorku. Tam dyktuje mi i daje do przepisania listy i inne pisma, tam także – gdy przekonał się, że jestem skrupulatna i daję sobie radę z buchalterią – dopuścił mnie do zliczania codziennych obrotów. Podobno kiedyś zajmowała się tym jego żona, ja zaś – jak przyznał – radzę sobie z tym niemal tak dobrze jak ona.*

*Potwierdził to nawet Antoni, starszy subiekt, który cieszy się bezwarunkowym zaufaniem pana Wincentego, jako że pracuje w tym sklepie od początku jego istnienia i przez pierwsze dwa lata był tu jedynym zatrudnionym sprzedawcą. Harował wówczas od rana do ciemnej nocy, ramię w ramię ze swoim pryncypałem i jego małżonką, zanim Gajewskiego stać było na zatrudnienie większej liczby pracowników. Zdobycie uznania i sympatii Antoniego jest podobno warunkiem utrzymania posady, o czym uprzedziła mnie zarówno Amelia, jak i jeden z młodszych subiektów.*

*Amelia podejrzewa, że to właśnie Antoni wystosował veto w kwestii postawienia mnie za sklepową ladą, bowiem jego zdaniem obecność panny sklepowej rozprasza pozostałych subiektów, tak że stają się nieuważni, a bywa, że umizgują się do koleżanki. Kiedy zaś w sukurs idą im co niektórzy klienci, sytuacja staje się nader kłopotliwa i trudna. Jeszcze by tego brakowało, aby zaczęto rozsiewać jakieś plotki o naszym sklepie, gderał. Społeczeństwo nie jest gotowe na takie zmiany. Choć, zdaniem pozostałych subiektów i Amelii, na*



*takie zmiany nie jest przede wszystkim przygotowany sam Antoni.*

*Tak czy owak, wyznaczono mi inne zadanie, na zapleczu, co zresztą odpowiada mi znacznie bardziej niż bezpośrednie obsługiwane klientów. Zwłaszcza że niektórzy z nich potrafią być trudni i kapryśni; spełnienie ich wymagań wymaga doświadczenia i predyspozycji, których ja, przynajmniej na razie, nie mam. A poza tym uważam, że argumenty Antoniego wcale nie są tak niedorzeczne, jak twierdzą niektórzy. Wolę ciszę panującą w moim małym, zawalonym papierami, pieczęciami i różnymi pudłami kantorku. Podoba mi się to zajęcie – wreszcie, bodaj po raz pierwszy od wielu lat, nie prześladowuje mnie owo nieznośne poczucie, że każdego dnia czas przecieka mi przez palce, że marnuję go nie wiadomo na co. Praca nad dokumentami jest wprawdzie czasochłonna i bywa żmudna – niekiedy siedzę nad nimi do późnego wieczora, bo przecież wciąż wielu rzeczy muszę się nauczyć i nabrać wprawy – ale jednocześnie mam wrażenie, że porządkując te wszystkie papiery, przy okazji wprowadzam ład we własnych myślach. Do tej pory bywałam roztrzepana i „rozbałaganiona” (cytuję opinię Tomaszowej, niepozbawioną jednak ziarna prawdy), teraz muszę się nauczyć w skupieniu wykonywać swoje zadania, i wychodzi mi to coraz lepiej.*

*Na razie mieszkam jeszcze razem z ciotką Amelią, ale – jeśli wszystko pójdzie dobrze – już niedługo może przeprowadzę się do innego lokum. Pewna zacna niewiasta – (teraz z kolei cytuję słowa Antoniego, wypowiedziane zresztą z najwyższą powagą) – szuka lokatora do małego mieszkanie w swojej kamienicy w dzielnicy kazimierzowskiej. Żadne luksusy, ale na moje potrzeby (i możliwości finansowe) są to warunki jak najbardziej wystarczające. A poza tym byłabym bardziej niezależna, bo choć z ciotką Amelią dogadujemy się*

całkiem niezłe, to jednak mam poczucie, że siedzę jej na karku. Ona wprawdzie tak nie twierdzi, a nawet zrugła mnie za takie słowa, ale swoje wiem.

Poza tym jej mieszkanie jest stale pełne gości, innego wprawdzie pokroju niż ci, którzy zapełniali salon Twojej matki, niemniej bywa to dla mnie męczące. A nie wypada mi zamykać się przed nimi w swoim pokoju, zwłaszcza że ciotka stale upiera się, bym uczestniczyła w tych spotkaniach. Oczywiście to jej dom i to ona wyznacza reguły, więc nie mogę się do nich nie stosować, poza tym nie chcę jej sprawiać przykrości, niemniej chciałabym wreszcie żyć według własnych. Przecież między innymi dlatego zdecydowałam się opuścić mieszkanie Twoich rodziców.

– I ty naprawdę uważasz, że w kamienicy należącej do jakiejś zdewociałej staruszki będziesz mogła żyć po swojemu? – zaśmiała się Amelia, gdy wyjawiałam jej swój plan. – Stale będziesz ją miała na karku, i to do tego stopnia, że jeszcze zatęsknisz – nie tylko za mną, ale nawet za ciotką Burgiewiczową. I stanie się to znacznie szybciej, niż przypuszczasz.

Odpowiedziałam, że bynajmniej nie przeraża mnie perspektywa ciszy i spokoju w moim nowym miejscu zamieszkania, więc jestem raczej dobrej myśli w tym względzie.

Ciotka na to:

– Wiem, że marzy ci się niezależność. Mnie też się kiedyś marzyła. Dopóki na własnej skórze na przekonałam się, że nic takiego nie istnieje. A przynajmniej nie jest to przywilej czy też przeznaczenie kobiety.

A potem dodała, że i ja się o tym przekonam. Nie ja pierwsza i nie ostatnia, a ja najwidoczniej należę do tych, które muszą się sparzyć,

*aby przyjąć do wiadomości, że pewnych reguł i zasad nie da się bez konsekwencji złamać ani zmienić. Mówiła to jednak spokojnie, bez gniewu, nawet bez żalu. Jakby stwierdzała jakąś prawdę, nad którą nie warto deliberować ani załamywać rąk. Nawet się uśmiechała. Wiedziała, że i tak mnie nie przekona, i nie zamierzała tracić na to czasu.*

*Tak więc, Drogi Kuzynie, jestem pełna nadziei i z optymizmem patrzę w przyszłość. Kraków mi się podoba, ma swój urok i klimat, a choć niekiedy odzywa się jeszcze we mnie tęsknota za atmosferą wielkiego, kipiącego życiem miasta, to jednak myślę, że w końcu ostatecznie zaakceptuję tutejsze, znacznie wolniejsze tempo. Obiecuję, że się odezwę, gdy tylko zamieszkam na swoim.*

*Kinga*

## ROZDZIAŁ 2

Tego dnia, gdy Kinga zdała pryncypałowi wszystkie listy i rachunki, wskazówki sklepowego zegara wskazywały kwadrans po dziewiętnastej. W magazynie, oprócz niezmordowanego Antoniego, przebywał już tylko jeden subiekt, któremu dzisiaj przypadło porządkowanie towaru na półkach, a skwaszona mina młodzieńca jednoznacznie wskazywała na to, jak bardzo pomstował na swój los i jak nie mógł się doczekać godziny zamknięcia sklepu. Na widok zbierającej się do wyjścia Kingi westchnął z taką żalnością, że dziewczyna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Jeszcze tylko godzina pracy, panie Jurku – zagadała. – Dni są już długie, wreszcie zrobiło się cieplej, zdąży się pan nacieszyć ładną pogodą.

Chłopak rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Antoniego, a ujrawszy, że stary poprawiał coś przy wystawie, skrzywił się lekko, choć jednocześnie w jego oczach pojawił się błysk przekory.

– Ma panna Kinga szczęście, że ten safandula nie znalazł dla pani jakiejś dodatkowej roboty przy tych papierach – szepnął. – Jestem pewien, że przy moim pechu z pewnością to i owo jeszcze wyszuka. Mam paskudne przeczucie, że przed dziewiątą stąd nie wyjdę.

– A czy to nieraz i mnie nie kazał zostać dłużej i ponownie sprawdzić wszystkie rachunki? – odparła wesoło, choć na wszelki wypadek także nie podnosiła głosu. – Ale nigdy dłużej niż do ósmej, zresztą pan Gajewski by na

to nie pozwolił. Niech więc i pan Jerzy będzie dobrej myśli.

– Że też ten stary nie potrafi sobie żadnego innego zajęcia poza tym sklepem znaleźć – sarknął Jurek. – Pewnie żadna kobita go nie chciała. I nic dziwnego, bo drugiego takiego nudziarza ze świecą szukać. A może mu jaką znaleźć i podesłać? Co panna Kinga o tym myśli?

Kinga w odpowiedzi zachichotała, co jednak natychmiast zwróciło uwagę Antoniego. Odwróciwszy się od wystawy, spiorunował ich surowym spojrzeniem.

– Jeśli chce pan stąd w miarę prędko wyjść, niech się pan wreszcie weźmie do roboty, zamiast ruszać się jak mucha w smole lub dla odmiany zagadywać do panien – ofuknął młodzieńca, który czym prędzej skierował się do drabinki stojącej przy jednej z szaf. – A Kinga niechże już stąd zmyka, zamiast tu stać i przeszkadzać. Nic tu już dzisiaj po pannie.

Kinga zatem bez dalszej zwłoki ruszyła ku drzwiom, czując na sobie surowy i pełen dezaprobaty wzrok staruszka. Ani chybi uważa mnie za flirciarę, pomyślała ubawiona. Ale potem, gdy znalazła się już na zewnątrz, w ogóle przestała myśleć o całej sprawie, co najwyżej współczuła Jurkowi, że jeszcze przez godzinę nie będzie mógł cieszyć się słoneczną aurą i oddychać pierwszym prawdziwie wiosennym powietrzem.

Bowiem tego roku wiosna wyjątkowo zwlekała z nadejściem, przez cały marzec i początek kwietnia pokazywała swoje kapryśne oblicze. Deszcz ze śniegiem lub nawet sam śnieg niemal stale przypominały o zimie, skutecznie zniechęcając do wyjścia z domu. Jednak kilka dni temu wiatr zmienił wreszcie kierunek, co sprawiło, że nieprzyjemne dotąd powietrze wyraźnie złagodniało, a chmury rozstały się, odsłaniając pogodne niebo. Radość i ożywienie opanowały wszystkich, zarówno przyrodę, jak i ludzi, którzy tłumnie wylegli na zewnątrz – w każdym razie do tej pory Kinga nie miała jeszcze okazji zobaczyć tylu spacerowiczów na ulicach Krakowa. Jej także

udzielił się ten nastrój, toteż zamiast najkrótszą drogą podążyć do swojego maleńkiego mieszkanca, którego okna wychodziły na zacienione, ponure podwórze, wybrała najbardziej okrężną, by podziwiać po drodze wystawy sklepowe na Franciszkańskiej, Floriańskiej i Grodzkiej. Zastanawiała się nawet, czy nie powędrować w kierunku wzgórza wawelskiego, a potem na Planty i może nad Wisłę, ale ostatecznie doszła do wniosku, że zrobiło się dość późno, zresztą była już zmęczona. To nic, pójdę tam w niedzielę, postanowiła, skręcając w kierunku domu.

Prowadząca na podwórze brama była otwarta na oścież, podobnie jak drzwi wejściowe starej kamienicy, co zapewne miało na celu przewietrzenie korytarzy, gdzie na skutek marnej wentylacji stale unosiła się ciężka woń mydlin, gotowanych potraw i wilgoci. Przechodząc przez podwórze, Kinga nie mogła powstrzymać cichego westchnienia. Musiała przyznać, że w tej przynajmniej kwestii rzeczywistość rozmijała się z marzeniami. Dopóki panowała zimowa aura, nie zwracała uwagi na różne mankamenty tego miejsca, na ponure podwórze i marnie oświetloną ulicę, a także na korytarz, którego ściany pokryte były brzydką, szarą, tu i ówdzie odłóżką farbą. Nie przeszkadzało jej też, że do mieszkania docierało tak niewiele światła dziennego; przecież i tak wracała tu dopiero po zmroku, a w blasku lampy całe wnętrze wyglądało nawet dość przyjemnie i przytulnie. Jednak wiosną, gdy nastaly ciepłe, pogodne dni, wszystko wyglądało jakoś inaczej, a fakt, że promienie słońca tu nie docierały, na pewno nie poprawiał sytuacji.

Boże, wzdycham tak samo jak wtedy, gdy mieszkałam jeszcze z ciotką Marią i wracałam do jej domu, uzmysłowiła sobie Kinga i aż się wzdrygnęła na tę analogię. Nie, na litość boską, nie może dopuszczać do siebie takich myśli. Nie po to pragnęła zmiany, by teraz dopatrywać się podobieństw do tamtego życia. Zanim jednak przekroczyła próg nowego domostwa, ponownie się wzdrygnęła, tym razem na widok wyłaniającej się z mroku

korytarza właścicielki. Zaczyna pani Poniechowska (jak mawiał o niej Antoni) nie dość, że pojawiła się zupełnie niespodziewanie, to otulona była jednym ze swoich starych, białych szali, przez co w pierwszym momencie można ją było wziąć za zjawę.

– Przepraszam – zmieszała się dziewczyna, odniosła bowiem wrażenie, że starsza pani rzuciła na nią karcące spojrzenie. – Zamyśliłam się i w pierwszym momencie pani nie poznałam.

Poniewczasie przyszło jej do głowy, że i to wyjaśnienie mogło się starszce nie spodobać, jednak pani Poniechowska nie drążyła tej kwestii. Co innego miała do zakomunikowania.

– Kuzyn do pani przyjechał – oświadczyła wyniośle.

– Kuzyn? – zdumiała się Kinga, zdając sobie sprawę, że jej oczy przypominają teraz swoim kształtem dwa okrągłe spodki.

– Przecież mówię. O tam, stoi po drugiej stronie ulicy. – Staruszka wskazała laską przed siebie. – Czeka tu i czeka, już ze dwie godziny. Nie wpuściłam go do środka, bo po pierwsze nie znam tego pana, a po drugie nie uprzedziła mnie pani, że spodziewa się gościa.

– Kuzyn? – powtórzyła bezwiednie Kinga, bo była zbyt oszołomiona, by wydobyć z siebie inne słowa.

Zbyszek? Przyjechał z Petersburga, aby ją odwiedzić? Chyba nie skrócił swojej praktyki, skoro miał tam jeszcze spędzić przynajmniej pół roku?

I dopiero wtedy spostrzegła zbliżającego się od strony bramy Aleksandra.

– Czemu mnie nie zawołałeś, gdy zobaczyłeś, że szłam ulicą? – zagadnęła, gdy znaleźli się wreszcie w mieszkaniu. – Sama nie pojmuję, jak to możliwe, że sama wcześniej cię nie zauważyłam.

– A mnie to wcale nie zdziwiło. Wyglądałaś jak Persefona wracająca z Hadesu na ziemię. Gdzie ci tam w głowie byli zwykli śmiertelnicy – uśmiechnął się.

– Nie żartuj sobie ze mnie – popatrzyła znacząco – kuzynie.

– Jako kuzyn nie zepsuję ci reputacji. Wolałabyś, abym przedstawił się jako twój szwagier? – mrugnął do niej. – A nawet cioteczny szwagier?

Postawiwszy na stole dwie filiżanki z gorącą herbatą, wzruszyła ramionami.

– I tak wątpię, aby uwierzyła w to kuzynostwo.

– Mam rozumieć, że nie jesteś zadowolona z mojej wizyty?

– Zaskoczyłeś mnie, to wszystko – odparła, kierując się do małej kuchenki. – Ale w gruncie rzeczy to nic nowego. Zawsze mnie zaskakiwałeś. – Chciała, aby zabrzmiało to przyjaźnie, w każdym razie cieplej niż dotychczasowe słowa powitania, ale zamiar ten nie do końca się udał. W dodatku zdawała sobie sprawę, że nie tylko odgadł, co tak naprawdę miała na myśli, ale zinterpretował to po swojemu. Dlatego czym prędzej dodała: – Na pewno jesteś głodny. Poczekaj, coś przygotuję.

– Nie, nie rób sobie kłopotów. – W pierwszym odruchu chwycił ją za łokieć, ale zaraz cofnął dłoń. – Gorąca herbata zupełnie mi wystarczy. A poza tym chciałem jedynie zobaczyć, jak sobie radzisz.

Ku swemu niezadowoleniu poczuła, że się czerwieni, dokładnie tak samo jak wówczas, gdy miała piętnaście lat, a on zaczął coraz częściej bywać w domu Burgiewiczów. Nie tylko ona się wówczas rumieniła – Klementyna reagowała dokładnie tak samo – toteż Kinga robiła, co mogła, by nikt nie domyślił się, co wówczas czuła. Dlatego, gdy tylko młody asystent wuja przychodził z wizytą, na ogół wykręcała się od obecności na rodzinnych podwieczorkach i herbatkach, co zresztą nie było takie trudne, bo ciotka, wbrew swoim zwyczajom, w takich razach wcale nie nalegała, by siostrzenica była obecna w salonie. Kiedy jednak z różnych powodów Kinga nie mogła zrezygnować z udziału w tych spotkaniach – na przykład wtedy, gdy wuj Stefan stanowczo zażyczył sobie, aby poproszono ją do stołu na



wspólną kolację – starała się nie zwracać na siebie uwagi i nawet była wdzięczna ciotce, że ta wyznaczała jej miejsce z daleka od Aleksandra Jankiewicza. Stamtąd mogła bezpiecznie, bo ukradkiem, obserwować Klementynę, która siedząc tuż obok młodego doktora, na przemian bladła i rumieniła się, a do tego drżała na całym ciele. Dla nikogo nie było tajemnicą, dlaczego panna Burgiewiczówna w taki sposób reagowała na obecność Jankiewicza. Nie było to tajemnicą także dla Aleksandra, choć przez dłuższy czas nie dawał niczego po sobie poznać – odnosił się do niej z uprzejmością, a nawet niekiedy z galanterią, niemniej nic nie wskazywało, by odwzajemniał jej uczucia. Kinga od razu zwróciła na to uwagę, im bardziej jednak Klementyna wyłaziła ze skóry, by zainteresować Jankiewicza jakimś tematem – a czasem naprawdę zdobywała się na karkołomny wysiłek – tym bardziej ona sama starała się go ignorować. Gdy czasem zdarzyło się, że do niej zagadał, odpowiadała krótko, wręcz zdawkowo, co miało go zniechęcić do kontynuowania rozmowy, przynosiło jednak skutek odmienny od zamierzonego. I dopiero interwencja Burgiewiczowej kładła kres tej konwersacji, a przy okazji Kinga musiała jeszcze znosić pełne oburzenia spojrzenia zarówno ciotki, jak i kuzynki, które właśnie ją winiły za całą sytuację.

Mogła sobie jedynie wyobrazić, jak by zareagowały teraz, gdyby mogły zobaczyć ją i Aleksandra razem, samych, w tym skromnym mieszkanku. Dlatego, by czym prędzej odgonić od siebie tę myśl i tamte wspomnienia, a jednocześnie zapanować nad wzburzeniem, jakie wywołała jego dzisiejsza wizyta i powitalny dotyk jego dłoni, cofnęła się o krok i wykrzywiła twarz w sztucznym uśmiechu.

– To dla mnie żaden kłopot – odparła. – Zresztą i tak miałam przygotować coś dla siebie.

– W takim razie zapraszam cię na obiad. Wyjdźmy stąd do miasta.

– Jak to? – Tym razem roześmiała się zupełnie szczerze, ale zorientowawszy się, że bynajmniej nie żartował, spoważniała i potrzasnęła głową.

– Dlaczego nie?

– Wiesz, że to niemożliwe. – Wzruszyła ramionami.

Jednak Aleksander najwyraźniej był innego zdania.

– Niemożliwe? Niby czemu? – A ponieważ nie odpowiedziała, westchnął. – Naprawdę uważasz, że wspólne wyjście na obiad to coś, co zasługuje na wieczne potępienie? Bo jeśli boisz się opinii tej baby, której płacisz za wynajem, to mogę cię zapewnić, że znacznie docieklawiej by węszyła, gdybyśmy przez kolejne godziny nie ruszyli się z tego mieszkania.

– Nie, nie przejmuję się jej opinią – odparła gniewnie Kinga, choć niezupełnie zgodnie z prawdą. W tej kamienicy mieszkało więcej bab, które z zamiłowaniem i pasją obserwowały, wręcz śledziły innych mieszkańców. A taka samotna młoda dziewczyna jak Kinga była ulubionym celem obserwacji. Zdążyła się już przekonać, że plotkowano tu nie mniej zajadle niż w Warszawie, z tą jednak różnicą, że wielkie miasto dawało przynajmniej większe poczucie anonimowości. Nie mogła też zapominać, że stara pani Poniechowska była znajomą Antoniego, zresztą w Krakowie miało się wrażenie, że lepiej lub gorzej, ale wszyscy się tu znają. Mimo to nie zamierzała pozostawić prowokacyjnych słów Aleksandra bez odpowiedzi, dlatego dodała zaczepnie: – Nie obchodzi mnie, co ona lub inni myślą na mój temat. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, jak zareagowałyby twoja żona i teściowa, gdyby się dowiedziały, że widziano nas tu razem?

W pierwszej chwili nie była w stanie odwzajemnić jego spojrzenia, zrobiła to dopiero wtedy, gdy ponownie uścisnął jej dłoń. Przyjaźnie, po bratersku, bez żadnej dwuznaczności.

– W jaki sposób miałyby się dowiedzieć? A jeśli nawet, to co? Nigdy nie

miały prawa traktować cię w taki sposób, jak to robiły, ale teraz już na pewno nie musisz się przejmować ich zdaniem. Już nie musisz się ich bać. Jesteś niezależną osobą. Czy nie o tym kiedyś marzyłaś?

Nikt nie jest niezależny na tym świecie – tak to jakoś ujęła Gajewska. A potem dodała, że w przypadku kobiet niezależność w ogóle nie jest możliwa. Kinga jednak nie zamierzała dzielić się ze szwagrem przemyśleniami Amelii. Postanowiła zwrócić jego uwagę na zupełnie inną kwestię.

– Nie chodzi tylko o mnie, ale także, a może przede wszystkim, o ciebie – rzekła, dając mu tym samym do zrozumienia, że to głównie on nie powinien sobie pozwalać na ignorowanie niezadowolenia żony, teściowej i reszty rodziny.

Zrozumiał, co miała na myśli, lecz skwitował to lekkim wzruszeniem ramion, po czym wskazał na filiżanki z herbatą.

– Wypijmy, zanim wystygnie – odparł wesoło. – A potem idziemy do miasta. Nie, nie bój się, nie proponuję ci żadnych hulanków – dodał, spostrzegłszy skonsternowanie na jej twarzy. – Po prostu zjemy obiad i pogadamy jak dwoje ludzi, którym od lat odmawiano prawa do normalnej rozmowy. Na miły Bóg, nigdy nie pozwól, by ktokolwiek wmówił ci, że jest w tym coś niewłaściwego. Bo zapewniam cię, że nie ma.

Łatwo ci mówić, powtórzyła w myślach swoje własne spostrzeżenie, do którego doszła już jakiś czas temu. Ty jesteś mężczyzną, a więc możesz sobie pozwolić na więcej. Czemu udajesz, że tego nie rozumiesz? A może naprawdę nie rozumiesz?

Na głos spytała jednak o co innego. O coś, co od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyła go w bramie, nie dawało jej spokoju.

– Mam nadzieję, że nie przyjechałeś tu jedynie przez wzgląd na mnie?

Dziwna rzecz, ale tym razem głos jej nawet nie drgnął. I szczęśliwie

uniknęła rumieńca na twarzy; nawet wtedy, gdy Aleksander spojrzał jej prosto w oczy, w dodatku w taki sposób, w jaki nie zrobił tego nigdy dotąd.

– Przyjechałem odwiedzić moich krewnych. Chyba pamiętasz, że mieszkają niedaleko Krakowa? – Zaledwie jednak potwierdziła to skinieniem głowy, dodał: – To jednak prawdziwe zrzędzenie losu, że zamieszkałaś właśnie w tym mieście. Dzięki temu miałem dobry powód, by do ciebie zajrzeć.

– Jak się dowiedziałeś, gdzie dokładnie mieszkam? – spytała, zmieniając nieco ton. Na bardziej rzeczowy, by nie rzec: urzędowy. – Od wuja Stefana?

Mimo wszystko nie bardzo jednak wierzyła w taką ewentualność. I – jak się okazało – nie bez powodu.

– Poniekąd – odparł Aleksander. – Tyle że bez jego wiedzy. Zobaczyłem kiedyś na jego biurku kopertę z twoim adresem. O nic nie musiałem go pytać. – Uśmiechnął się pod nosem.

Wyprostowała się na krześle i odsunęła od siebie pustą już filiżankę.

– Jak się czuje twoja żona, kuzynie? – Aż się wzdrygnęła, gdy usłyszała, jak chłodno i oficjalnie to zabrzmiało.

Natychmiast spostrzegła zmianę na jego twarzy. Jakby przesłoniła ją jakaś gradowa chmura.

– Musimy o niej rozmawiać?

– Co w tym dziwnego? Przecież to moja siostra cioteczna – odparła chłodno. – Z tego, co pisał mi ostatnio wuj, wynika, że Klementyna za kilka tygodni spodziewa się rozwiązania. Chyba nie powinieneś jej teraz zostawiać samej, to jednak nie najlepsza pora na odwiedzanie... krewnych.

Zarówno słowa, jak i ton, którym zostały wypowiedziane, sprawiły, że Aleksander spochmurniał jeszcze bardziej.

– Klementyna nie jest sama – odrzekł ponuro. – Zresztą dobrze o tym wiesz, więc nie muszę ci niczego tłumaczyć.

– Opieka matki i ojca nie zastąpi jej ciebie.

– Doprawdy? Czyżby moja droga kuzynka zamierzała mi teraz prawić morały? – zadrwił i wtedy Kinga nie wytrzymała.

– Nie jestem twoją kuzynką – warknęła. – Uważaj na to, co mówisz. I do kogo.

Rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym podniósł się z krzesła.

– Jeśli chcesz, abym sobie poszedł, po prostu to powiedz. Bez owijania w bawełnę.

Jakiś ty niedomyślny, a do tego przewrażliwiony na swoim punkcie, pomyślała ze smutkiem. Nie chcę, abyś odchodził, ale nie to jest przecież teraz najważniejsze. W każdym razie na pewno nie ja i moje pragnienia.

– Jestem po prostu zmęczona – odpowiedziała, skądinąd zgodnie z prawdą, bo właśnie w tym momencie poczuła nagły przypływ znużenia i zniechęcenia. – Pracowałam cały dzień. Tylko nie zrozum mnie źle, lubię moje zajęcie w sklepie i jestem zadowolona z obecnego życia, ale...

– Tym bardziej powinnaś wyjść na powietrze. – Wyraz jego twarzy złagodniał, podobnie jak ton głosu. – Sama czy w moim towarzystwie, o to już mniejsza, ale najważniejsze, abyś po pracy nie zamykała się w czterech ścianach. – Była niemal pewna, że z trudem powstrzymał się, by nie dodać: zwłaszcza w takim mieszkaniu. – Opuściłaś dom Burgiewiczów po to, by cieszyć się życiem, a nie nałożyć na siebie nowe chomąto.

Przez chwilę milczała, po czym także się podniosła.

– Może masz rację – rzekła cicho.

– Nawet na pewno – uśmiechnął się, po czym pomógł jej włożyć płaszcz.

\*\*\*

Kilka dni później, podczas niedzielnego, popołudniowego spaceru, ni z tego, ni z owego Amelia zagadnęła ją o Aleksandra. Kinga, która kompletnie nie

spodziewała się tego pytania, nie zdążyła w porę przybrać pokerowego wyrazu twarzy. Zatrzymała się na środku parkowej alejki, a kiedy dotarło do niej, że gapi się na ciotkę jak cielę na malowane wrota, czym prędzej odwróciła wzrok – lecz było już za późno. Nie miała nawet cienia wątpliwości, że tym samym dała Amelii solidne podstawy do daleko idących domysłów.

– Dlaczego pytasz? – wyjąkała. – Skąd w ogóle wiesz... że był u mnie? – Z wściekłością poczuła, że jej policzki zapłonęły żywym ogniem.

Trudno było jednoznacznie ocenić, czy w spojrzeniu Gajewskiej było w tym momencie więcej rozbawienia, czy pobłażliwej wyrozumiałości.

– A więc ten mężczyzna był u ciebie? – zaakcentowała. – Tego akurat nie wiedziałam. Sądziłam, że to jedynie niewinny spacer połączony z kolacją. – Lecz widząc, że dziewczyna zmieszała się jeszcze bardziej, pociągnęła ją za rękę, zmuszając do ruszenia z miejsca. – Och, dajże spokój. Jestem przekonana, że jawnogrzesznica przyłapana na gorącym uczynku przez biblijnych faryzeuszy miała dokładnie taką samą minę jak ty w tej chwili. A ja naprawdę nie miałam niczego złego na myśli. Przeciwnie, ucieszył mnie wasz widok.

– A zatem widziałaś nas. – W stwierdzeniu Kingi było tyle mimowolnej rezygnacji, że Amelia tym razem roześmiała się na głos.

– Dokładnie tak. W tej uroczej knajpce na tyłach Franciszkańskiej.

– Niebawem, że akurat tam... – zaczęła Kinga, ale przygryzła wargę.

Amelia ponownie zachichotała.

– Że akurat w tej knajpce na uboczu ktoś zobaczy cię z kawalerem? – dokończyła i zabrzmiało to niemal triumfalnie. – Chcesz powiedzieć, że umyślnie wybraliście to miejsce, by nie rzucać się w oczy? Myślałam, że już zdążyłaś przyjąć do wiadomości, że w Krakowie to niemożliwe. Sama przecież niedawno stwierdziłaś, że nie sposób przejść ulicą, by zaraz nie

napotkać kogoś znajomego.

– Dlaczego zatem do nas nie podeszłaś? – spytała zduszonym głosem Kinga. – Przedstawiłabym was sobie nawzajem.

Zarazem jednak w duchu poczuła ulgę, że ciotka nie wpadła na taki pomysł. Bo choć w całej tej sytuacji nie było niczego niezwykłego – chodziło przecież o powinowatego – to jednak można ją było zinterpretować... w różny sposób. Zresztą Amelia zdążyła już to przecież zrobić. A odpowiedź, której teraz udzieliła, jedynie to potwierdzała.

– Tak ładnie razem wyglądaliście, że nie chciałam zepsuć wam nastroju. Mam nadzieję, że wkrótce mi go przedstawisz. No, ale muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Wprawdzie urocza z ciebie dziewczyna, ale do tej pory sprawiałaś na mnie takie wrażenie, jakby bliżej ci było do rózańca niż do tańca. A ty tak szybko znalazłaś sobie kawalera. – Pogroziła żartobliwie palcem, lecz zaraz dodała: – A może się mylę? Może to ktoś, kogo poznałaś jeszcze w Warszawie? I to właśnie był główny powód, dla którego przeciwstawiłaś się ciotce i dałaś kosza tamtemu?

– To mąż mojej ciotecznej siostry – nie wytrzymała Kinga, choć pierwotnie wcale nie zamierzała tego ujawniać. Musiała jednak przerwać słowotok ciotki, a to był jedyny sposób, jaki jej przyszedł do głowy.

Jak się okazało – skuteczny. Gajewska zamilkła. Choć właściwiej byłoby powiedzieć, że na dwie, trzy minuty kompletnie straciła głos... Jakby jej tchu zabrakło.

Te dwie minuty ciszy wystarczyły jednak, by Kinga pożałowała swojej szczerości, dlatego uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak wyjaśnić wszystko w taki sposób, by zbagatelizować sprawę.

– Aleksander wychował się w małym miasteczku nieopodal Krakowa. Ma tu bliskich krewnych, których stara się regularnie odwiedzać. Aż się dziwię, że nigdy wcześniej go nie widziałaś, skoro wszyscy tak dobrze się tu

znają. – Teraz ona próbowała zażartować, ale nie do końca jej się to udało.

– A więc to tak? – odezwała się po chwili Amelia, a w jej oczach pojawił się zagadkowy błysk. – Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to twój powinowaty. W dodatku mąż bliskiej kuzynki. Widziałam, jak na ciebie patrzył. – Zawahała się. – I jak ty patrzyłaś na niego.

– O czym ty mówisz? – Kinga ze złością szarpnęła ramieniem, uwalniając się z uścisku ciotki. Zarazem jednak unikała jej wzroku. – Czy naprawdę dostrzegasz coś niewłaściwego w tym, że mnie odwiedził, że pokazaliśmy się razem?! – Jednym tchem wyrzuciła z siebie wszystkie te obiekcje, które sama przecież wcześniej miała. I których zresztą do końca jeszcze się nie pozbyła. Mogła się teraz przekonać, że tamte obawy najwyraźniej nie były pozbawione podstaw. Bo skoro Amelia, która przecież bynajmniej nie była zwykłą mieszczką, lecz jako aktorka niejedno widziała i przeżyła, w taki sposób zinterpretowała całe wydarzenie, to czego można się spodziewać po takich ludziach jak Antoni ze sklepu i pani Poniechowska? I zapewne pan Wincenty Gajewski... oraz wielu innych. A przecież... – Nie zrobiłam nic złego – dodała z goryczą.

– Nie powiedziałam, że zrobiłaś. – Amelia, niezrażona tym wybuchem, ponownie ujęła ją pod ramię. – I mam nadzieję, że nie popełnisz żadnego głupstwa. I bez tego nie brak w życiu trosk i zmartwień – kontynuowała spokojnie. Jej oczy nie rzucały już wesołych, dwuznacznych błysków. Przeciwnie, pojawiła się w nich powaga. – Bo widzisz, to, co tak nas porywa i wzrusza w teatrze lub w powieści, zupełnie inaczej wygląda w realnym życiu. I na ogół przynosi dużo bardziej opłakane skutki.

– Niepotrzebnie mi to mówisz – odparła chłodno Kinga – bo ja nigdy nie tracę gruntu pod nogami, nie chodzę z głową w chmurach. I przede wszystkim nie wmawiam nikomu czegoś, co nie istnieje.

Tak naprawdę chciała przekonać samą siebie. Czekała na ripostę Amelii,



przygotowywała w myślach kolejne argumenty. Ale Gajewska nie podjęła już tematu.

## ROZDZIAŁ 3

W ostatnim dniu kwietnia, gdy wszędzie wokół zapanowała wręcz letnia aura, Klementyna Jankiewicz powiła córkę. Ten bez wątpienia radosny fakt wprawił Burgiewiczową w prawdziwą euforię. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wprost nie posiadała się ze szczęścia. Nigdy zresztą nie ukrywała, że marzyła o wnuczce, a marzenie to właśnie się ziściło.

– Już teraz widać, że jest bardzo podobna do swojej świętej pamięci prababki, czyli mojej matki – przekonywała każdego, kogo akurat napotkała na swej drodze. Przy czym nikt nie podejmował dyskusji na ten temat, z góry uznając, że byłby to karkołomny wysiłek. Doktor Burgiewicz dla świętego spokoju jedynie wzruszał ramionami i tylko Aleksander Jankiewicz zdanie swe wypowiedział wprost, bez owijania w bawełnę.

– Nie wiem, na jakiej podstawie szanowna mama doszła do podobnych wniosków – oświadczył, kompletnie ignorując błagalny wyraz twarzy żony i jej dyskretne gesty mające go powstrzymać przed zabraniem głosu. – W przypadku noworodka nie sposób jednoznacznie stwierdzić, do kogo jest lub będzie w przyszłości podobny.

Oczywiście nie przekonał teściowej – z góry zresztą wiedział, że jej nie przekona, bowiem już dawno zauważył, że nie miała zwyczaju przyznawać racji temu, kto miał inne zdanie niż ona, nawet w najbardziej błahej sprawie. To zresztą byłoby jeszcze do zniesienia; gorzej, że najchętniej w ogóle

odmawiałyby ludziom prawa do wygłaszania opinii sprzecznej z jej poglądami. I dlatego nie potrafił oprzeć się pokusie, by od czasu do czasu się nie postawić, a tym samym dać do zrozumienia, co myśli o opiniach i poglądach Burgiewiczowej. Wiedział, że tym sposobem narazi się na jej niezadowolenie, a także na lamenty ze strony żony, ale z biegiem czasu przestał się tym przejmować, a nawet zaczęło go to bawić. Teść czasami dawał mu do zrozumienia, czy wręcz upominał go, by tego nie robił. Po prostu ignoruj jej gadanie, zasugerował kiedyś. I nie obawiaj się, że zostanie to uznane za przejaw twojej kapitulacji. Wręcz przeciwnie – dasz do zrozumienia, że jesteś ponad te bzdury. Ja tak od dawna robię. Twoją teściową bardzo to irytuje, bo nie lubi być ignorowana, ale nic z tym faktem nie może zrobić. Podczas gdy twoje uwagi dodają jej tylko sił i energii, są tym samym, co tlen dla mózgu.

Aleksander tylko do pewnego stopnia zgadzał się z opinią teścia, nie mógł bowiem oprzeć się wrażeniu, że w postawie Burgiewicza jest jednak coś z kapitulacji, a nawet rezygnacji. Twierdza, w której się zamknął i okopał, by mieć jak najmniej do czynienia z żoną, bardziej przypominała dobrowolne wygnanie niż jeszcze niezdobytą fortecę. A Jankiewicz nie chciał powielać tego wzoru. Czuł, że jeśli czasem nie stanie dęba, w końcu upodobni się do teścia, a do tego nie mógł dopuścić za żadne skarby świata. Podziwiał Burgiewicza za jego naukowe i medyczne dokonania, wciąż pamiętał, że w czasach studiów i początków własnej kariery uważał go za swego mistrza, ale jako jego zięć miał sposobność poznać go bliżej także od innych stron – te zaś niekiedy budziły jego zastrzeżenia. Poza tym domyślał się, że dużą rolę w tym wszystkim odgrywała Klementyna. Była oczkiem w głowie swego ojca, i choć ten nawet w połowie nie poświęcił jej wychowaniu tyle czasu i wysiłku co matka, jednak niczego tak nie pragnął jak jej szczęścia i spokoju. A niesnaski i słowne przepychanki, jakie od czasu

do czasu zdarzały się między Jankiewiczem a doktorową, z pewnością uprzykrzały Klementynie życie. Aleksander zdawał sobie z tego sprawę i choć nie chciał sprawiać przykrości żonie, to jednak za każdym razem, gdy widział, z jakim bezgranicznym i bezkrytycznym oddaniem przyjmowała każdą opinię matki, porzucał wcześniejszy zamiar, by trzymać język za zębami. Jak choćby teraz, w kwestii rzekomego podobieństwa nowo narodzonej córki do jej prababki. I oczywiście, jak należało się tego spodziewać, gdy tylko zostali sami, Klementyna wypomniała mu jego rzekomo niestosowne zachowanie wobec teściowej.

– Naprawdę musisz za każdym razem zasmucić czymś moją mamę? – spytała z wyrzutem, a jej spojrzenie wyrażało w tym momencie zarówno dezaprobatę, jak i ogromny żal.

W pierwszej chwili miał ochotę udzielić jej szorstkiej, nawet ostrej odpowiedzi, ale w ostatecznie porzucił ten zamiar. Klementyna zaledwie kilka dni temu urodziła dziecko, wciąż była osłabiona, większość czasu spędzała jeszcze w łóżku. Nie był to zatem dobry czas na kłótnie, przekonywania czy dyskusje, choć z drugiej strony w jej przypadku nigdy nie było na to odpowiedniej pory. Należała do tych kobiet, które w takich okolicznościach natychmiast reagowały płaczem i skargą i nie tylko nie przyjmowały do wiadomości żadnych argumentów, ale nawet swoich własnych nie potrafiły sensownie wyartykułować. Tak czy owak, uznał, że i tym razem odpuści sobie poważniejszą rozmowę.

– Nie miałem zamiaru sprawić przykrości twojej matce – odparł spokojnie. – Zresztą, wcale nie wyglądała na zasmuconą. Wątpię, by w ogóle usłyszała, co powiedziałem, bo całą jej uwagę przykuwała wnuczka. – Czuł, że wzbija się na wyżyny swoich aktorskich możliwości, by słowa te zabrzmiały pogodnie i beztrąsko. Nie na wiele to się jednak zdało, bowiem Klementyna patrzyła teraz na niego wzrokiem zranionej sarny.

– Przecież chodziło o taki drobiazg – odezwała się cicho, lecz z przejmującą skargą w głosie. – O to, do kogo podobne jest maleństwo. Nie mogłeś po prostu zostawić tego bez komentarza i pozwolić, aby się cieszyła? Tak naprawdę nikt oprócz ciebie się tym nie przejął...

– I oprócz ciebie, moja droga – nie wytrzymał, choć nadal się pilnował, by nie wybuchnąć gniewem. – Bo to przede wszystkim ty dramatyzujesz ponad wszelką miarę. Twoja matka zapewne już dawno o wszystkim zapomniała. Ja także bym zapomniał, gdybyś nie uderzyła w lament. Bóg jeden wie, z jakiego powodu. Naprawdę nie mam czasu ani cierpliwości wałkować wciąż tej samej kwestii, ale skoro tak się jej uczepiłaś, to ci wyjaśnię: Nie widzę powodu, by potakiwać twojej matce, jeśli w jakiegokolwiek sprawie mam inne zdanie. I bez znaczenia, czy dotyczy to sprawy błahej, czy poważnej. Wystarczy, że robią to wszyscy pozostali, z tobą na czele.

– Jak możesz... – Na dobre się już rozszłochała. – Teraz, gdy jestem taka chora... Ciągłe jesteś niezadowolony, rozdrażniony.

Nie, to raczej ty jesteś stale rozdrażniona. Bo jeśli chodzi o mnie, to odczuwam raczej znudzenie. Z każdym dniem większe, stwierdził w myślach, powstrzymał się jednak przed tym szczerym wyznaniem, podobnie jak wiele razy wcześniej, zwłaszcza zaś w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Po raz kolejny wytłumaczył sobie, że nie był to odpowiedni czas na podobne rozmowy – Klementyna nie czuła się najlepiej, będąc w ciąży, i wszystko wskazywało na to, że w okresie połogu będzie podobnie. Nie była to zresztą jedynie kwestia zmęczenia po porodzie lecz – przede wszystkim – rozstrój nerwowy. Jako lekarz oczywiście starał się to zrozumieć, w swojej praktyce niejednokrotnie miał już okazję spotkać się z podobnymi przypadkami, jednakże sam przed sobą musiał przyznać, że znoszenie tego na co dzień, we własnym domu, wystawiało jego cierpliwość na coraz

poważniejsze próby. Tym bardziej że każdego dnia musiał znosić także odwiedziny teściowej, te zaś ciągnęły się całymi godzinami. Uznał jednak, że na razie nie będzie tego wypominać ani drażnić, a zatem najlepiej zmienić temat. Inna sprawa, że ponownie zwątpił, czy kiedykolwiek nastanie odpowiedni moment, by do niego wrócić. W gruncie rzeczy stan zdrowia Klementyny nie był tu przecież najpoważniejszą przeszkodą.

Westchnął więc i wzruszywszy ramionami, podszedł do kołyski. Przez chwilę patrzył na śpiącą córeczkę, ale chwila ta w zupełności wystarczyła, by poprawił mu się humor. Uczucie goryczy, irytacji i zniechęcenia, jakiego przed chwilą doświadczał, ustąpiło teraz przed falą wzruszenia i czułości.

– Jest taka śliczna – uśmiechnął się. – Zdrowa. Możemy być z niej dumni. To najważniejsze.

Klementyna widziała ten uśmiech, nie uszły też jej uwadze ciepło i czułość w głosie męża, zarazem jednak nie miała wątpliwości, że choć mówił do niej, to wszystkie dobre uczucia, które malowały się teraz na jego twarzy i które słychać było w jego głosie, przeznaczone były tylko dla córeczki. Dlatego nie podchwyciła pojednawczego tonu męża.

– Najważniejsze? – powtórzyła. – Z pewnością... Ale niewystarczające.

Nie chciała, aby z kolei w jej głosie zabrzmiała aż taka gorycz. Nie chciała zalewać się łzami. Przecież powinna czuć się szczęśliwa. Po raz drugi została matką. Wydała na świat zdrowe i śliczne dziecko – jak słusznie zauważył jej mąż. Zewsząd słyszała gratulacje. A jednak zamiast dumy i radości czuła przygnębienie i smutek. I nie tylko to. Bo tego właśnie wieczora z przerażeniem i wstydem uzmysłowiła sobie, że przede wszystkim poczuła się zazdrosna. O to maleństwo w kołysce i o miejsce, jakie zajęło w sercu swojego ojca.

Mnie już tam wcale nie ma, pomyślała z rozpaczą. A zresztą, może tak naprawdę nigdy nie było. Niewiele brakowało, a w przypiływie żalu

podzieliłaby się na głos tym spostrzeżeniem, ale w tym samym momencie do sypialni wbiegł Krzyś, a zaraz za nim zaaferowana piastunka – to zaś wykluczało wszelkie wyznania.

– Bardzo przepraszam – usprawiedliwiała się purpurowa z zażenowania służąca. – Ale Krzyś tak się uparł, że chce do rodziców, że nie zdołałam go w żaden sposób zatrzymać. Taki się zrobił żwawy i reżolutny, że...

– Ależ nic się nie stało – roześmiał się Jankiewicz, biorąc na ręce synka. – Bardzo dobrze, niech się przyzwyczaja do siostrzyczki. Widzisz, wisusie, kogo teraz będziemy obaj bronili?!

Usłyszawszy to, piastunka odetchnęła z ulgą i byłaby się na głos roześmiała, ale uśmiech zamarł jej na wargach, gdy tylko pochwyciła spojrzenie swojej pani. Pośpiesznie się ukloniła i wycofała z pokoju, Klementyna zaś utkwiała wzrok w mężu. Jestem jego żoną i matką jego dzieci, pomyślała. Nawet jeśli przestałam mu się podobać, to przez wzgląd na nie nigdy mnie nie zostawi. Nie odejdzie, nie opuści. Nie będzie miał innego wyjścia, bo na to nie pozwolę. Nigdy.

Być może słabe to było pocieszenie, jednak chwyciła się go niczym tonący brzytwy. W każdym razie podniosło ją trochę na duchu.

\*\*\*

Była już dziesiąta, a zatem dobrze po zapadnięciu zmroku, gdy Kinga wreszcie dotarła do domu. Na podwórzu nie było już nikogo, nic dziwnego, bowiem uliczna latarnia jak zwykle bardzo słabo oświetlała posesję, co nie zachęcało lokatorów do spędzania wieczoru na zewnątrz. Tym bardziej że pani Poniechowska zawsze niechętnie wypowiadała się na temat nocnych hałasów w jej domu. Krzywym okiem także patrzyła na powracających późno mieszkańców, i choć nigdy nie kazała przed północą zamykać bramy, to samym spojrzeniem potrafiła dać do zrozumienia, co myśli o winowajcy.

Kinga miała nadzieję, że staruszka może już leży w łóżku – musiała przecież kiedyś spać, skoro już o brzasku krzątała się po obejściu – niemniej gdy tylko weszła do sieni, starsza pani wyrosła przed nią jak spod ziemi. Ubrana w dziwaczną, starą suknię z nieodłącznym białym szalem narzuconym na ramiona i głowę, była w stanie – zwłaszcza w ciemnym korytarzu – przestraszyć każdego i choć raczej nie przypisywano jej podobnego zamiaru, lokatorzy woleli unikać takich spotkań. Na ogół bowiem oznaczały konieczność wysłuchania jakiejś skargi lub reprimendy.

– Dobry wieczór pani – ukłoniła się Kinga, przybierając możliwie uprzejmy wyraz twarzy. – Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa – dodała, choć mina właścicielki nie pozostawiała wątpliwości, że było dokładnie na odwrót.

– Dobry wieczór? – prychnęła Poniechowska. – Przecież to już środek nocy. Jak mogę miewać się dobrze, gdy jeszcze o tak późnej porze słyszę hałasy na podwórzu i w domu?

Kinga przygryzła wargę, zdając sobie sprawę, że wszelkie sprostowania i tłumaczenia nie mają najmniejszego sensu. Pani Poniechowska była przekonana co do swojej racji i to ona tu – niestety – miała przewagę. Nie pozostawało wobec tego nic innego, jak uznać ten stan rzeczy.

– Bardzo przepraszam, jeśli zakłóciłam pani spokój – odrzekła, dokładając wszelkich starań, by w jej głosie nie było słyhać irytacji. – Zapewniam, że naprawdę nie było to moim zamiarem.

– Och, nie posądzam pani o złe intencje – odparła kwaśno staruszka. – Mniejsza zresztą o mnie... Ale czy to właściwe, aby tak młoda panna szwendała się o tej porze po ulicy? Nie mówiąc o tym, że z pewnością nie jest to bezpieczne.

W pierwszej chwili Kinga zamierzała przełknąć i tę uwagę, zmieniła jednak zamiar. Tym bardziej że pani Poniechowska najwyraźniej oczekiwała



odpowiedzi, a raczej czołobitnego przyznania jej racji. Tego ostatniego się wszakże nie doczekała.

– Nie szwendałam się po ulicy – odparła chłodno dziewczyna. Uprzejmy uśmiech zniknął z jej twarzy jak za zdmuchnięciem świecy, a w oczach pojawił się wyraz urażonej dumy. To wystarczyło, by właścicielka spuściła trochę z tonu.

– Wiem, że dużo pani pracuje – rzekła pojednawczo. – Ale to doprawdy skandal, by zmuszano panią do siedzenia w sklepie do późnej nocy. Zwróć na to uwagę panu Antoniemu, jak tylko go zobaczę. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca...

– Wracam z teatru, nie z pracy – przerwała jej Kinga. – Przedstawienie dopiero się skończyło.

Z satysfakcją spostrzegła, jak bardzo jej słowa wstrząsnęły starszą panią. Poniechowska na moment znieruchomiała i wytrzeszczyła oczy, jakby zobaczyła upiora.

– Z teatru? – powtórzyła z takim zdumieniem i grozą, jakby Kinga oznajmiła jej, że spędziła wieczór w jaskini zbójców. – Nie miałam pojęcia, że bywa pani w teatrach – dodała wyraźnie zgorszona.

– To chyba za dużo powiedziane – odparła Kinga. Marzyła o tym, by wreszcie się położyć; nie miała najmniejszej ochoty na dalsze tłumaczenia i przedłużanie tej konwersacji, mimo to nie mogła się oprzeć, by nie dodać: – Nie mam czasu na bardziej regularne bywanie, niemniej tym razem postanowiłam skorzystać z zaproszenia mojej ciotki. Jest aktorką, być może słyszała pani o tym. A teraz pozwoli pani, że udam się do mieszkania, bo jutro z samego rana istotnie ruszam do pracy.

Poniechowska ponownie znieruchomiała, lecz zanim zadowolona z siebie Kinga zdążyła się oddalić, staruszka odzyskała głos.

– List do pani przyszedł – oznajmiła, wydostając spod szala trzymaną

w dłoni kopertę. – Już kilka godzin temu. Czekałam na panią, aby go przekazać.

– List? – zmieszała się Kinga. Ponownie podeszła do staruszki. – Dziękuję pani.

Wchodząc na górę po schodach, wciąż czuła na swoich plecach pełen urazy wzrok.

Była pewna, że to kolejna wiadomość od wuja, choć nieco ją to zdziwiło i zaniepokoiło, bo przecież stosunkowo niedawno dostała od niego list. Czyżby wydarzyło się coś niezwykłego? Niedobrego, mówiąc bez ogródek. Dopiero gdy otworzyła kopertę, zorientowała się, że to nie wuj Stefan był nadawcą. I w tym samym momencie poczuła gwałtowne uderzenia serca, a ręce jej zadrżały. Zanim zaczęła czytać, zanim spojrzała na podpis, odgadła, kto był autorem.

Jestem głupia, zawyrokowałam, piramidalnie głupia.

Wiedziała, że powinna podrzeć i wyrzucić bez czytania kartkę razem z kopertą, i w pierwszym odruchu rzeczywiście ją zgmiotła. Zaraz jednak wyprostowała. Zmarnowała kilka podpałek, zanim udało jej się zapalić świecę, a i wtedy bała się, czy nie wypuści jej z dłoni. Potem usiadła przy oknie i raz jeszcze wygładziła papier, zdając sobie sprawę, co w istocie oznacza ten pieśczołliwy gest i że straciła resztki zdrowego rozsądku.

Nie, to nieprawda, zbuntowała się. To przecież tylko zwykły list. Przecież oboje należymy do tej samej rodziny. Lecz siebie samej oszukać nie mogła.

Przebiegła wzrokiem zapisaną kartkę, a potem podniosła się, by otworzyć okno. W niewietrzonym przez cały dzień mieszkanku panowała okropna duchota, ale ona dopiero teraz poczuła, że brakuje jej tchu. Za oknem rozciągała się ciepła majowa noc, od strony małego skwerku po drugiej stronie ulicy dochodziły ciche ptasie trele.

*Nie umawialiśmy się, że będziemy korespondować – napisał*

Aleksander. – *Wiem, na czym oboje stoimy, i nie chcę komplikować Ci życia. Już i bez tego nie jest Ci łatwo, moja dzielna, mądra Kuzynko. Gdybyś jednak zechciała odpisać, sprawi mi to wielką radość. Jeśli nie chcesz przysyłać mi listów na mój adres domowy, możesz to zrobić na adres mojego gabinetu lub szpitala, w którym pracuję. Zresztą sama będziesz wiedziała najlepiej, co robić. Chciałbym od czasu do czasu wiedzieć, jak sobie radzisz. I wolałbym to wiedzieć bezpośrednio od Ciebie, zamiast zadawać zdawkowe pytania mojemu teściowi lub szwagrowi, by w zamian usłyszeć równie zdawkowe odpowiedzi. Dziękuję za tamten dzień w Krakowie. Za rozmowę i za chwilę milczenia. Wielka to ulga spędzić trochę czasu z kimś, przy kim nie muszę niczego udawać ani do niczego się zmuszać.*

Proponuje, bym napisała na adres jego gabinetu albo szpitala? Chyba oszalał. Jaką rolę mi w ten sposób wyznacza? Na samą myśl o tym Kinga zadrżała. Przecież to oczywiste, jak zareagowałyby Klementyna i jej matka, gdyby jednak zdecydowała się mu odpisać na adres domowy Jankiewiczów. Niemniej także drugie rozwiązanie, czyli wysyłanie listów na adres szpitala lub gabinetu, było – zdaniem Kingi – nie do przyjęcia. Mimo to – odpisała.

*Dobrze sobie radzę, mój Kuzynie, i nie sądzę, aby cokolwiek w tej materii miało się zmienić – zaczęła. – Ani w żadnej innej, chyba sam to pojmujesz. Ja natomiast nie rozumiem, czemu ani jednym słowem nie wspomniałeś o małej Anetce. Tak ma przecież na imię Twoja nowo narodzona córeczka. Wuj Stefan mi doniósł, że urodziła się dwa tygodnie temu. Opisał mi, jak wygląda, jaka jest urocza i rozkoszna. I jak bardzo Krzyś z jednej strony jest o nią zazdrosny, z drugiej zaś niemal bez przerwy zagląda do kołyski. Jednocześnie zmartwiła mnie wiadomość, że Klementyna nie dochodzi do zdrowia tak szybko, jak powinna. Sądzę zresztą, że i Ciebie powinno to niepokoić. Czemu nie podzieliłeś się ze mną takimi nowinami? Chodzi przecież o moją bliską kuzynkę, jakkolwiek ułożyły się stosunki między nami, fakt naszego*

*pokrewieństwa nie podlega żadnej dyskusji. Ja w każdym razie o tym pamiętam, zawsze zresztą pamiętałam, i tak już pozostanie. Sądzę, że i Ty powinieneś mieć to stale na uwadze.*

Zawahała się, zanim na czystej kopercie napisała adres warszawskiego szpitala. Bez podania imienia i nazwiska nadawcy.

## ROZDZIAŁ 4

W przeciwieństwie do Aleksandra, Zbyszek uprzedził ją o swojej wizycie, choć list dotarł dopiero w przeddzień jego przyjazdu. Wiedziała, że od blisko dwóch tygodni kuzyn przebywał już w kraju, nie spodziewała się jednak, że zechce ją odwiedzić tak szybko. Wprawdzie w jednym z listów napomknął, że ma taki zamiar, mimo to zakładała, że wcześniej niż za kilka miesięcy raczej nie należy się go spodziewać w Krakowie. O ile w ogóle. W gruncie rzeczy nie łączyły ich nigdy jakiegoś szczególnie silne więzy przyjaźni, a kuzyn, choć traktował ją życzliwie i po koleżeńsku, miał jednak swoje sprawy i własnych przyjaciół, z którymi spędzał czas zdecydowanie chętniej niż z kimkolwiek z domowników. Trzymał się zawsze jakby z boku, podobnie zresztą jak ona, choć oczywiście z innych powodów. Jego matka stale załamywała nad nim ręce, nie potrafiła jednak wziąć go w karby ani zdobyć się na żadną konsekwencję w postępowaniu z synem. Jakże mu Kinga tego zazdrościła, jednocześnie pomstując na swój własny los!

Teraz sytuacja wyglądała inaczej; Kinga od miesięcy nie mieszkała już w Warszawie, brała zatem pod uwagę, że po powrocie z Petersburga kuzyn zajmie się najpierw swoimi sprawami, odnowi stare przyjaźnie, do niej zaś co najwyżej od czasu do czasu napisze, podobnie zresztą jak jego ojciec. A tymczasem stało się inaczej.

Oczekiwała go, stojąc przy oknie swojego skromnego pokoiku. Widziała,

jak wchodzi w bramę, rozglądając się wokół, jakby nie miał pewności, czy trafił pod właściwy adres. Machała do niego przez szybę, ale nie patrzył w okna, zamiast tego zagadnął stróża, ten zaś przerwał zamiatanie podwórza, skinął potwierdzająco głową i wskazał na kamienicę. Zaraz też, jak na zawołanie, na podwórzu pojawiła się pani Poniechowska, lecz na to nie było rady. Staruszka wyrastała jak spod ziemi za każdym razem, gdy na jej posesji pojawił się ktoś obcy lub gdy zobaczyła bawiące się dzieci. Za jednymi i drugimi nie przepadała, przy czym nieznanymi wzbudzali w niej dodatkowo daleko posuniętą nieufność. Wyglądało na to, że i tym razem z wyraźną niechęcią potwierdziła słowa stróża, a potem jej krytyczne spojrzenie śledziło Zbyszka, dopóki ten nie zniknął w sieni.

– Miałem zatem okazję poznać twoją gospodynię – zagadnął swoim zwykłym nonszalanckim tonem, gdy tylko się przywitał. – Odniosłem wrażenie, że mnie nie polubiła.

– To właścicielka domu, nie gospodyni – poprawiła go Kinga. – Ona z zasady traktuje każdego przybysza niczym istotę z innej planety. Co nie znaczy, że hołubi tubylców. Mam nadzieję, że się tym zanadto nie przejąłeś – dodała od niechcienia, napełniając imbryk wodą.

– Skądże znowu! – roześmiał się. – To dla mnie nic nowego. Takie gospodynie, czy też właścicielki kamienic, spotkać można w każdym mieście pod każdą szerokością geograficzną. Choć nie mogę wykluczyć, że wyglądam na obwiesia lub dandysa, którego wizyty jedynie kompromitują takie domy i mieszkających w nich zacnych ludzi. Zwłaszcza zaś mieszkające tu damy. – Mrugnął do niej szelmowsko. – Obawiam się, że przy tej okazji i tobie zepsułem opinię. Wprawdzie zapewniłem, że jestem bliskim kuzynem panny Niwińskiej, ale obawiam się, że mi nie uwierzyła.

– Raczej nie – potwierdziła wesoło. – Zwłaszcza że nie jesteś pierwszym, który ją o tym zapewniał.

Ledwie to powiedziała, a już pożałowała, że nie ugryzła się wcześniej w język. Ręce jej tak zadrżały, że o mały włos, a upuściłaby imbryk na podłogę. Zbyszek jednak roześmiał się, jak gdyby nigdy nic.

– Coś tam o tym zamruczała – przyznał. – Że niby masz dużo kuzynów. Ja jej na to, że nasza rodzina obrodziła w dzieci, i to jej zamknęło usta. Swoją drogą, można wiedzieć, który to kuzyn cię jeszcze zwizytował? – dorzucił od niechcienia.

Przez moment wahała się, czy nie zmyślić historyjki o koledze z pracy, który jakoby przyszedł do niej z pilną sprawą dotyczącą sklepowych rachunków i napotkawszy na swej drodze niezadowoloną panią Poniechowską, na wszelki wypadek powiedział, że jest kuzynem jej lokatorki, uznała jednak, że to zbyt grubymi nićmi szyte. Taki życiowy praktyk jak Zbyszek natychmiast by się w tym zorientował i gotów byłby jeszcze nabrać Bóg wie jakich podejrzeń. Dlatego koniec końców uznała, że nie będzie zmyślała i powie prawdę. Przecież sama siebie zapewniała, że nie stało się nic złego.

– Aleksander – odparła, sięgając po filiżanki, dzięki czemu nie widział jej zaczerwienionej twarzy. – Kilka miesięcy temu odwiedził krewnych i przy okazji wpadł także do mnie.

Usłyszała, że filiżanki zadrżały jej w dłoniach, i czym prędzej postawiła je na stole. Zbyszek jednak zdawał się nie zauważać jej zdenerwowania, lecz z zainteresowaniem rozglądał się po pokoju.

– Nie wspominał mi o tym – skwitował tylko. – Inna sprawa, że nie mieliśmy zbyt wielu okazji do rozmowy.

Poczuła, że robi jej się gorąco, a zaraz potem zimne dreszcze przebiegły wzdłuż jej kręgosłupa. Gestem zaprosiła go do stołu, a patrząc, jak wkładał do filiżanki kostkę cukru, zdecydowała się wyjąć kolejną kartę.

– Ja także wołałabym, abyś nie wspominał nikomu o tej wizycie – rzekła,

zdając sobie sprawę, że takiej prośby nie da się wypowiedzieć obojętnym, beztroskim tonem.

Mimo to Zbyszek ponownie się roześmiał, niczym z najlepszego żartu.

– Mam się nie przyznawać, że do ciebie przyjechałem? Za późno, kuzyneczko! Poinformowałem już o tym całą naszą słodką rodzinę. Wspomniałem też dwóm czy trzem kompanom, bo zaczęli snuć nie wiadomo jakie domysły co do celu mojego wyjazdu. Niby czemu miałem to ukrywać? Przyznam, że droga mama i Klementyna nie skakały z tego powodu z radości, jednak jakoś przełknęły tę żabę. Przywykły, że jestem już duży i jeżdżę, dokąd chcę.

W pierwszym odruchu chciała natychmiast sprostować, że wcale nie chodziło jej o jego przyjazd. Skoro ciotka i siostra nie były tym zachwycone, to z łatwością mogła sobie wyobrazić ich reakcję na wiadomość o odwiedzinach Aleksandra; w ostatniej jednak chwili zrezygnowała. Taka prośba mogła w uszach Zbyszka zabrzmieć co najmniej podejrzanie, zapewne nawet bardziej niż sam fakt, że taka wizyta w ogóle miała miejsce. Tym samym kuzyn mógł dojść do daleko idących wniosków. A poza tym... Czy, na miłość boską, musiała się tym aż tak przejmować? Przecież, podobnie jak Zbyszek, była już dorosła i prowadziła niezależne życie. Ani ciotka, ani kuzynka nie mogą jej już niczego zakazywać. Nie mają prawa wtrącać się do jej spraw. A Aleksander? Skoro zdecydował się ją odwiedzić, zapewne będzie wiedział, jak sobie poradzić, gdyby wiadomość o jego wizycie dotarła do żony i teściowej.

W głębi duszy nie mogła się jednak oprzeć przekonaniu, że od Zbyszka się tego nie dowiedzą. Tym bardziej że kuzyn nie zadawał jej na ten temat żadnych pytań, wyglądało więc na to, że cała sprawa nie zrobiła na nim większego wrażenia – choć oczywiście co do tego ostatniego Kinga mogła się mylić. Dobrze przecież wiedziała, że Zbyszek, jeśli chciał, potrafił po



mistrzowsku skrywać swoje prawdziwe opinie i uczucia. Tak czy inaczej, wdzięczna mu była, że nie drążył tematu, a zamiast tego zaproponował przechadzkę, po czym zaczął z zapałem opowiadać o Petersburgu, nie ukrywając zresztą swojej fascynacji tym miastem.

– Można by pomyśleć, że nie robiłeś tam nic innego, jak tylko zwiedzałeś kolejne lokale i teatry – wytknęła mu żartobliwie. – Gdzie się podziały te godziny ciężkiej praktyki kancelaryjnej, o której twoja mama tak chętnie opowiadała przyjaciółkom? – Nie mogła sobie odmówić tego nieco złośliwego przytyku, aczkolwiek nie pod adresem Zbyszka.

– Ach, te pobożne życzenia drogiej mamy... – westchnął komicznie Zbyszek, nie odrywając wzroku od wzgórza wawelskiego, które właśnie objawiło się przed nimi w pełnej krasie. – Czasem myślę, że czułaby satysfakcję, gdybym z przepracowania dostał garba albo stracił wzrok.

– Na pewno nie – zaśmiała się. – Jednak myślę, że to chyba niezbyt patriotycznie tak zachwycać się stolicą zaborcy?

– Och, zaraz patriotycznie albo niepatriotycznie? – wyduł wargi. – Zależy, co się przez to rozumie.

– Doprawdy? – wystawiła twarz do gorącego czerwcowego słońca. Nie musiała już się przejmować uwagami ciotki, że prawdziwa dama powinna skrywać się pod parasolem. A poza tym nie była damą. A przynajmniej damą w rozumieniu ciotki Marii. – Zawsze uważałam, że patriotyzm ma tylko jedno znaczenie.

– Tak, też to słyszałem – skrzywił się Zbyszek. – I zapewne dzięki temu jedynemu znaczeniu nasi pradiadkowie i dziadkowie zostali pozbawieni majątku ziemskiego. Matka wyklóca się z lokatorami o niezapłacony czynsz, ja muszę starać się o miejsce w jakiejś nudnej kancelarii, a ty całymi dniami harujesz na zapleczu sklepu galanteryjnego, by opłacić mieszkanie w obskurnej kamienicy i znosić dyktat starej, ograniczonej baby, która

wszystkich tyranizuje.

– To był mój wybór – odparła chłodno.

– Wybacz, nie chciałem być niegrzeczny – odezwał się po dłuższej chwili ciszy. – Chodziło mi tylko o to, że gdyby dziadek zostawił ci jakiś kapitał, mogłabyś teraz prowadzić naprawdę niezależne życie, w znacznie znośniejszych warunkach. I nie mam jedynie na myśli twoich obecnych warunków bytowych.

– Wiem – odparła już znacznie łagodniejszym tonem – ale nie winię o to dziadka. Był dobrym człowiekiem, przecież go pamiętasz. I zawsze wypowiadał się z szacunkiem o swoich rodzicach i ich postawie podczas powstania.

– Oczywiście, nie zaprzeczę. Co nie zmienia faktu, że zarówno oni, jak inni, im podobni porwali się niegdyś na czyn, który nie tylko nie poprawił sytuacji tego kraju, ale ją wręcz pogorszył. I w rezultacie nasza rodzina straciła wszystko.

– Nie wszystko – zaprzeczyła. – Inni stracili życie. Nasi dziadkowie tylko majątek.

– Tylko? – powtórzył z przekąsem. – Byli jednak tacy, który uratowali jedno i drugie. I wcale nie dlatego, że nie byli patriotami.

– Mówisz teraz jak twoja matka – westchnęła Kinga.

– I co z tego? Czasami nawet ona ma rację. I zapewniam cię, że nie uzgadnialiśmy tej opinii. A poza tym nie jesteśmy w niej odosobnieni, wielu myśli podobnie lub tak samo.

Tego tematu Kinga także nie chciała już kontynuować. Znała jego poglądy i doskonale zdawała sobie sprawę, że nie był w nich odosobniony, nieraz, jeszcze w salonie Burgiewiczów, miała okazję przysłuchiwać się dyskusjom i sporom wokół tych kwestii. Od dawna czuła się już nimi znużona, sprowadzały się bowiem do powtarzania wciąż tych samych

argumentów, przekonywania tych dawno już przekonanych, bez możliwości dotarcia do tych, co myśleli inaczej. Dziś nie miała już ochoty na podobne odbijanie piłeczki. Za bardzo cieszyła się z wizyty Zbyszka, by marnować czas na dąsy i spory. Zresztą pewnie i tak nie sprostaby jego wiedzy i elokwencji, nie po tych miesiącach, gdy większość czasu i uwagi skupiała na rachunkach i listach handlowych, a do poważniejszej lektury nie miała już głowy. Nie była jednak pewna, czy się trochę nie zagalopowała z ostatnią uwagą na temat ciotki, bo zaraz dodała:

– Opowiedz mi lepiej, co słychać w domu.

– Chyba wiesz już o wszystkim z listów mojego ojca. – Ponownie się skrzywił, tym razem jednak żartobliwie. – Nie wątpię, że staruszek nie szczędził ci szczegółów. Ten, wydawałoby się bez reszty pochłonięty pracą i działalnością społeczną człowiek, kompletnie stracił głowę na punkcie wnuków. A ta malutka zupełnie go zawojowała.

Kinga, która istotnie w miarę regularnie korespondowała z wujem, w pełni podzielała zdanie Zbyszka co do wielkiego przywiązania, jakie Stefan Burgiewicz okazywał wnukom, nie zdziwiła ją też zdawkowość odpowiedzi kuzyna. Nigdy nie lubił rozmawiać o stosunkach panujących w rodzinie, co najwyżej ograniczał się do ogólnikowych uwag, przeważnie zresztą przyprawionych sarkazmem i ironią. Z nią także starał się bez potrzeby nie poruszać tych kwestii, jakby uważał to za stratę czasu, skoro oboje wiedzieli, jak się sprawy mają.

Także i pod tym względem stanowił przeciwieństwo Klementyny, która nie przepuszczała na ogół żadnej sposobności, by skomentować i skrytykować „zuchwałę” zachowanie Kingi wobec Burgiewiczowej. Kinga nie potrafiła już sobie nawet przypomnieć, czy kiedykolwiek kuzynka zagadnęła ją w jakiegokolwiek sprawie, która nie dotyczyłaby ich rodziny. W przypadku Zbyszka było dokładnie na odwrót. Miał szerokie spektrum

zainteresowań – od najnowszych odkryć w dziedzinie nauk ścisłych po zagadnienia związane z polityką, literaturą, nawet malarstwem. Dlatego najlepiej czuł się wśród rozmówców, którzy dzielili te zainteresowania i potrafili o nich zajmująco rozprawiać. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie zawsze zdoła uniknąć tematów związanych z rodziną, choć od razu dawał wtedy do zrozumienia, jak bardzo tego nie lubi.

– Czy ciotka Maria w dalszym ciągu utrzymuje, że dziewczynka z każdym dniem coraz bardziej przypomina swoją prababkę? – Kinga uśmiechnęła się przekornie. – Wuj coś o tym napomknął, ale potem już nie wracał do tej kwestii. Nawet wtedy, gdy mu odpisałam, że takie podobieństwo wyszłoby małej na korzyść. Babcia była uważana za piękną kobietę. Dziadek twierdził, że prezentowała typowo południowy, nawet orientalny typ urody.

– Czyli dokładnie taki jak twoja matka – odpowiedział Zbyszek, po czym przyjrzał się jej, mrużąc przy tym zabawnie oczy. – I trochę jak ty... Tak czy owak, niewykluczone, że moja droga mama wreszcie powiązała ze sobą te fakty, bo jakiś czas temu zaczęła przebąkiwać, że chyba rzeczywiście w przypadku tak małego dziecka trudno jednoznacznie zawyrokować, do kogo jest lub będzie podobne. A poza tym znacznie ważniejszy od wyglądu zewnętrznego jest charakter człowieka.

– Naprawdę tak powiedziała?!

Ponownie się roześmieli, po czym Zbyszek wyraźnie zmarkotniał. Ta zmiana nastroju zaniepokoiła Kingę.

– Czy coś się stało? – spytała z lękiem. – Coś, co powinnam jednak wiedzieć? – Dodała, wiedzona jakimś niedobrym przeczuciem.

Sięgnął po papierosa, po czym zerknął na nią z ukosa.

– Owszem. Stało się. Moja ulubiona kuzynka musiała odejść z domu, bo ani ja, ani mój ojciec nie mieliśmy pojęcia, jak temu zaradzić. Jak jej pomóc.

A teraz musi harować jak wół, by jakoś związać koniec z końcem.

– Nie, to wcale tak nie wygląda. – Zaczerwieniła się na te słowa. – Przecież już mówiłam: to był mój wybór. I jestem z niego zadowolona. To była dobra decyzja. Podoba mi się moje nowe życie. Na pewno bardziej niż... – przygryzła wargę.

Pokiwał głową zrezygnowany.

– Na pewno bardziej niż dalsza beznadziejna egzystencja na Kruczej. No i oczywiście perspektywa małżeństwa, w które chciała cię wpakować moja matka. Gdy spojrzymy na to od tej strony, faktycznie trudno nie przyznać ci racji.

Ujęła go pod ramię; przez chwilę oboje nie odrywali wzroku od płynących Wisłą barek.

– Po prostu musiałam coś zmienić w moim życiu – szepnęła Kinga. – Musiałam zacząć coś robić... Cokolwiek, by już dłużej nie marnować czasu.

Przygotowywała się na jakiś komentarz, może nawet dalsze pytania z jego strony, ale nic takiego nie nastąpiło. Zbyszek milczał, w zamyśleniu wpatrując się w rzekę.

## ROZDZIAŁ 5

Gdyby wtedy zarzucił ją pytaniami o szczegóły związane z jej nowym życiem, z pracą, z pewnością nie zbyłaby go ogólnikami. Nie poprzestałaby na samym zapewnieniu, że jest zadowolona z warunków swojej egzystencji. Udowodniłaby, że to, co nastroiło go tak sceptycznie, z jej perspektywy wygląda całkiem inaczej, chętnie też przedstawiłaby mu swoje argumenty i konkrety. Jednakże Zbyszek nie wydawał się nimi zainteresowany. Tak jakby to, co zdążył zauważyć, w pełni mu wystarczyło do oceny sytuacji. Nie wrócili już do tematu, ale wyglądało na to, że opuścił Kraków przekonany, że Kinga zaharowuje się od rana do wieczora, by zarobić na skromne utrzymanie, w tym na mieszkanie w obskurnej kamienicy. Niewykluczone zresztą, że i tak nie zdołałaby go przekonać, by przestał się o nią martwić.

Twierdząc, że chciała dokonać jakiejś zmiany w swoim życiu, mówiła przecież prawdę. Pod tym względem przyznał jej zresztą rację. Alternatywą wobec dalszego zamieszkiwania pod wspólnym dachem z ciotką Marią był wyjazd do Krakowa, względnie małżeństwo z panem Milewiczem. I choć koniec końców przekonała się, że Milewicz był ze wszech miar rozumny i przyzwoitym człowiekiem, nie mogło być jednak mowy, by zgodziła się zostać jego żoną. Po prostu nie wyobrażała sobie siebie w takiej roli.

Pozostawał zatem wyjazd, to zaś oznaczało konieczność znalezienia zajęcia, które zapewniłoby jej jakieś utrzymanie. I do jakiego by się

nadawała lub potrafiłaby się przyuczyć. Nie miała dużego wyboru, wykształcenie, jakie odebrała, nie zapewniło jej wystarczających kwalifikacji. Summa summarum nie mogła narzekać – gdyby nie pomoc Amelii, a także życzliwość jej ojca, również o posadzie w sklepie mogłaby tylko pomarzyć. Oznaczało to, że musiała zmienić niemal wszystkie swoje dotychczasowe przyzwyczajenia i nauczyć się rzeczy, o których miała dotąd bardzo mgliste pojęcie, ale ostatecznie jej się udało. Po kilku miesiącach radziła sobie całkiem nieźle, polubiła swój sklepowy kantorek, a już na pewno czuła się w nim lepiej niż w wynajmowanym mieszkaniu, w każdym razie znacznie swobodniej.

Tak właśnie w przyływie szczerości wyznała Amelii, ta zaś, wzruszywszy ramionami, odparła, że wcale jej to nie dziwi. Ona bowiem u starej Poniechowskiej nie wytrzymałaby nawet jednej godziny.

– Zawsze możesz do mnie wrócić – dodała. – Zrób to dla własnego dobra. Kamienica Poniechowskiej to nie miejsce dla młodej dziewczyny. Ta stara plotkarka doprowadzi cię w końcu do szaleństwa.

– Nie jest plotkarką – roześmiała się Kinga. – Można jej to i owo zarzucić, ale na pewno nie to.

– Nie bądź tego taka pewna. Niby co innego miałyby robić po całych dniach? Zresztą nawet jeśli nie ona, to w całej kamienicy nie brakuje innych bab, które nie zostawiają na tobie suchej nitki.

W tej kwestii Kinga nie mogła już tak zdecydowanie zaprzeczyć, zdawała sobie bowiem sprawę, że wzbudzała zainteresowanie przynajmniej niektórych sąsiadek – a także sąsiadów, co oczywiście tym bardziej gniewało mieszkające w kamienicy kobiety – i nie zmieniał tego fakt, że starała się zachowywać dyskretnie i uprzejmie, a poza tym możliwie jak najmniej rzucać się w oczy.

Mimo to podziękowała ciotce za propozycję wspólnego mieszkania.

– Lepiej będzie, jeśli zostanie tak, jak jest – dodała. – Przynajmniej na razie. Gdy zaoszczędzę dość pieniędzy, znajdę sobie inne, lepsze lokum.

– Jak chcesz – prychnęła Amelia, zdejmując z kolan małego, białego pudła i sięgając leniwie po papierosa. – Wiem, że nie przepadałaś za moimi gośćmi; nie, nie próbuj zaprzeczać, zresztą nie jesteś odosobniona. Moja gospodyni ma w tej kwestii to samo zdanie, co ty, ale ja nigdy nie pozwoliłam, by weszła mi na głowę i dyktowała, co mam robić. Nigdy nie dałam jej możliwości, by prześladowała mnie tak, jak stara Poniechowska ciebie. Bo ludzi trzeba sobie wychować, moja droga. Wyznaczyć im granice, a niektórych trzymać jak najdalej od siebie. Jeśli się tego nie nauczysz, zmiana mieszkania w niczym ci nie pomoże. O ile w ogóle będziesz w stanie zaoszczędzić tyle, by znaleźć sobie coś lepszego. Mój ojciec nie jest uciążliwym pryncypałem, ale też nie rozpieszcza pracowników wysokimi zarobkami. Sam całe życie zadowalał się skromnymi warunkami i nie widział potrzeby, by zapewnić sobie choć odrobinę luksusu. Sama zresztą miałaś okazję się przekonać, gdy chwalił się, że od dziesięcioleci nie zmienił mebli. Nawet moja matka nie zdołała go do tego namówić; inna sprawa, że nie była w tej sprawie zdeterminowana i wystarczająco stanowcza.

– Lubię go – uśmiechnęła się Kinga. – Przypomina mi mojego dziadka.

Amelia już tego nie skomentowała, koncentrując całą uwagę na nowym kapeluszu, który zakupiła kilka dni temu, skrojonym i przystrojonym zgodnie z najnowszymi trendami w modzie. Kinga doskonale wiedziała, z jakiego sklepu pochodziło to cudo, nie mogła oprzeć się pokusie, by nie wspomnieć, że w magazynie Gajewskiego w ostatnim czasie pokazały się równie sztywne, a nawet wytworniejsze modele.

– Twój ojciec nie jest więc takim ignorantem w dziedzinie mody, za jakiego go uważasz – dodała. – Z pewnością zmieniłabyś zdanie, gdybyś do nas częściej zaglądała.



– Do was? – podchwyciła znacząco Amelia.

– Miałam oczywiście na myśli sklep twojego ojca – wyjąkała zarumieniona Kinga, ale Gajewska jedynie wzruszyła ramionami i odłożyła kapelusz. Kąciki jej ust zadrżały od słabo tłumionego śmiechu.

– Ależ nie musisz się z niczego tłumaczyć, doskonale rozumiem, w czym rzecz. I w dodatku przyznaję, że jestem z tego bardzo zadowolona. Ojciec na stare lata zyskał jeszcze jedną bratnią duszę, co oznacza, że wraz z Antonim stanowicie naprawdę interesujące trio. Jedyne w swoim rodzaju. Ty nawet czasami używasz tych samych sformułowań, co moja matka. – Roześmiała się na głos. – Przed chwilą miałam wrażenie, jakby to ona przemówiła przez ciebie. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

– Co ty mówisz! – wykrzyknęła Kinga. – O co ty mnie posądzasz? Przecież to, że pan Gajewski zaprosił mnie kilka razy na herbatę, nie oznacza jeszcze, że...

– Oczywiście, że nie! – Amelia nie przestawała się śmiać. – Nie podejrzewam cię, że zastąpiłaś mu moją matkę – Boże, jak to zabrzmiało! – lecz mnie. Zyskał w tobie córkę, o jakiej całe życie marzył. Taką, która polubi jego sklep i nawet po pracy, przy domowej herbacie będzie gotowa rozmawiać o interesach. Ale nie sądz, że mam coś przeciwko temu! – dodała, spostrzegłszy, że coraz bardziej zmieszana Kinga zamierza ripostować. – Wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę. Dzięki temu nie robię sobie ustawicznych wyrzutów, że latami wykorzystywałam jego dobroć i miłość, tak niewiele w zamian z siebie dając.

– Nie powinnaś się z tego tak łatwo rozgrzeszać – odparła nieco zagniewanym tonem Kinga.

– Wiem. – Amelia pochyliła się, by ponownie pogłaskać psa. – Ale przyzwyczaił mnie do tego. Zawsze wybaczał, zawsze rozumiał. – Uniosła głowę, dzięki czemu Kinga mogła zobaczyć pogodne wzruszenie w jej

oczach. – Kiedy będziesz miała dzieci, nie pozwalaj im na wszystko. Sama widzisz, do czego to prowadzi.

– Tak, widzę – potwierdziła Kinga. – Powinnaś się wstydzić – dodała na poły z wyrzutem, na poły z rozbawieniem. Podobnie jak pan Wincenty nie potrafiła się gniewać na Amelię. Czasami z trudem uzmysławiała sobie, że ciotka jest od niej niemal dwadzieścia lat starsza.

– Wstydzę się. – Amelia zapaliła kolejnego papierosa. – A jednocześnie cieszę się z twojej obecności. Uważam, że to ty powinnaś odziedziczyć ten sklep.

– Chyba żartujesz – westchnęła Kinga. Ciotka była niemożliwa i nieobliczalna w swoich pomysłach.

– Bynajmniej. Ja na pewno nie nadaję się do kupiectwa. Ojciec doskonale wie, co zrobię, gdy kiedyś przejmę ten sklep. I wie, że ty postąpiłabyś zupełnie inaczej.

– Nie powinnaś nawet tak mówić – zmarkotniała Kinga.

Rzecz jasna, wiedziała, o co chodziło. Jakiś czas temu Gajewski sam jej o tym wspomniał. Po mojej śmierci Amelia sprzeda ten sklep, oznajmił i choć starał się, by zabrzmiało to obojętnie, Kinga zdołała jednak usłyszeć smutek w jego głosie. A także rezygnację. Takim tonem zazwyczaj mówią ludzie, którzy zdają sobie sprawę, że w żaden sposób nie zdołają przeciwstawić się przeznaczeniu, i wobec tego nie pozostaje nic innego, jak tylko się z nim pogodzić. Oczywiście w pierwszej chwili gwałtownie zaprzeczyła. Myli się pan, oznajmiła. Amelia z pewnością nie pozbedzie się sklepu, który w jakimś sensie jest nieodłączną częścią jej rodziny. To, że w młodości przyłączyła się do zespołu teatralnego, nie oznaczało przecież, że zerwała kontakty z bliskimi. Amelia nie kieruje się w życiu podobnymi sentymentami, odparł Gajewski. A już na pewno nie w kwestii sklepu, w którym nigdy nie lubiła nic robić. Nawet sprzedawane tu towary jej się nie

podobały. Pod każdym niemal względem wyrodziła się z naszej rodziny, dodał. Tak jak twój ojciec ze swojej. Ty jesteś przeciwieństwem ich obojga, dorzucił, wprawiając tym Kingę w niemą konsternację. Nie odwzajemnił jej spłoszonego, zdumionego spojrzenia – jego wzrok utkwiony był ponad jej głową. Zdobyła się wtedy na zadanie mu pytania, którego wcześniej nie miała odwagi wyartykułować. Czy nie czuje żalu do córki? Za to, co zrobiła w przyszłości i co – wedle jego przewidywań – miała zamiar uczynić w przyszłości?

– Żal? – W jego zamyślonym spojrzeniu pojawił się nikły promyk uśmiechu. – Nie, to nigdy nie wchodziło w rachubę. Takie jest życie, widocznie tak miało być.

Kinga zawahała się, ale postanowiła zadać następne pytanie.

– A do mojego ojca? To znaczy... Czy miał pan żal do mojego ojca? Bo to przecież pod jego wpływem Amelia przyłączyła się do trupy teatralnej.

Gajewski westchnął i skinął nieznacznie.

– Byłem wściekły, że zawrócił jej w głowie. I chodziło tu nie tylko o to, że zaraził ją tym pomysłem. Amelia nigdy nie odeszłaby z domu, gdyby nie straciła dla niego głowy. Przez pewien czas w ogóle nie przyjmowała do wiadomości, że nie mogła liczyć na wzajemność z jego strony. Leon widział w niej wyłącznie bliską kuzynkę, na nic innego nigdy nie mogła liczyć. Ale nie dawała sobie tego wytłumaczyć, zaraz wpadała we wściekłość. Nie pozostało mi nic innego, jak żywić nadzieję, że w końcu sama to zrozumie. Że może chociaż taki będzie pożytek z tej wyprowadzki, gdy na własnej skórze się przekona, jak daleko proza życia odbiega od romantycznych wyobrażeń. Jak to jest być zdaną na samą siebie, bo Leon będzie zajęty własnym życiem i twórczością. I rzeczywiście się przekonała, ale dopiero wtedy, gdy on z kolei stracił głowę dla Klary, czyli twojej matki.

– Wiem, znam tę historię. Amelia sama mi ją opowiedziała – przytaknęła

Kinga, choć zaraz potem przyszło jej do głowy, że może pośpieszyła się z tym wyznaniem. Bo przecież niewykluczone, że mogłaby usłyszeć od Gajewskiego coś więcej, do takiego wniosku doszła, gdy pochwyciła jego spojrzenie. Nigdy dotąd nie rozmawiali o przeszłości – Kindze do tej pory ani razu nie przyszło do głowy, by zagadywać o dawne sprawy tego właśnie człowieka. Był ojcem jej ciotki, nie zmieniało to jednak faktu, że łączyły ich bardzo luźne więzy rodzinne. A do tego był jej pracodawcą. Nawet jeśli w ostatnim czasie rzeczywiście stali się sobie bliżsi, a o sprawach dotyczących sklepu rozmawiał z nią tak otwarcie jak z Antonim, nie przypuszczała, że wolno jej poruszać tematy osobiste. To, że on je dzisiaj poruszył, w dodatku tak szczerze i otwarcie, było niezwykle. Nie miała jednak pojęcia, czy wolno jej drażnić, niewykluczone przecież, że jej dociekliwość może mu się nie spodobać. Niemniej żałowała, że wtrąciła się ze swoją uwagą, jakoby tak dużo już wiedziała od Amelii. Bo przecież – jak sobie właśnie uzmysłowiła – w wiedzy tej dostrzegała sporo luk.

– Tylko nie myśl, że miałem jakieś pretensje do twojej matki – zastrzegł po chwili milczenia. – Wydawała się miłą dziewczyną, choć nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów. Zarówno ja, jak i moja żona nie dążyliśmy do zmiany tego stanu rzeczy, a Leon także trzymał się od nas możliwie najdalej. Zwłaszcza zaś moja żona nie mogła mu darować, że namotał naszej córce w głowie, wyrwał ją spod rodzicielskiego dachu, skazując na poniewierkę i pozbawiając możliwości normalnego życia, podczas gdy swoje własne jakoś zdołał unormować. Znalazł posadę, ożenił się, doczekał się dziecka. Nawet jeśli nie zdążył nacieszyć się swoją rodziną, to przynajmniej wrócił na właściwą drogę. A naszej Amelii już się nie udało. Tak właśnie uważała moja żona, stale to powtarzała, a ja, choć starałem się ją mitygować, w duchu podzielałem jej zdanie. Lecz nigdy nie winiłem twojej matki.

– Mój ojciec chyba także nie ponosił aż takiej winy – odważyła się wtrącić Kinga. – Trudno w każdym przypadku odpowiadać za to, że ktoś może tracić dla nas głowę. – Na samą myśl o tym ścisnęło jej się serce i poczuła suchość w gardle.

– Oczywiście – przytaknął pan Wincenty. W jego oczach pojawił się wyraz zadawnionego bólu. – Tylko że Leon doskonale się orientował w sytuacji. Wszyscy to wiedzieli. I dlatego powinien był trzymać ją na dystans zamiast roztaczać bajkowe wizje i bez przerwy bajdurzyć o literaturze i teatrze. A przyznaję, że gadać to on potrafił jak mało kto.

Nie przekonało to Kingi. I choć doceniała fakt, że Gajewski zdobył się na taką szczerość, jednocześnie poczuła się dotknięta. A zarazem zobowiązana do lojalności wobec ojca.

– Ciotka powiedziała mi, że nie ma do niego żalu – rzekła nieco oschłym tonem. – Otworzył przed nią drzwi do innego świata niż ten, w którym funkcjonowali ich krewni. Nawet jeśli marzenia o sławie się nie spełniły, nawet jeśli bywało ciężko, to przynajmniej poznała teatr i była blisko ludzi, którzy kochali sztukę.

Z jej punktu widzenia było to znacznie bardziej interesujące i inspirujące niż nudna i jałowa codzienność upływająca na liczeniu koron w kasie i pozyskiwaniu klientów oraz dostawców, chciała dodać, ale się powstrzymała. Roztropność wzięła jednak górę.

Gajewski natomiast nie tylko w pełni zrozumiał to, co powiedziała, ale – jak się okazało – domyślił się także tego, co zachowała dla siebie. Nie obraził się jednak, a jedynie popatrzył pobłaźliwie i trochę ze smutkiem.

– Ja także kochałem teatr. W czasach gimnazjalnych oszczędzałem każdą koronę na choćby najmarniejsze miejsce przy rampie. Uwielbiałem książki, naprawdę dużo czytałem. Miałem swoje marzenia. Każdy je ma. Nawet ci, których nigdy byś o to nie posądzała, młoda damo.

– Nie chciałam być niegrzeczna – wymamrotała Kinga, choć przecież doskonale wiedziała, że miał prawo tak jej słowa odebrać.

W odpowiedzi poklepał ją po dłoni i sięgnął po dzbanek z herbatą.

– Rozumiem i wiem o życiu więcej, niż się wam, młodym, zdaje – oznajmił pogodnie. – A już z pewnością więcej, niż może się pomieścić w waszych głowach.

\*\*\*

Siedząc teraz naprzeciwko Amelii i wracając myślami do słów starego Gajewskiego, Kinga nagle zdała sobie sprawę, że patrzy na swoją ciotkę dokładnie tak samo, jak ojciec Amelii patrzył wcześniej na nią. Pobłażliwie, życzliwie, zarazem jednak z poczuciem pewnej wyższości, jakby sama miała przynajmniej tyle lat co on i co najmniej tyle samo życiowego doświadczenia. Amelia także to zauważyła.

– Czuję się tak, jakby zamiast ciebie był tu mój ojciec – zaśmiała się trochę nerwowo. – Gdy go kiedyś zabraknie, wciąż będzie patrzył na mnie twoimi oczyma.

– Nie mów tak – skrzywiła się Kinga.

– To znaczy?

– Nie lubię, gdy w taki sposób mówisz o swoich rodzicach – odparła z przykrością i pretensją w głosie. – Gdy w taki sposób mówisz o ich... odejściu. – Podniosła się i podeszła do okna.

Lato i pierwsze ciepłe tygodnie jesieni były już tylko wspomnieniem. Listopadowy chłód przypominał o zbliżającej się zimie. Drugiej, którą miała spędzić w Krakowie; niedługo przecież minie rok, odkąd tu zamieszkała. Czasami przychodziło jej na myśl, że tamte lata spędzone w Warszawie na Kruczej należały do zupełnie innego życia. Były udziałem innej osoby. Dokładnie tak samo się czuła, gdy jako mała dziewczynka po śmierci dziadka

zamieszkała u wujostwa.

– Odkąd przebywam w Krakowie, bardzo często myślę o moich rodzicach – dodała cicho. – Dopiero tutaj czuję, jakby znowu byli blisko mnie. Tu przecież mieszkali, tu się urodziłam. Żałuję, że ich nie pamiętam. Że już niczego mi nie powiedzą, że ich nie usłyszę. Nawet gdyby mnie czasem wyłajali, byłoby to po stokroć lepsze od ciszy nad ich grobem.

Drgnęła, gdy poczuła na ramieniu dłoń ciotki, i czym prędzej ukryła twarz w dłoniach.

## ROZDZIAŁ 6

W marcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Kinga otrzymała list od Zbyszka, w którym, obok szeregu informacji na temat rodziny, znajomych, a także mniej lub bardziej istotnych zdarzeń, którymi żyła Warszawa, wtrącił wzmiankę o nie najlepszym ostatnio stanie zdrowia ojca.

*Nic poważnego – zaznaczył. – A przynajmniej staruszek tak twierdzi i daje nam wszystkim do zrozumienia, abyśmy zostawili go w spokoju, a ściślej mówiąc, aby matka i Klementyna przestały skrzeczeć mu nad głową, ja bowiem zastosowałem się do jego życzenia. Ojciec ma swoje dziwactwa i pod niektórymi względami potrafi być niemożliwy, niemniej jest lekarzem, w dodatku – zdaniem wielu – nieomylnym, a zatem chyba można zaufać diagnozie, jaką wystawił także sobie samemu. Przyznaję zresztą, że biadolenia i jazgot matki i siostry niejednego mogłyby przyprawić o palpacje, a nawet o szaleństwo. Tak czy owak, ojciec nie chce słyszeć o żadnym wypoczynku (prawdopodobnie podejrzewa, że przebywanie w domowym kociokwiku przyniosłoby odwrotny skutek) i w dalszym ciągu przygotowuje się do wykładów i sesji naukowych. Nie zrezygnował też z pracy w szpitalu. Sprawia nawet wrażenie bardziej zajętego i częściej nieobecnego niż kiedykolwiek wcześniej.*

Tak jakbyś ty, drogi kuzynku, stale przebywał w domu, skwitowała



w myślach Kinga. Zbyszek wymyślał się do miasta pod każdym możliwym pretekstem, a matka, choć załamywała nad nim ręce, nie znajdowała żadnego sposobu, aby zatrzymać go w domu. W dodatku, o ile wuj Stefan rzeczywiście intensywnie pracował, o tyle tego samego z pewnością nie dało się powiedzieć o jego synu.

W każdym razie wiadomość od Zbyszka raczej jej nie zaniepokoiła. Pisał o sprawach, które nie były dla niej niczym nowym; całymi latami miała przecież okazję patrzeć na codzienne życie Burgiewiczów. Nie dziwiła się zatem, że na razie nie otrzymywała żadnych nowych wiadomości od wuja – nie było w tym nic dziwnego, skoro w ostatnim czasie tak intensywnie pracował.

Toteż gdy miesiąc później otrzymała od kuzyna telegram zawiadamiający ją o śmierci doktora, przez dobrych kilka minut nie była w stanie zebrać myśli i osłupiała wpatrywała się w skrawek papieru, który trzymała w spoconych dłoniach. Widziała każde słowo, lecz ich treść do niej nie docierała, wymykała się rozumieniu. Wuj Stefan nie żyje? Jak to tak? Przez moment miała wrażenie, jakby dopiero wczoraj z nim rozmawiała... W jego gabinecie, gdy wyznała mu, że nie chce wyjść za mąż za pana Milewicza, a wuj podtrzymał ją w tym postanowieniu, zapewniając, że nie musi podejmować podobnych kroków wbrew samej sobie. I że niezależnie od tego, co postanowi, drzwi jego domu zawsze będą dla niej otwarte. Teraz nie ulegało dla niej żadnej wątpliwości, że pozostaną już zamknięte. Nawet życzliwość ze strony Zbyszka niewiele tu zmieni. I choć nie zamierzała wracać na Kruczą, to jednak sama świadomość, że nie będzie to już nigdy możliwe, mimo wszystko ją zasmuciła. Właśnie dlatego, że w całej pełni uzmysławiała nieodwołalność tego, co się stało.

Zmarł nagle – brzmiały słowa depeszy. A potem już tylko krótka informacja o dacie i miejscu pogrzebu. Za trzy dni, w czwartek piętnastego

kwietnia.

Takie depesze, choć zawsze zwięzłe w treści, zawierają jednak ładunek emocji, których często nie jest w stanie wywołać najbardziej szczegółowy list. Kinga miała wrażenie, jakby trzymała w dłoniach rozżarzony kawałek węgla.

Oczywiście, odpowiedziała w myślach, oczywiście, że pojedę. Wciąż jednak czuła się zbyt oszołomiona, by podjąć jakiegokolwiek przygotowania do wyjazdu, a nawet ruszyć się z miejsca. Choćby po to, by zdjąć z siebie płaszcz i kapelusz, cały czas bowiem stała w progu swego pokoju, tak jak weszła tu z korytarza.

Kiedyś, w jednym z listów napomknęła wujowi, że byłaby rada, gdyby zechciał ją odwiedzić. Napisała to w sposób zupełnie niezobowiązujący, nie nalegała, i taką też niezobowiązującą odpowiedź otrzymała. Również chętnie by ją zobaczył, lecz w najbliższym czasie nie będzie to możliwe, bo zajęć i projektów naukowych ma tyle, że nie wie, w co ręce włożyć. Jednakże obiecuje, że gdy tylko się z tym upora, to postara się... W każdym razie na pewno wcześniej ją uprzedzi. Ale raczej nieprędko. Kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości...

Żadne z nich więcej nie wracało do tematu, tak jakby wcześniej został poruszony jedynie grzecznościowo, kurtuazyjnie, tak jakby od samego początku oboje wiedzieli, że przynajmniej w najbliższej przyszłości nie uda się tego pomysłu zrealizować. Co najwyżej kiedyś... Może...

A w rezultacie nigdy, dopowiedziała sobie w myślach Kinga. Wiedziała, że powinna zmusić się do działania, nie mogła przecież tak stać i rozmyślać bez końca. Czas naglił, pogrzeb był przewidziany za trzy dni. Powinna porozmawiać z Gajewskim – najlepiej już dziś – i powiadomić go o wyjeździe do Warszawy. I oczywiście jak najszybciej kupić bilet na pociąg. Dobrze, że nie zdjęła jeszcze płaszcza i kapelusza – bo tak jak stała,

zawróciła w kierunku wyjścia, choć każdy ruch wymagał od niej ogromnego wysiłku.

Pomału, krok za krokiem, szła w kierunku dworca, by kupić bilet. Czuła się dokładnie tak samo jak przed laty, gdy usłyszała słowa lekarza potwierdzające zgon dziadka, i potem, gdy niania ubierała ją w czarną sukienkę. I choć teraz rozumiała dużo więcej niż wówczas, to wciąż, dokładnie jak wtedy, powtarzała w myślach: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Pytanie to towarzyszyło jej potem przez całą drogę do Warszawy, nie opuściło jej też, gdy pełnymi ludźmi i zgiełku ulicami zmierzała na Powązki. Zarazem jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pomimo niemal dwóch lat przebytych w znacznie spokojniejszym, cichszym i mniej ludnym Krakowie, nie odwykła jednak od stolicy. Co więcej – panujący tu pośpiech, gwar, tłok nie drażniły jej ani nie męczyły. W przeszłości także jej to nie przeszkadzało; cały ten rozgardiasz był po prostu nieodłącznym elementem życia w wielkim mieście. Jednak na samą myśl o zgromadzonej już w kościele rodzinie tak jak dawniej ugięły się pod nią kolana.

Nie chciała zwracać na siebie uwagi i dlatego usiadła w jednej z ostatnich ławek. Stamtąd mogła prawie wszystkich zobaczyć. Stali bywalcy wieczorków organizowanych przez doktorową nie zawiedli, lecz oprócz nich przyszli również ludzie, którzy pracowali z doktorem Burgiewiczem, a także jego studenci i pacjenci. Miejsca najbliższej katafalku zajęli członkowie rodziny; a ponieważ siedzieli odwróceny tyłem do pozostałych żałobników, Kinga obserwowała ich bez obawy, że ciotka ją dostrzeże i zmarszczy brwi na znak niezadowolenia. Bez tego zapewne się dziś nie obędzie, Kinga nie miała większych złudzeń. Woląca jednak zyskać na czasie i lepiej przygotować się na ten moment.

Zgodnie z jej przewidywaniami Burgiewiczowa zauważyła ją dopiero na

cmentarzu. Nie zmarszczyła wprawdzie brwi, ale jej lodowate spojrzenie sprawiło, że jak za dawnych lat Kinga poczuła znajomy ucisk w sercu. Opanowała jednak odruch, by odwrócić się na pięcie i uciec. Nie spuściła nawet wzroku, spokojnie i chłodno patrzyła ciotce prosto w oczy, aż wreszcie doktorowa odwróciła głowę. Przykładając chusteczkę do twarzy, szepnęła coś do stojącej obok córki. Klementyna – tak jak matka spowita w czerń od stóp do głów – wyglądała w tym stroju niemal jak jej rówieśnica. Jak matrona, w której trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać młodą jeszcze kobietę. Dwoje małych, przytulonych do niej dzieci bynajmniej nie zmieniło tego wrażenia. Gdy na chwilę uniosła woalkę, jej zaczerwieniona i zapuchnięta od płaczu twarz wydawała się znacznie starsza niż jeszcze kilkanaście miesięcy temu, gdy Kinga widziała ją ostatnim razem. Wyraźnie przytyła – albo takie wrażenie wywoływała ciężka żałobna suknia, którą nosiła. Patrząc na obie kobiety, Kinga nie miała jednak cienia wątpliwości, że rozpacz kuzynki nie była udawana; Klementyna była szczerze przywiązana do ojca i z pewnością go żałowała. Kinga chętnie zapewniłaby ją o swoim żalu i współczuciu, ale niechętnie spojrzenie kuzynki zatrzymało ją w miejscu. Stała więc nieruchomo, obserwując, jak pozostali żałobnicy składali kondolencje, i dopiero potem zbliżyła się do rodzinnego grobowca. Na tablicy nagrobnej pod imionami i nazwiskiem rodziców wuja Stefana wyryte już było także jego imię. „Pozostająca w nieutulonym żalu” żona zadbała, by wszystko było przygotowane jak należy.

Zerknąwszy przelotnie na otoczoną rojem współczujących pań doktorową, Kinga z trudem zapanowała nad irytacją. Nie wierzyła w szczerść wylewanych przez ciotkę łez. Nie znaczyło to, że uważała ją za osobę całkowicie wyzutą ze zdolności do wszelkich dobrych i szlachetnych uczuć, o ile uczucia te były przeznaczone dla dzieci i wnuków. Nikogo innego nie była zdolna pokochać – tak w każdym razie uważała jej

siostrzenica.

I nie tylko ona jedna była tego zdania. Przekonała się o tym, usłyszawszy słowa stojącego nieopodal radcy Wolskiego, który zawsze krzywym okiem spoglądał na przyjaźń łączącą jego małżonkę z doktorową.

– Z pewnością możemy się zgodzić, że zmarły był człowiekiem gołębiego serca – mruknął, wodząc ponurym wzrokiem po zgromadzonych na ceremonii pogrzebowej żałobnikach. – Nikt inny nie znosiłby tak cierpliwie tej baby, w dodatku przez tyle lat.

Słyszając tę uwagę, radczyni zerknęła z niepokojem na stojących najbliżej ludzi. Czy ktoś aby nie usłyszał tych wielce niestosownych – zwłaszcza w takiej chwili – słów? No cóż, jej mąż, w przeciwieństwie do zmarłego doktora, na ogół nie gryzł się w język. Przeciwnie, potrafił wyrażać się bardzo dosadnie o tych, którzy mu dopiekli lub w jakikolwiek sposób go irytowali. A przy tym w ogóle nie dbał o opinię towarzystwa. Jego żona jednak dbała, dlatego wołała nie czekać na kolejne uwagi małżonka.

– Nie wypada tak mówić – szepnęła zażenowana. – Proszę... Jeszcze ktoś usłyszy.

W odpowiedzi jedynie mruknął coś niezrozumiałego, ale przynajmniej powstrzymał się od dalszych komentarzy.

Kinga z trudem powstrzymała uśmiech, zaraz jednak oczy jej ponownie rozbłysły na widok zmierzającego w jej kierunku Zbyszka. W przeciwieństwie do matki i siostry nie tylko nie zamierzał jej ignorować, ale na oczach wszystkich zebranych serdecznie się z nią przywitał.

– Nie byłem pewny, czy przyjedziesz – rzekł, całując ją w policzek. – Ogromnie się cieszę, że jednak jesteś.

– Jak mogłoby mnie zabraknąć – odparła z łagodną wymówką.

– Dobrze, że jesteś, bo musimy porozmawiać.

– Oczywiście, ale chyba nie w tej chwili... – Czują na sobie

niezadowolony wzrok ciotki, a także zaintrygowane spojrzenia kilku innych osób i choć na nie odpowiadała, mimowolnie zaczynała się coraz bardziej denerwować.

– Nie, nie teraz – obejrzał się i także dostrzegł wzrok matki. Wykrzywił wargi w grymasie przypominającym uśmiech i ponownie zwrócił się do Kingi. – Pomówimy o tym później, najlepiej po obiedzie – dodał, ujmując ją pod ramię.

– Czekaj – stropiła się. – Po jakim obiedzie? Zaraz wracam do Krakowa.

– Nie ma mowy – potrząsnął głową, po czym ruszył z miejsca, zmuszając ją, by poszła razem z nim. – Jesteś zaproszona na konsolację.

– To miło, że mnie zapraszasz, ale... Na miłość boską, chyba sam rozumiesz, że to nie najlepszy pomysł.

Fatalny pomysł, chciała się poprawić, ale nie zdążyła. Nie dopuścił jej do słowa.

– Należysz do tej rodziny, czy ci się to podoba, czy nie, droga kuzynko. Twoje obawy o reakcję mojej matki są bezzasadne, bo ona także chciałaby, abyś przyjęła zaproszenie.

– No, w to już na pewno nie uwierzę. – Niewiele brakowało, a roześmiałyby się w głos. Powstrzymała się dosłownie w ostatniej sekundzie.

– W takim razie pozbądź się tych wątpliwości. Połowa ludzi na tym cmentarzu zdążyła cię już zauważyć. Bardzo by się zdziwili, nie zobaczywszy cię na konsolacji. Znowu zaczęliby snuć domysły, z których potem urosłyby plotki na pół Warszawy. A droga mama, jakkolwiek lubi plotki, to z pewnością nie na swój temat.

– Niemniej wolałabym...

– Ja też bym niejedno wolał, ale czasem trzeba się poświęcić dla rodziny, jaka by tam ona nie była – przerwał sarkastycznie Zbyszek.

Postanowiła zachować jak najsurowszą powagę. Ostatecznie czas i okoliczności nie sprzyjały żadnym żartobliwym dywagacjom.

– Ty to co innego – rzekła. – Nie udawaj, że nie widzisz różnicy. – Zawahała się, bo nie chciała, aby zabrzmiało to szorstko, niemniej zdecydowała się dokończyć: – Nie zrozum mnie źle, nie chcę cię urazić, ale od dawna nie czuję, abym była częścią tej rodziny.

– Ojciec był innego zdania – odparł kategorycznie Zbyszek. – Więc zrób to przynajmniej przez wzgląd na niego.

Zachnęła się, ale wiedziała, że w tym starciu została pokonana. A kuzyn, uściskawszy jej dłoń, odwrócił głowę w kierunku idących cmentarną alejką ludzi. Na widok podążającego kilka kroków za nimi Aleksandra, który prowadził za rękę synka, Zbyszek zatrzymał się, przez co Kinga także była zmuszona przystanąć.

– Byłem pewien, że maszerujesz w czole kolumny – zagadnął do szwagra, wskazując ruchem głowy na otoczone rojem dam matkę i siostrę.

– To raczej ciebie spodziewałem się tam widzieć – odparł z nikłym uśmiechem Jankiewicz. Ukłonił się przed zmieszaną Kingą, po czym wskazał na malca. – Musiałem go ratować z rąk tego tłumu, prawie się udusił wśród tych wszystkich peleryn i krynolin. Każda z przyjaciółek twojej matki chciała go uściskać i wycalować, za nic mając fakt, że Krzyś tego nie znosi. Jakby i bez tego nie był dziś wystarczająco dezorientowany i zdenerwowany.

– Ejże, posłuchaj dobrej rady wuja i nie okazuj kobietom, że się ich boisz, bo cię zjedzą na surowo. – Zbyszek żartobliwie zmierzwił loki chłopczyka, wywołując nikły cień uśmiechu na jego bladej twarzyczce. Po czym ponownie zwrócił się do Aleksandra: – W takim razie ja do nich dołączę, bo inaczej przez kilka następnych dni będę słuchał labidzenia, że trzymałem się z daleka. Tobie powierzam pieczę nad kuzynką Kingą; przypilnuj, aby dotarła na Kruczą, bo już była gotowa brać nogi za pas w obawie przed twoją

teściową.

– Nieprawda – zaproponowała zapłoniona z gniewu (i nie tylko z tego powodu) Kinga, ale Zbyszek jedynie machnął dłonią i już go nie było.

Jeśli ciotka zobaczy ją teraz w towarzystwie jej zięcia, ugotuje się chyba z wściekłości. A Klementyna gotowa dostać ataku apopleksji.

Pozostało jej jedynie pocieszać się, że to mało prawdopodobne. Burgiewiczowa i jej córka były oddzielone od niej tak szczelnym kordonem sukien, peleryn, kapeluszy, cylindrów i parasoli, a do tego tak zajęte rozmową z otaczającym je towarzystwem, że mowy nie było, by odwracały się i wyciągały szyje, próbując odszukać ją wzrokiem. Kinga, trochę uspokojona tym spostrzeżeniem, obejrzała się na tych, co szli z tyłu – zgadywała, że byli to ludzie, z którymi wuj Stefan pracował i w których towarzystwie czuł się najlepiej. Nigdy nie pasowali do tych, którymi lubiła otaczać się doktorowa, dlatego było raczej nieprawdopodobne, aby zmierzali teraz na Kruczą. Najpewniej zresztą w ogóle nie zostali tam zaproszeni. Nie istniał już żaden powód, dla którego kiedykolwiek mieliby się tam pojawić.

Czyli dokładnie tak jak w moim przypadku, pomyślała ponuro Kinga. Czując na sobie uporczywy wzrok Aleksandra, odpowiedziała na jego spojrzenie, zaraz jednak odwróciła oczy.

– Naprawdę aż tak bardzo boisz się swojej ciotki? – zagadnął pogodnie. – Ty? Nigdy w to nie uwierzę.

– I słusznie – odparła hardo. – Bo tu wcale nie chodzi o strach. – Nie do końca była szczerą, ale mniejsza o to. Czuła się niepewnie i niezręcznie, najchętniej też, jak to wyraził Zbyszek, wzięłaby nogi za pas, ale nie chciała sprawiać przykrości kuzynowi. Nawet jeśli w tym momencie wygarniała mu w myślach, że zostawił ją w towarzystwie Aleksandra. Powierzył ją jego pieczy, jak zaznaczył. Aby zapanować nad skrępowaniem, zagadała do Krzysia, ale dziecko najpewniej już jej nie pamiętało, bo w odpowiedzi



ukryło twarz w surducie ojca.

– Bardzo urósł, odkąd ostatni raz go widziałam – zauważyła mało oryginalnie.

– Owszem. Minęło ponad półtora roku...

Półtora roku? A od jego niespodziewanej wizyty w Krakowie minął już rok? Jak to możliwe? Idąc teraz obok niego, miała takie wrażenie, jakby widzieli się wczoraj. Gdy to sobie uświadomiła, postanowiła jak najszybciej przerwać przedłużające się milczenie.

– Jak to się stało? – spytała pośpiesznie. – Mam na myśli wuja. Czy to był atak serca? A może jakaś inna przyczyna?

– Zbyszek ci nie napisał?

Znowu poczuła na sobie jego uważne, nawet uparte spojrzenie, którego wolała nie odwzajemniać. Potrząsnęła jedynie głową.

– Nie. Przysłał tylko telegram. Krótka wiadomość o śmierci i pogrzebie.

Pierwotnie to właśnie Zbyszka zamierzała wypytać o wszystkie szczegóły, przyszło jej jednak do głowy, że równie dobrze może się tego dowiedzieć od Aleksandra. Zresztą wszystko było lepsze od pełnego napięcia, a przez to coraz bardziej krępującego, milczenia.

– Twój wuj chorował przynajmniej od pół roku – odparł po chwili Aleksander. – Ostrzegałem go, że powinien zwolnić tempo w pracy, ale on, choć zgadzał się z moją diagnozą, nic sobie z niej nie robił. Czasami odnosiłem wrażenie, jakby postanowił wyjść śmierci na spotkanie. Co ma być, to będzie, mawiał. Nie oszuka się przeznaczenia.

– Co mu dolegało? – Kinga wodziła wzrokiem po mijanych nagrobkach, ale tak naprawdę miała teraz przed oczami wuja, gdy odprowadzał ją na pociąg do Krakowa. I po raz kolejny zapewniał, że zawsze będzie mogła wrócić.

– Tak jak wspomniałaś, przede wszystkim serce. Szybko się męczył.

Miewał duszności. Podejrzewałem też anemię i kłopoty z krążeniem. Ale nie chciał porzucać pracy. Kiedyś wprawdzie wspominał, że być może zrezygnuje z niektórych zajęć i obowiązków, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. – Wzruszył ramionami. – Po prostu nie miał zamiaru siedzieć w domu. Tam z pewnością nie mógł liczyć na spokój.

Ilu jeszcze ludzi podzielało tę ostatnią opinię? Kinga była gotowa się założyć, że chyba większość z uczestników pogrzebu.

– Nie miałam pojęcia, że było z nim tak źle – odezwała się z goryczą. – Kilka tygodni temu Zbyszek wspominał, że wuj czuł się gorzej, ale w taki sposób, że nie widziałam powodu do niepokoju.

– Jak już mówiłem, przez dłuższy czas starał się normalnie funkcjonować. Twierdził, że nie ma sensu z powodu jakiegoś przejściowego osłabienia kłaść się do łóżka. Życia mi na to szkoda, powtarzał. Gdy tydzień temu dostał tego ataku, od razu wiedziałem, że już z tego nie wyjdzie. – Aleksander na chwilę zamilkł, po czym rzucił okiem przez ramię i dodał: – Na kilka dni przed śmiercią pytał o ciebie. To znaczy... wymienił twoje imię.

Kinga drgnęła zaskoczona i rzuciła krótkie spojrzenie z ukosa na idącego obok niej mężczyznę.

– Obaj ze Zbyszkiem uznaliśmy, że chyba chciał cię jeszcze zobaczyć. – Aleksander kontynuował cicho, jakby z pewnym wahaniem. – Ale teściowa i Klementyna były innego zdania. Upierały się, że to jedynie bredzenie na poły przytomnego człowieka, który sam już nie wie, czego chce i co się wokół niego dzieje. Takiego zdania był jeden z wezwanych lekarzy i to jemu postanowiły zaufać. Zbyszek się wtedy zawahał, ale dwa dni później doszło do kolejnego ataku i ten okazał się już śmiertelny. Tak czy inaczej, nie zdążyłabyś już raczej do niego przyjechać, nie było szansy, abyś zastała go jeszcze przy życiu.

– O Boże – szepnęła Kinga. Względny spokój, który odzyskała podczas

mszy i ceremonii pogrzebowej, na nowo został zburzony. Najchętniej przysiadłaby na jednym z mijanych kamieni i ukryła twarz w dłoniach. Albo ponownie zaszyła się w jednej z naw kościoła. Przede wszystkim zaś zapragnęła zostać teraz sama. Lecz zamiast tego szła do domu, w którym nigdy nie czuła się dobrze. Aby wraz z licznie zaproszonymi gośćmi wziąć udział w konsolacji. W dodatku z pełną świadomością, że nie była tam mile widziana, a wręcz przeciwnie. Gdyby nie nalegania Zbyszka, z pewnością udałaby się na dworzec, a potem w drogę powrotną do Krakowa.

Poczuła uścisk silnej dłoni na swoim ramieniu i to natychmiast przywróciło jej siły. Wzięła się w garść. Nie może teraz okazać słabości. Nie wobec Aleksandra, lecz przede wszystkim nie wobec tych dwóch kobiet, które nie cierpiały jej do tego stopnia, że sprzeciwiły się nawet ostatniemu życzeniu umierającego męża i ojca. W przeciwieństwie do nich wuj chciał, aby pojawiła się na Kruczej. Zawsze tam na nią czekał, do ostatniej chwili. Nie mogła go zawieść, na pewno nie dziś, nie teraz.

– Nie powinienem był ci o tym mówić – usłyszała i choć wargi Aleksandra niemal dotykały jej ucha, nie cofnęła głowy. – Zbyszek chciał to zrobić i należało go posłuchać. Niepotrzebnie dodatkowo cię zdenerwowałem.

– Nie – odparła już innym, bardziej zdecydowanym tonem. – Dobrze zrobiłeś.

Przynajmniej będę lepiej przygotowana do rozmowy ze Zbyszkiem, a może nie tylko z nim, dopowiedziała już w myślach.

Gdy tylko znalazła się w salonie Burgiewców, podeszła do ciotki i do kuzynki; nie wypadało postąpić inaczej i nie zamierzała stosować tu żadnych uników. Zapewniając Aleksandra, że dobrze postąpił, zapoznając ją z tymi wszystkimi faktami, mówiła prawdę. Wcześniejsze onieśmienie zniknęło niemal bez śladu, czuła się teraz silniejsza i zdecydowanie bardziej pewna

siebie. Gotowa stanąć twarzą w twarz z tymi dwiema i poradzić sobie z ewentualną impertynencją z ich strony.

Na widok zbliżającej się do nich krewnej obie kobiety zeszywniały, a w ich oczach pojawiły się niechęć, wrogość, ale także – co Kinga skonstatowała z pewnym zdumieniem, choć i ponurą satysfakcją – coś na kształt niepewności, może nawet obawy. Spostrzeżenie to dodało jej odwagi, poczuła też, jak odżywa w niej dawna zuchwałość i przekora, postanowiła jednak zapanować nad emocjami i w miarę możliwości nie dać się sprowokować.

– Bardzo mi przykro, droga ciociu, że przyszło nam się widzieć w tak smutnych okolicznościach – zwróciła się do Burgiewiczowej, choć spojrzeniem objęła także kuzynkę. – Nie potrafię wyrazić, jak ogromnym żalem przejęła mnie ta wiadomość. A cóż dopiero mówić o waszej żałobie...

Doktorowa skinęła sztywno głową, jej spojrzenie było lodowate, obce, twarz jakby zamknięta. Klementyna jednak poczuła się w obowiązku odpowiedzieć.

– Nie przypuszczaliśmy, że zdecydujesz się przyjechać na pogrzeb. Z pewnością nie było ci łatwo zwolnić się z pracy, aby wyruszyć w tak daleką podróż – przemówiła, a brzmienie jej ładnego, dźwięcznego głosu, delikatne i niepewne, jednak złagodziło szorstkość powitania.

Kinga rozciągnęła wargi w tak uprzejmym uśmiechu, na jaki zdołała się zdobyć.

– To nie był dla mnie problem – odparła. – Mój pryncypał nie stawiał mi żadnych przeszkód, gdy poprosiłam go o wolny dzień. Zarówno dla niego, jak i dla mnie było oczywiste, co powinnam zrobić. – Głos jej drgnął. – Nawet sobie nie wyobrażałam, że mogłabym nie pożegnać wuja.

Natychmiast spostrzegła, że po nieruchomej twarzy ciotki także przebiegło lekkie drgnienie. Klementyna zaś zbladła jeszcze bardziej.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – rzekła cicho, wykonując przy tym gest zapraszający do jadalni.

Kinga raz jeszcze dygnęła przed ciotką, na co ta ponownie lekko skinęła głową, po czym zaraz przeniosła wzrok na kolejnego zbliżającego się gościa.

Po obiedzie panie zasiadły w salonie, racząc się kawą, podczas gdy panowie udali się do obszernego gabinetu, by wypalić cygaro i pomówić o sprawach, których zwyczajowo nie poruszało się w towarzystwie dam. Kinga najchętniej darowałaby sobie ten punkt programu, była też pewna, że ani Klementyna, ani tym bardziej ciotka nie nalegałyby, aby przedłużała swoją obecność, jednak Zbyszek, zanim zaprowadził panów do gabinetu, zdążył jej szepnąć do ucha, aby jeszcze nie wychodziła.

– Odbędziemy te wszystkie rytuały, a potem porozmawiamy. Obiecuję.

Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak spełnić jego życzenie, choć wymagało to od niej wielkiego samozaparcia i cierpliwości. W salonie usiadła na małej kanapie w kącie, z daleka od miejsca, które zajęły Burgiewiczowa i jej córka. Nikt się do niej nie przysiadł i nie zagadał, z czego zresztą była w duchu bardzo zadowolona. Nic jej przecież nie łączyło z tymi kobietami, miała świadomość, że nigdy jej nie lubiły i traktowały ją z góry, ona zaś tę niechęć z nawiązką odwzajemniała. Nie łudziła się, że uważały ją za niewdzięcznicę, która przysparzała biednej Marii samych trosk i kłopotów, nie respektowała tak cierpliwie wkładanych jej do głowy zasad dobrego wychowania, zawsze chadzała własnymi drogami, aż na koniec – jakby tamtego było mało – wywołała skandal i opuściła ciotkę i wuja. Oto w jaki sposób potraktowała tych, którzy niegdyś zapewнили jej dach nad głową i otoczyli czułą opieką. Teraz zaś, gdy wreszcie wspomnienie tamtej awantury nieco przybladło, pojawiła się znowu i gdyby chociaż widać po niej było oznaki jakiegś skruchy i żalu – i to nie tylko z powodu śmierci wuja – lecz nic z tych rzeczy. Siedzi sobie wyprostowana, rozgląda się zuchwale

dookoła i najwyraźniej w dalszym ciągu nie uważa, by w jej postępowaniu było coś niewłaściwego.

Kinga domyślała się tych wszystkich myśli i spostrzeżeń, a pochwycone tu i ówdzie krótkie, ukradkowe spojrzenia tylko ją w domysłach utwierdzały. Zerknęła na zegar, jednocześnie modląc się, by zdołała wytrzymać tu jeszcze jakiś czas. Po to tylko, by pomówić z kuzynem, by dowiedzieć się od niego czegoś więcej o ostatnich chwilach wuja Stefana. O jego ostatnich słowach, w których wymieniał jej imię. Mimowolnie słyszała także strzępy rozmów i uwag wymienianych przyciszonymi głosami, tonem pełnym uszanowania dla pograżonych w żałobie doktorowej i jej córki. Przypominało to niekiedy szelest papieru lub szorstkiej tkaniny na podłodze, czasem jednak dało się wychwycić poszczególne słowa, a nawet całe zdania.

Burgiewiczowa co chwilę podnosiła do oczu chustkę i przytakiwała. Gdy wreszcie się odezwała, ton jej głosu zabrzmiał zdecydowanie donośniej, niż to miało miejsce w przypadku pozostałych pań.

– Tak, był wielkim, choć niestety nie do końca należycie docenianym uczonym. Wrodzona skromność nie pozwalała mu walczyć o większe uznanie i sławę w tym środowisku. Nie przejmował się, gdy mu mówiono, że w dzisiejszym świecie trzeba umieć robić wokół siebie więcej szumu. Ludzie o nieporównanie mniejszych dokonaniach dochodzą nieraz do większych zaszczytów, bo potrafią dużo krzyczeć na swój temat. Ale on nie chciał o tym nawet słyszeć. Taki właśnie był... – westchnęła, dając tym samym pole do domysłów, czy westchnienie to było wyrazem smutku po odejściu męża, czy też raczej żalu, że nie postarał się o zdobycie większej sławy i rozgłosu.

W salonie zapadło na moment grobowe milczenie, które ośmieliła się w końcu przerwać radczyni Wolska.

– Był też znakomitym lekarzem. Chorzy dobijali się, aby to właśnie on ich leczył.

– I uznanym społecznikiem – dorzuciła inna z pań.

– O, tak. – Burgiewiczowa ponownie podniosła chusteczkę do oczu. – Niestety, zdecydowanie za dużo pracował. Brał na siebie zbyt wiele obowiązków i w rezultacie skończyło się to tragicznie.

Ponownie zapadło milczenie, lecz tym razem ciszę przerwała mała Anetka, siedząca do tej pory spokojnie na kolanach matki. Zaczęła się już wyraźnie niecierpliwić i grymasić. Na nic się zdały wysiłki Klementyny próbującej uspokoić dziecko; mała wierciła się i wyginała na wszystkie strony, aż w końcu głośnym płaczem wyraziła swoje niezadowolenie. Zdaniem Kingi niespełna roczne dziecko i tak wytrzymało nadspodziewanie długo unieruchomienie w objęciach matki, nie dziwiła się więc, że w końcu miało już tego serdecznie dość. Jednak doktorowa popatrzyła na wnuczkę z dezaprobatą, potem zaś przeniosła wzrok na Krzysia, który w kącie pokoju bawił się swoim drewnianym konikiem.

– Mówiłam, abyś zostawiła dzieci pod opieką Tomaszowej albo pokojówki – zauważyła z lekką przyganą w głosie. – Takie zamieszanie jest dziś nie na miejscu.

Kinga po raz kolejny dziękowała Bogu, że siedziała na uboczu i nikt w tym momencie nie widział wyrazu jej twarzy. Najchętniej roześmiałaby się z ironią na całe gardło, co, rzecz jasna, było w tych okolicznościach wysoce niewskazane i nieroztropne, zachowała też dla siebie wszelkie refleksje. Szczerze powiedziawszy, reakcja ciotki niezbyt ją zaskoczyła. Burgiewiczowa bez wątpienia kochała swoje wnuki – trudno było temu zaprzeczyć – niemniej najbardziej ceniła swój własny komfort, ten zaś była w stanie odczuwać tylko wówczas, gdy wszystko przebiegało zgodnie z jej planem, odbywało się według jej własnych reguł. Jedną z nich brzmiała, że dzieci powinno się widzieć, a nie słyszeć – jednak zarówno Krzyś, jak i uwielbiana przez nią Anetka nie dawali się nagiąć do tych zasad.

Oczywiście dzieci są tylko dziećmi, lecz obowiązkiem dorosłych jest wdrożenie im reguł dobrego wychowania. Pogląd ten była gotowa głosić przy każdej okazji, bez względu na okoliczności i obecność większego grona osób. Nikt nie miał odwagi – albo ochoty – zwrócić jej uwagi, że sama w tej dziedzinie odniosła jedynie połowiczny sukces, bo dotyczył on wyłącznie wychowania Klementyny; Zbyszek od małego nie poddawał się żadnym matczynym rygorom, ona zaś nie potrafiła ich skutecznie wyegzekwować.

Klementyna na zwróconą jej publicznie uwagę zareagowała tak samo jak na wszelkie inne krytyczne wskazówki matki – zaczerwieniła się po nasadę włosów i spuściła głowę, jakby wciąż była małą dziewczynką albo dorastającą panienką. Kinga na jej miejscu odbiłaby natychmiast piłeczkę, odpowiadając, że zarówno Tomaszowa, jak i Zosia zajęte są sprząaniem jadalni po obiedzie, co wyklucza równocześnie sprawowanie opieki nad dwójką małych, absorbujących dzieci. Dodałaby przy okazji, że decyzja o tym, kto ma zajmować się jej dziećmi, zależy jedynie do niej – wiedziała jednak, że Klementyna za nic nie zdobyłaby się na tak zdecydowaną reakcję pod adresem matki. Westchnęła tylko, nieporadnie próbując poprawić czepeczek na głowie wierzgającej na wszystkie strony córeczki.

– Czemu nie ma tu ich niani? – kontynuowała z dezaprobatą Burgiewiczowa. – Przecież upominałam cię wczoraj, abyście zabrali ją ze sobą.

– Prosiła o wolny dzień, aby odwiedzić chorą matkę – wyjaśniła coraz bardziej zakłopotana i zawstydzona Klementyna. W dodatku tonem przyłapanej na jakimś figlu małej dziewczynki.

– I czemu się na to zgodziłaś? Akurat dzisiaj, gdy wiadomo było, że będziesz jej potrzebowała. Równie dobrze mogłaby pójść do matki jutro albo każdego innego dnia. Nie zajedziesz daleko, jeśli się będziesz bała własnej służby. Już ci to kiedyś mówiłam, i to nie raz, ale to jak rzucanie grochem



o ścianę. Czemu nikt mnie nie słucha? – dodała, wznosząc teatralnie oczy do góry, co zapewne miało być komentarzem do coraz głośniejszego krzyku wnuczki.

Jednak zgromadzone w salonie damy natychmiast dały do zrozumienia, że przynajmniej one wysłuchały lamentu pani domu, niewykluczone też, że rade były ze zmiany tematu, bowiem wszystkie głosy przybrały na sile. Problemy ze służbą były jednym z najbardziej frapujących, aktualnych, z upodobaniem podejmowanych kwestii. Po pierwsze – umiejętności pokojówek i kucharek nie te, co dawniej. Za to wymagania ze strony służących coraz większe. A pyskate się to wszystko ostatnio porobiło! Byłe podkuchenna nosa zadziera i na każdą zwróconą uwagę się obraża. A jeszcze pilnować trzeba, czy aby nie kradną. To właśnie – jak twierdziła radczyni – przytrafiło się kuzynce jej szwagierki. Po tym, jak odprawiła pokojówkę, zauważyła, że zniknął z domu jeden z lichtarzy i kilka srebrnych sztućców. Niestety, sprawa nie do udowodnienia, skoro po dziewczynie nie został nawet ślad. Najgorsze problemy są jednak z nianiami i mamkami – dowodziła z kolei pani Rudczyńska. Robią, co chcą, a do tego mają czelność uważać, że lepiej od swoich państwa wiedzą, jak postępować z dziećmi pracodawców. W dodatku faktycznie czują się pewnie niczym kawalerzysta w siodle, bo wcale nie jest łatwo znaleźć nową nianię. Nie brakuje wprawdzie w Warszawie różnych przyjezdnych, które szukają pracy, ale jak tu powierzyć dziecko jakiejś chłopce, co to do niedawna za krowami po miedzy chodziła, a do tego wierzy w czary i odprawia jakieś gusła? Poza tym o ile jeszcze doświadczona pani domu potrafi nauczyć służbę jakiego takiego moresu i zmusić do uczciwej pracy, o tyle w stosunku do młodych, a przez to mniej obeznanych z życiem chlebobawczyń, cała ta zbieranina pozwala sobie, ile wlezie. Niech no się tylko zorientują, że młoda pani niewiele jeszcze wie o prowadzeniu domu, a do tego jest miła i nieśmiała, zaraz jej na

głową wleżą, to pewne jak amen w pacierzu. Klementyna nie pierwsza i nie ostatnia. Niestety.

– Ale w końcu się nauczy, jak my wszystkie – podsumowała swoje wywody Rudczyńska. – Nie ma lepszego nauczyciela niż życie, nawet jeśli daje ono gorzkie lekcje – zakończyła tonem, który być może w założeniu miał dodać otuchy, jednak Klementyny bynajmniej nie podniósł na duchu. Choć bez wątpienia zaś podniósł temperaturę debaty.

Kinga także się podniosła, uznając, że nie wytrzyma ani minuty dłużej w tym towarzystwie. Nie miała wątpliwości, że gdy tylko się pożegna i zamknie za sobą drzwi, sama stanie się przedmiotem krytyki, niewykluczone, że nawet znacznie bardziej interesującym niż ta czy inna piastunka, bona czy guwernantka. Bez wątpienia nie zostawią na niej suchej nitki, ale zupełnie o to nie dbała. Nie musiała już dbać, bo szczęśliwie żyła już poza nawiasem tego ich nędznego, ograniczonego i na swój sposób ubogiego światka, tego grajdoła, w którym plotki stanowiły remedium na codzienną nudę, a z braku jakiegokolwiek sensownego zajęcia zajmowano się bzdurami. Kiedyś – właściwie zupełnie do niedawna – zmuszona była na to patrzeć i tego słuchać. Ale należało to już do przeszłości i nikt nie miał prawa od niej oczekiwać, że nadal będzie brała w tym udział. Otóż – nie będzie. Spełniła już swój obowiązek wobec zmarłego wuja, a nawet wobec jego rodziny. Ze Zbyszkiem najwyżej skontaktuje się później, w bardziej sprzyjających warunkach.

Nie zwracając uwagi na odprowadzające ją spojrzenia, podeszła do kanapy, na której siedziały ciotka i Klementyna. Przez chwilę czuła się tak, jakby zbliżała się do tronu królewskiego, ale wrażenie to bardziej ją rozbawiło niż onieśmieliło.

– Cóż to? Już nas opuszczasz? – spytała obojętnie Burgiewiczowa, przypatrując jej się przez binokle, jakby faktycznie nie była w stanie

rozpoznać jej gołym okiem. Były to równocześnie pierwsze słowa, jakie skierowała do siostrzenicy.

– Tak, ciociu. Nie mogę spóźnić się na pociąg – odparła Kinga tonem adekwatnym do tonu ciotki. – Dziękuję za gościnę, ale na mnie już czas. Jeszcze raz zapewniam o moim współczuciu i życzę cioci dobrego zdrowia. Tobie także, kuzynko. – Zerknęła na Klementynę, ta zaś wykonała taki gest, jakby chciała się podnieść i podać dłoń na pożegnanie, ale ostatecznie zrezygnowała.

Skinąwszy głową pozostałym paniom, wśród absolutnej ciszy Kinga opuściła salon. I dopiero gdy zamknęła za sobą drzwi, poczuła, jak dygoczą jej kolana. Ponownie wzięła się jednak w garść, musiała się jeszcze pożegnać ze Zbyszkciem, nie wypadało postąpić inaczej.

Przed drzwiami gabinetu ponownie się zawahała. Z wnętrza dobiegał ożywiony gwar wielu głosów, domyślała się też, że całe pomieszczenie zasnuwane jest dymem z papierosów, ale nie to ją zatrzymało.

– Szuka panienka kogoś?

Drgnęła, usłyszawszy nagle za plecami oschły, niemal skrzekliwy głos Tomaszowej. Wystarczyło kilkanaście miesięcy, by zapomniała, że ta stara miała zwyczaj pojawiać się z nagłą i niepodziewanie w chwilach, gdy najmniej się jej spodziewano.

Kinga powściągnęła jednak odruch niechęci, choć też – inaczej niż w przeszłości – nie zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

– Tak. Chciałam pożegnać się z panem Zbyszkciem – odparła krótko, lecz zanim zapukała, Tomaszowa ponownie zdążyła zainterweniować.

– Panowie są teraz zajęci – rzekła, a jej głos zabrzmiał szorstko i nieprzyjemnie. Nawet bardziej niż w przeszłości. – Nie wypada im teraz przeszkadzać. A już z pewnością nie wypada to młodej panie. – Zmrużyła oczy, tak jak zawsze, gdy chciała okazać swoje niezadowolenie.

Zarówno ton, słowa, jak i spojrzenie do reszty zirytowały Kingę.

– W takim razie niech Tomaszowa tam wejdzie i poprosi pana, aby na chwilę do mnie wyszedł – rzekła, a w jej oczach zapłonął gniew. – Nie mam czasu stać tu i czekać, aż panowie opuszczą gabinet. Śpieszę się na pociąg.

– Nic się panienska nie zmieniła – mruknęła stara. – Nic a nic.

– Przeciwnie. Czuje się już zupełnie inną osobą – odcięła się Kinga i byłaby tym razem zastukała do drzwi, nawet bardziej energicznie i zdecydowanie niż pierwotnie planowała, ale Tomaszowa ponownie ją uprzedziła. Wzdychając przy tym z głębi serca, z wyraźną dezaprobatą.

– Zawiadomię pana, że panienska tu czeka. Choć nie tak to powinno wyglądać.

Nie tak, powtórzyła w duchu Kinga. Nie tak powinno wyglądać życie w tym domu, w tej rodzinie. Także i to dzisiejsze przyjęcie, które w istocie niewiele miało wspólnego ze stypą po zmarłym.

\*\*\*

– Nie powinieneś opuszczać matki i siostry, a także waszych gości. Nie o to mi chodziło – perswadowała Kinga, gdy w towarzystwie kuzyna zmierzała dorożką na dworzec. Uparł się, że ją odprowadzi, i żaden argument nie był w stanie zatrzymać go w domu. – Ciotka Maria i Klementyna będą miały o to pretensje – dodała desperacko.

– Nie ma to dla mnie znaczenia. – Zbyszek wzruszył ramionami.

– Pretensje będą miały do mnie, nie do ciebie – uściśliła. – Wyszedłeś z mojego powodu, to akurat nie podlega dyskusji.

– Dla ciebie nie powinno to mieć znaczenia. Już wkrótce znowu znajdziesz się daleko stąd – uśmiechnął się, zapalając papierosa.

– Cokolwiek ważnego masz mi do powiedzenia, myślę, że mogłoby to poczekać na bardziej sprzyjającą okoliczność. – Kinga nie ustępowała.

– Właśnie dziś mamy taką okoliczność. Żadna inna nie będzie bardziej sprzyjająca.

– Dobrze – westchnęła z udaną rezygnacją. – Skoro tak... Aleksander napomknął mi, że wuj wspominał coś o mnie. Że wypowiedział moje imię.

Przez krótki moment się namyślał, jakby wciąż szukał tych najbardziej odpowiednich słów.

– Rzeczywiście tak się nam zdawało – rzekł. – Ale mówił wtedy bardzo cicho i niewyraźnie. Aleksander był jednak pewien, że chodziło o ciebie. Ale inny z wezwanych wówczas lekarzy zasugerował, że nierzadko w takich chwilach mózg podsuwa choremu jakieś skrawki wspomnień, jakieś dawne skojarzenia. – Skrzywił się. – Ten cały medyczny bełkot zawsze działał mi na nerwy. Za to matka i Klementyna tego właśnie się uchwyciły, zwłaszcza gdy wspomniałem, że może należałoby cię jednak wezwać. Niemal wpadły w histerię, więc nie nalegałem. A potem...

– Wiem. – Delikatnie pogłaskała go po dłoni. – Aleksander mi przecież powiedział. Dwa dni potem wuj doznał ponownego ataku, który okazał się śmiertelny.

Zbyszek przez chwilę milczał, po czym łagodnym, niemniej zdecydowanym ruchem odsunął swoją dłoń.

– Stracił wtedy przytomność – kontynuował matowym, jakby wypranym z emocji tonem. – Byliśmy pewni, że już jej nie odzyska. Oni wszyscy... Rodzina, znajomi... Dalej tak myślą... – Pokręcił głową. – Są przekonani, że odszedł, nie wypowiedziawszy już ani jednego słowa. I dobrze, niech tak dalej uważają.

Nagle Kinga poczuła, że robi jej się gorąco. Że zaczyna się bać.

– Próbujesz mi powiedzieć, że wuj zdążył jeszcze odzyskać przytomność? – wyszeptała.

– Tak.

– Aleksander jednak twierdził...

– Aleksandra przy tym nie było – przerwał jej niecierpliwie. – Powtórzył ci jedynie to, co usłyszał ode mnie, a ja nie powiedziałem mu wszystkiego. Ale może ty powinnaś wiedzieć więcej.

– O czym? – Naraz zrozumiała. Serce jej mocniej zabiło. – Więc jednak wuj ponownie o mnie zapytał, tak?

– Nie mówił o tobie. – I zanim zdołała zareagować, sięgnął za poły surduta i wyciągnął małą paczuszkę obwiązaną szarym papierem. – Nie chcę tego dłużej trzymać przy sobie, a z oczywistych względów nie mogłem też zostawić w biurku ojca – rzekł, z widocznym trudem odwzajemniając jej zdumione spojrzenie. – A wyrzucić lub spalić... Na to również nie potrafiłem się zdobyć. U ciebie będzie to bezpieczniejsze. Zresztą zrób z tym, co zechcesz. Decyzja należy do ciebie.

– O czym ty mówisz? Co to jest? – wydukała.

Wlepiła wzrok w paczuszkę. Potrzebowała dłuższej chwili, by jej dotknąć.

Zbyszek wreszcie odwrócił w jej kierunku głowę. Tak jakby podjęcie decyzji przywróciło mu pewność siebie i spokój.

– Byłem wtedy przy nim zupełnie sam. Nagle otworzył oczy i zaczął się we mnie wpatrywać. Tak jakoś intensywnie, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Lub jakby próbował odgadnąć, kim jestem. Poczułem ciarki na całym ciele i zacząłem coś do niego mówić, ale dał mi znak, abym zamilkł. Tak jakby nie chciał, aby nas ktoś usłyszał. Wskazał na kluczyk do swojego biurka. Wyraźnie wyszeptał imię: Klara. I potem jeszcze raz to powtórzył. Nic więcej nie zdołał już powiedzieć. Reszta jest tutaj. – Wskazał na paczuszkę. – W tych listach.

## ROZDZIAŁ 7

Znalazł je w dolnej szufladzie biurka w gabinecie ojca, gdzie leżały pod stertą różnych innych dokumentów i korespondencji. Wszystko to należało teraz przejrzeć, uporządkować, posegregować. Zdawał sobie sprawę, że to wyjątkowo żmudne zajęcie, z rodzaju tych, które szczególnie go irytowały i nużyły, niemniej, jako początkujący prawnik, miał już okazję się przekonać, że praca w kancelarii to nie tylko pasjonująca przygoda, jaką jest szukanie rozwiązań w skomplikowanych procesach sądowych, ale także – a nawet przede wszystkim – godziny spędzane nad stosami dokumentów, a przy okazji grzebanie się w codziennych, przyziemnych, na ogół nudnych sprawach. Niczego innego nie spodziewał się też po papierzyskach, które zalegały w gabinecie ojca – nie tylko w jego biurku, lecz także w szafach i komodzie.

Imię, które wyszeptał umierający ojciec, początkowo z nikim mu się nie kojarzyło. Uznał, że to zapewne jakaś pacjentka, być może ostatnia, którą zdążył przyjąć, i dlatego właśnie ją w tych ostatnich chwilach wspomniał. Może rzeczywiście była to sprawa ważna, której nie zdążył rozwiązać, a może tylko zwykły, przypadkowy odprysk pamięci bez większego znaczenia. Nie wymienił nazwiska tej osoby – nie sposób było już jednak stwierdzić, czy taki był jego zamiar, czy zrobił to zupełnie nieświadomie. Tak czy inaczej, nie ulegało żadnej wątpliwości, że należało zająć się jego

spuścizną, a w związku z tym wszystkimi pozostawionymi przez niego papierami, a zadanie to należało do jego syna. Zbyszek doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby on się tym nie zajął, uczyniłaby to matka (i podjęłaby się tego z największą ochotą), do tego zaś – czuł to szóstym zmysłem – nie mógł dopuścić.

Tak właśnie zrozumiał gest ojca, gdy ten wskazał mu kluczyk do biurka. ale nawet gdyby Burgiewicz już nie zdołał wyrazić ostatniej woli, Zbyszek i tak by się jej domyślił. Dlatego jeszcze przed pogrzebem otworzył biurko i wyjął na wierzch wszystkie papiery. Dokumentację medyczną zamierzał przekazać współpracownikom ojca. Testament, sporządzony już kilka lat temu, był mu znany, i raczej nie należało się spodziewać, by ojciec w ostatnim czasie wprowadził doń jakieś zmiany. Od razu jednak zaintrygowała go mała paczka, owinięta niedbale szarym, tu i ówdzie przedartym papierem i niczym nieprzewiązana, co z dużą dozą prawdopodobieństwa mogło wskazywać, że doktor od czasu do czasu do niej zaglądał. Zawierała prywatną korespondencję. Pobieżne jej przejrzanie pozwoliło Zbyszkowi ustalić, że nadawczynią była osoba, której imię ojciec wymówił przed śmiercią. Ta sama kobieta była także adresatką dwóch listów, napisanych z kolei przez niego. Z jakiegoś powodu nie zostały jednak nadane. A może odesłane do ojca? Nie mógł być pewien. I właśnie ich lektura wstrząsnęła Zbyszkiem najbardziej.

Kobietą, z którą jego ojciec przez wiele miesięcy prowadził prywatną korespondencję, była Klara Janowska, później już Niwińska. Matka Kingi.

Przez moment Zbyszek wahał się, choć właściwiej byłoby powiedzieć, że sam ze sobą toczył walkę. Najpierw starannie zawinął paczkę, by po chwili ponownie ją otworzyć. Ojciec przecież osobiście, z własnej woli mu wskazał kluczyk. I wypowiedział jej imię – a uczynił to raczej świadomie.

Tak mało go znałem, pomyślał Zbyszek, a wraz z tą refleksją odezwał się



w nim dawny ból, który towarzyszył mu w latach dzieciństwa. Potem, w miarę jak dorastał, ból ten stawał się stopniowo coraz mniej dokuczliwy, wreszcie Zbyszek znalazł sposób, by go oswoić i w rezultacie przestał go odczuwać. A przynajmniej tak właśnie przypuszczał. Jednak teraz, gdy w oczekiwaniu na pogrzeb ojca trzymał w ręku te listy, zrozumiał, że oswojenie się z jakimś problemem nie oznacza jego rozwiązania ani zapomnienia.

W jednej chwili wszystko wróciło – zwłaszcza tamto poczucie osamotnienia i ciągłego smutku. A także pragnienie, by przy najbliższej okazji wyrwać się z domu, w którym nigdy nie czuł się szczęśliwy. W którym wszystko go przytłaczało, a duszna, nieznośna atmosfera wyzwaliała w nim tylko ochotę, by stawać okoniem wobec wszystkich panujących tu zasad i nakazów. Wobec tych wszystkich reguł, których autorką była matka. Jej sposób bycia, przyjaźnie i towarzystwo wiecznie okupujące ich dom przyprawiały go o zawroty głowy.

Ale czuł też żal do ojca. Tego wiecznie nieobecnego mędrca, oddanego bez reszty nauce, cieszącego się niekłamanym uznaniem w środowisku zawodowym. Tego wielkiego autorytetu dla podziwiających go studentów i asystentów. Lekarza, spędzającego wiele godzin u łóżek chorych, do którego dobijali się bezgranicznie mu ufający pacjenci. Wreszcie wychwalanego pod niebiosa społecznika. Zbyszek czuł, że i on powinien był go podziwiać – i do pewnego stopnia rzeczywiście tak było – niemniej w jego stosunku do ojca zawsze dominował żal. Stary miał czas dla wszystkich... tylko nie dla własnej rodziny. Klementyna jakoś sobie z tym radziła, zawsze była bezgranicznie przywiązana do matki i chyba jej to wystarczało. Akceptowała matkę ze wszystkimi jej zaletami i wadami, bo matka, jak przypuszczał, zaspokajała wszystkie jej potrzeby, większych aspiracji nigdy zresztą nie miała. Tak przynajmniej było, dopóki nie poznała

Aleksandra Jankiewicza.

Ze Zbyszkim było jednak inaczej. Nie potrafił i nie chciał zaakceptować zwyczajów matki, i choć zdawał sobie sprawę, że bardzo go kochała, nie mógł jednak liczyć na zrozumienie z jej strony. Tym bardziej więc potrzebował ojca – jego jednak przeważnie nie było. A kiedy czasem się pojawiał i wykazywał inicjatywę, by porozmawiać z synem, okazywało się, że nie mieli już sobie zbyt wiele do powiedzenia. Wszystkie tematy, które Zbyszek zawczasu przygotowywał, nagle przestawały być interesujące albo traciły na aktualności. Nie potrafił odnaleźć odpowiednich słów – i zgadywał, że w przypadku ojca było podobnie. Czasem miał ochotę zacząć na niego krzyczeć, ale i na to się nie zdobył. Zamiast tego mówił do niego jedynie w myślach: Gdybyś wiecznie gdzieś nie znikał, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Nie wariowałbym w tym domu, bo mógłbym o wszystkim ci opowiedzieć. Ale ty wolałeś stąd uciekać. Już jako młodzieniec Zbyszek nie miał wątpliwości, że tak należało nazwać to znikanie. Ojciec uciekał z domu, głównie dlatego, że chciał się trzymać jak najdalej od matki – to oczywiste – lecz uderzało także w jego dzieci.

I w Kingę, tę najbardziej bezbronną z ich trójki. Bo o ile Zbyszka (a poniekąd także Klementynę) matka zamęczała swoją troskliwością i wtłaczaniem do głów różnych bzdurnych nauk, ale przynajmniej robiła to w imię miłości, o tyle Kingi nie znosiła z całego serca i dawała jej to odczuć zawsze, gdy tylko miała ku temu okazję. Oczywiście nigdy przy gościach, domownicy jednak nie mieli wątpliwości co do prawdziwych intencji pani domu. A przynajmniej nie powinni ich mieć. Doktor Burgiewicz z pewnością był ich świadom, czasem nawet – co Zbyszek zauważał – interweniował. Częściej jednak i od tego problemu starał się trzymać z daleka. Dla świętego spokoju, w poczuciu – jak podejrzewał jego syn – że dziewczynka jest przecież bliską krewną żony, on sam ma tu mniej do powiedzenia.

Nie masz racji, bo w sensie formalnym oboje jesteście jej opiekunami – chciał niekiedy zaprotestować Zbyszek, ale tego nie zrobił. Nie było okazji, a poza tym wymagałoby to podjęcia szczerzej rozmowy z ojcem, a tego już nie potrafił. Zresztą z biegiem czasu stracił na to ochotę. Zaczął za to przynajmniej w jednym naśladować doktora – a mianowicie zniknął z domu pod byle pretekstem i możliwie na jak najdłużej. Choć w przeciwieństwie do ojca nie robił tego dla realizacji takich czy innych szczytnych celów i na pewno nie z powodu ciężkiej pracy. Miał błyskotliwy umysł i wiele zainteresowań, toteż zarówno w gimnazjum, jak i potem, na uczelni radził sobie dobrze – choć w zdecydowanie większej mierze zawdzięczał to wrodzonej inteligencji i świetnej pamięci niż systematycznej nauce polegającej na ślęczeniu nad podręcznikami. Na praktykach w Petersburgu także się nie przemęczał, na brak dobrego towarzystwa nigdy nie narzekał. Najchętniej w ogóle by nie wracał do Warszawy, ale nie miał innego wyjścia. Z tego też powodu aplikował do jednej z kancelarii, i choć nie cierpiał tej roboty, to jednak chadzał codziennie do biura, widząc, że tylko to zapewnia mu niezależność finansową od rodziców. W tym możliwość wynajęcia skromnego, niemniej oddzielnego lokum. To zaś w sytuacji, gdy nawet Kinga opuściła mieszkanie na Kruczej, miało dla niego ogromne znaczenie.

Kinga... Zawsze bardzo ją lubił, ale nigdy jej nie pomógł. Podobnie jak ojciec, po prostu wybrał metodę unikania domowych problemów i spychania ich z pola widzenia. Wiedział jednak, że kuzynka na swój sposób dobrze sobie radziła z jego matką, i za to ją zawsze podziwiał. Podświadomie czuł, że dziewczyna nie da sobie zrobić krzywdy, i dlatego wiadomość o jej wyjeździe do Krakowa niespecjalnie go zdziwiła. Znacznie bardziej poruszył go fakt, że tym razem jego ojciec nie zbagatelizował sprawy, lecz udzielił Kindze dużego wsparcia. Tyle że na tym się skończyło. Stary nigdy jej odwiedził, nie pojechał do Krakowa, i Zbyszek znowu podejrzewał, że ojciec

wolał w ten sposób uniknąć dalszego gładzenia żony. A zatem znowu wybrał święty spokój.

I dopiero teraz, gdy przeglądał po kolei każdy z listów, po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że powód, dla którego ojciec stale odkładał swoją wizytę w Krakowie, mógł mieć drugie dno. W każdym razie nawał zajęć i brak czasu nie były jedyną przyczyną. I najpewniej nie były przyczyną najważniejszą.

Lektura tych listów miała jeszcze jeden skutek – sprawiła, że Zbyszek zaczął nieco inaczej postrzegać matkę, a w każdym razie rozumieć jej zachowanie i to ustawiczne rozgoryczenie, które stało za większością jej decyzji.

Dlatego postanowił, że przekaże Kindze listy. Aby i ona to i owo zrozumiała. Choć oczywiście nie była to łatwa decyzja, a powody, którymi je tłumaczył, też były istotne – nie chciał niszczyć tych listów, a zarazem nie chciał ich trzymać u siebie. Już nie mówiąc o tym, że nie wyobrażał sobie, że mogłaby je znaleźć matka, do czego bez wątpienia by doszło, gdyby jej nie wyprzedził. A jednak, gdy odprowadzał wzrokiem odjeżdżający do Krakowa pociąg, wciąż zmagął się z pytaniami: Czy postąpił właściwie? Czy nie lepiej byłoby zachować te sprawy dla siebie, tak jak przez całe lata robił to jego ojciec? Czy takie rozgrzebywanie przeszłości miało jeszcze jakikolwiek sens, zwłaszcza że główni autorzy dramatu już nie żyli? Czy warto było obciążać tym Kingę i wprowadzać dodatkowy bałagan do jej i tak już niełatwego życia?

Wtem, ni z tego, ni z owego, pomyślał o Aleksandrze. A zarazem przypomniał sobie, jak kilka godzin po śmierci ojca siedzieli obaj w jego gabinecie i paląc papierosy, wyglądali bezrefleksyjnie przez okno. Dzień był pochmurny, nad miastem zalegały ciężkie chmury, mżyło. Nie rozmawiali; Zbyszek nie czuł takiej potrzeby i podejrzewał, że podobnie było ze

szwagrem. Ciszę przerwał jednak głośny szloch dobiegający z sypialni zmarłego. Obaj odgadli, że to Klementyna zanosila się płaczem, zaraz też usłyszeli głos doktorowej. Nie odróżniali słów, domyślali się jednak, że próbowała pocieszyć córkę, serwując jej jedną ze swoich umoralniających nauk. Było to jednak karkołomne zadanie, bowiem tym razem Klementyna nie poddawała się porodom matki i Tomaszowej, która jak zwykle przyszła w sukurs swojej pani.

Obaj mężczyźni jak na komendę się skrzywili. Nie mieli wątpliwości, że rozpacz Klementyny była jak najbardziej szczera, żaden z nich jednak nie mógł tego samego powiedzieć o Burgiewiczowej. O Tomaszowej już nawet nie wspominając.

Tak czy owak, cisza została zakłócona, a milczenie stało się kłopotliwe. Zbyszek marzył o zajęciu się czymkolwiek, byle tylko nie słyszeć kobiecych głosów dobiegających z sąsiedniego pokoju. I wtedy szwagier zagadnął go o ojca.

– Dobrze, że w... tamtej chwili to właśnie ty przy nim byłeś – zauważył spokojnie.

Zbyszek drgnął, ale nie oderwał wzroku od ponurego podwórza za oknem.

– Dlaczego? – spytał cicho.

– Bo w twojej obecności umarł spokojnie – odparł szwagier. Jego głos pozornie nie wyrażał żadnych emocji, brzmiał jednostajnie, ale przez to także kojąco. – Przy nich nie byłoby to możliwe. – Ruchem głowy wskazał na ścianę, zza której dobiegały płacz i perswazje.

Zbyszek jedynie pokiwał głową i lekko wzruszył ramionami. W pierwszej chwili chciał odpowiedzieć, że dla ojca nie stanowiło to różnicy, skoro i tak był nieprzytomny, lecz po namyśle postanowił nie poruszać już tej kwestii. Zamiast tego poruszył inną. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

– Wysłałem wiadomość do Kingi. Nie było szansy, aby zdążyła pożegnać go, gdy jeszcze żył, ale na pogrzeb z pewnością przyjedzie. Byli sobie bardzo bliscy.

Zerknął z ukosa na szwagra i natychmiast spostrzegł zmianę na jego twarzy, coś jakby promień słońca w jego na ogół ponurym, zamkniętym spojrzeniu. Trwało to tylko kilka sekund, bo Aleksander szybko zapanował nad swoją pierwszą reakcją, jednak Zbyszek nie miał żadnej wątpliwości, że nie było to złudzenie. Wcześniej – kilka razy – miał już okazję podchwycić ten wyraz w jego oczach. Za każdym razem miało to miejsce wtedy, gdy napomykano o Kindze, bo choć od kilkunastu miesięcy w domu Burgiewiczów już o niej nie mówiono, nie oznaczało to bynajmniej, że postać dziewczyny uległa zupełnemu zapomnieniu. Jeszcze się czasem zdarzało, że tu i tam, w różnych miejscach, ten czy ów ją wspomniał, tyle że starano się nie robić tego w obecności doktorowej.

\*\*\*

Pociąg do Krakowa już dawno zniknął z pola widzenia, ale Zbyszek nie ruszył się z miejsca, wciąż patrzył w tamtym kierunku. Tego właśnie dnia, gdy trumna z ciałem jego ojca znalazła się w ziemi, zrozumiał, że przeszłości nie da się jednak tak łatwo pogrzebać. I nagle naszło go zwątpienie, czy w ogóle kiedykolwiek będzie to możliwe.

## ROZDZIAŁ 8

*(...) Dzisiaj, gdy zobaczyłam kwitnące forsycje, od razu sobie pomyślałam, jak by to pięknie było, gdybyśmy mogli patrzeć na nie razem. Gdybyś tu był teraz ze mną, tak jak wówczas, miesiąc temu. Pamiętasz nasz wspólny spacer? Zatrzymaliśmy się dokładnie w tym samym miejscu, w którym stałam dzisiaj, ale wtedy był jeszcze marzec, zimno, drzewa i krzewy były jeszcze nagie, bezlistne, przyroda spała, nie to, co teraz. Od kilku dni mamy wreszcie prawdziwą wiosnę, wszystko wokół odradza się lub odżywa. Już wkrótce zaczną kwitnąć kasztany, jabłonie i cały Skolimów, a także okoliczne sady i ogrody, utonie w kwiatach, zazielenią lasy. Szkoda, że Cię tu teraz nie ma. Bo tam, w Warszawie, wiosna niby ta sama, a jednak inna (...).*

*(...) Przebrnęłam jakimś cudem przez „Narodziny tragedii, czyli hellenizm i pesymizm”. Lecz wierz mi, zrobiłam to jedynie dlatego, by nie przegrać naszego zakładu. Twierdziłeś, że nie dam rady tej lekturze, i niejednokrotnie miałam zamiar zaprzestać dalszej walki i przyznać Ci rację. Ostatecznie wytrwałam, ale do Nietzschego nie zajrzę już nigdy więcej. Mogę przyjąć do wiadomości jego krytykę idei równości wszystkich ludzi, odrzucenie pokory i cierpienia,*

*a w związku z tym atak na socjalizm, a nawet na chrześcijaństwo – każdy człowiek ma prawo do swoich poglądów – lecz nie mogę się oprzeć przekonaniu, że akceptacja tych zasad i życie według tych reguł jest prostą drogą do samozniszczenia. Nie znaczy to oczywiście, że pochwalam Schopenhauera i jego koncepcję ludzkich potrzeb, zbiorowej woli i cierpienia. Nie dziwię się, że jego wykłady w Berlinie nie przyciągały słuchaczy. Że woleli Hegla.*

*Lecz dość już o tym. Czy Ci się to podoba, czy nie, nie jestem chyba typem intelektualistki. Tak zaawansowany poziom abstrakcyjnych rozważań sprawia, że zaczynam się w tym wszystkim gubić. Ja zaś przede wszystkim pragnę cieszyć się życiem, odkrywać jego urodę i radość, gdzie to tylko możliwe, nawet w drobnych, codziennych, przyziemnych sprawach. Gdy czuję, że mój umysł poddał się zbyt dużemu rozleniwieniu, wolę sięgnąć po książki Stefanii Sempołowskiej czy nawet Klementyny Hoffmanowej, tudzież jakąkolwiek inną publicystykę poruszającą kwestie społeczne, także rolę kobiet. Już widzę, jak się krzywisz, ale nic na to nie poradzę, że czasem lubię się z Tobą podrażnić.*

*Bardzo tęsknię do kolejnego spotkania i rozmowy w cztery oczy. Listy mi nie wystarczają.*

Od połowy lat siedemdziesiątych ton listów zaczął się wyraźnie zmieniać.

*(...) Byłam wczoraj na koncercie w Sulimowie. Wiesz, w tym małym budynku na rynku, który okoliczni mieszkańcy nazywają miejscowym teatrem i z którego są bardzo dumni. Widziałeś to miejsce w lipcu zeszłego roku, gdy poszliśmy tam razem z Marią i ojcem. Co jakiś czas odbywają się tam występy amatorskich grup teatralnych lub popisy solowe. I choć poziom wykonawców – jak to w przypadku*



*amatorów bywa – jest bardzo zróżnicowany, to jednak przedstawienia te nieodmiennie przyciągają dużą publiczność. Dla nas, prowincjuszy, to niemal jedyna rozrywka i tylko mieszkańcy dużych miast – jak Ty, Kochany – pozwalają sobie z nich pokpiwać i kręcić nosem. Niemniej nie mogę doczekać się lata – wtedy przyjeżdżają profesjonalne zespoły teatralne, choć i one rzadko kiedy decydują się na bardziej ambitny repertuar. Muszą przecież zarobić na utrzymanie, co oznacza konieczność dostosowania się do gustów odbiorców. I oczywiście nie są to gwiazdy teatrów warszawskich, krakowskich czy lwowskich. Ci najbardziej znani artyści raczej nie zaglądają do takich miejsc jak Sulimów. W każdym razie nie po to, by dawać tu występy (...).*

*(...) Przypuszczam, że ojciec domyślił się wszystkiego albo prawie wszystkiego. Nie wygłosił mi jeszcze żadnej uwagi na ten temat (możliwe zresztą, że wcale tego nie robi), ale poznaję to po jego spojrzeniu. Czasami, gdy dostrzegę, albo przynajmniej poczuję na sobie, ten jego zatroskany wzrok, serce podchodzi mi do gardła i nogi się pode mną uginają. Chciałabym go wtedy zapewnić, że wszystko będzie dobrze i nie musi się o mnie martwić, ale nie potrafię się na to zdobyć. To przecież do niego należy pierwszy krok, to on powinien podjąć ten temat – jednak milczy. Zresztą, nawet gdyby rzeczywiście zaczął o tym mówić, i tak nie mogłabym go zapewnić, że wszystko będzie dobrze i nie musi się o mnie martwić, bo to przecież nie byłaby prawda. Takie historie przeważnie nie kończą się najlepiej, w każdym razie nie dla wszystkich. Zawsze ktoś jest pokrzywdzony, zawsze ktoś płacze. Nawet jeśli ojciec faktycznie nie musi martwić się o mnie, to przecież pozostaje jeszcze Maria. A o nią troszczy się nie mniej (...).*

*Drogi Stefanie,*

zdaję sobie sprawę, że niepokoiło Cię moje milczenie, bo od ponad miesiąca – jak sam mi w ostatnim liście wytknąłeś – nie miałeś ode mnie żadnej wiadomości. Miałam jednak ku temu swoje powody, ważne powody, które spróbuję Ci teraz wytłumaczyć, choć Bóg mi świadkiem, że nie jest to dla mnie łatwe. Jednak muszę wreszcie stawić temu czoła i spojrzeć prawdzie w oczy. Nie pisałam tak długo, bo potrzebowałam czasu, by się uspokoić, jeszcze raz to sobie przemyśleć, w miarę możliwości na spokojnie, z dystansu. Emocje nie są dobrym doradcą, czego przykładem są Twoje listy, zwłaszcza ostatni. Przyznam, że nie tylko mnie zasmucił, ale wręcz wystraszył. Niepotrzebny był ten szantaż z Twojej strony, że w razie mojej odmowy albo dalszego braku odpowiedzi przyjedziesz do Sulimowa i osobiście pomówisz z moim ojcem. Tak, nazywam to szantażem, nie cofam tego słowa – dobrze przecież wiesz, co oznaczałoby ten przyjazd i rozmowa. Jedyne nowe skandal, nowe cierpienie i kolejne łyzy, inaczej nie mogłoby się to skończyć. W dodatku ucierpieliby Bogu ducha winni ludzie, a do tego nie wolno nam doprowadzić.

Mylisz się bowiem, twierdząc, że wszystko da się jeszcze odkręcić, wyjaśnić, wybaczyć i w rezultacie wszyscy będą z tego zadowoleni. To nieprawda, takie rozwiązanie jest możliwe jedynie w tanich romansidłach; w realnym życiu wszystko wygląda inaczej. Maria nigdy by nam tego nie wybaczyła, podejrzewam zresztą, że dobrze o tym wiesz, a jedynie próbujesz uciec przed prawdą. Być może Ty nie potrzebujesz jej wybaczenia, ze mną jednak sprawy mają się inaczej. To moja siostra i choć w niejednym się różnimy i o wiele spraw sprzeczamy, to przecież kocham ją z całego serca. Odkąd sięgam pamięcią, była częścią mojego życia, i pragnę, aby tak pozostało. Co, rzecz jasna, nie będzie możliwe, gdy z mojego powodu zerwiesz Wasze

zaręczyny. Widzę przecież, jak zresztą wszyscy dookoła, że jest w Tobie nieprzypadkowo zakochana. I jak cieszą ją przygotowania do ślubu i wesela, jak je przeżywa. Ty możesz sobie z tego drwić, a zarazem żartować na temat jej wyprawy – ja nie potrafię. Mnie podobne kpiny nie przeszłyby przez gardło i obym nigdy nie zaczęła Cię w tym naśladować.

Prawdą jest, że – jak twierdzisz – człowiek ma prawo popełnić błąd nawet w najbardziej fundamentalnej sprawie. Nie oznacza to jednak, że zawsze, bez względu na okoliczności wolno mu wycofać się z każdej wcześniejszej decyzji i zobowiązania. Stoi to w sprzeczności z prostymi zasadami przyzwoitości i odpowiedzialności nie tylko za własne czyny, ale i za innych ludzi. Zwłaszcza jeśli są to nasi najbliżsi.

Nie traktuj tych słów jak belferskiej reprimendy, nawet jeśli uznasz, że są szorstkie i bije od nich chłód. Nie o to mi chodziło, nie osądzam Cię, mój Drogi, bo przecież nie mam do tego prawa. Ja przecież także w tym uczestniczyłam, także popełniłam błąd, bo nie tylko pozwoliłam Ci się zaangażować, ale i sama uległam temu uczuciu. Nie powinnam była do tego dopuścić; ani do spacerów po okolicznych polach i lasach, ani do zwierzeń, a już na pewno nie do uścisków i pocałunków. Podle się teraz czuję, bo gdybym już na początku wyznaczyła wyraźną granicę, nie doprowadziłabym do rozterek, z którymi teraz się zmagasz. Z którymi oboje się zmagamy. Masz słuszość, że jeszcze nie jest za późno, ja jednak wysnuwam z tego zupełnie inne wnioski niż Ty. Nie możemy zerwać ze sobą kontaktów, nie przestaniemy się widywać – właśnie ze względu na Twoje zaręczyny z Marią. Wkrótce przecież będziemy rodziną. Zarazem jednak, także ze względu na nią, musimy zmienić charakter

*naszych relacji. I to już teraz, bez zbędnej zwłoki. To ostatni moment, bo potem rzeczywiście może być już za późno.*

*Wbrew temu, co twierdzisz, nie możesz mieć żadnej pewności, że byłbyś ze mną szczęśliwszy niż z nią. Za to na pewno skazalibyśmy się na samotność, bo naszego związku nie poparłaby ani Twoja, ani moja rodzina. Wprawdzie ojciec nie odwróciłby się ode mnie, ale żyłby w nieznośnym rozdarciu między mną a Marią, a tego nie mogłabym mu zrobić. Myślę też, że Maria będzie dla Ciebie dobrą żoną – posiada bowiem te wszystkie zalety, o których wielokrotnie wspominała Twoja matka. Jest dojrzała, zdecydowanie bardziej praktyczna i zapobiegliwa ode mnie. Ma silny charakter i potrafi być prawdziwym wsparciem dla tych, których kocha. Wiem, że teraz nie docierają do Ciebie takie argumenty, bo z mojej winy kierujesz się przede wszystkim emocjami, ale za jakiś czas, gdy kurz opadnie, zdobędziesz się wreszcie na obiektywizm i dostrzeżesz dobre strony takiego rozwiązania. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.*

*Klaro, Najdroższa, nie pojmuję Twoich słów. Nie pojmuję, co się z Tobą stało. Skąd ta nagła odmiana? Ten chłód, te wyważone zdania. Przyznam, że zacząłem nawet podejrzewać, czy to naprawdę Ty jesteś autorką tamtego listu, bo tak był różny od wszystkich, które wcześniej od Ciebie otrzymywałem. Przyjaźń? Miałoby mi to wystarczać po tym wszystkim, co nas łączyło? I co nadal – wierzę w to gorąco – łączy? Jak mielibyśmy razem funkcjonować w tej rodzinie? Ja jako Twój szwagier? Każde rodzinne spotkanie byłoby w tych warunkach dla mnie nieznośną torturą. Nie wierzę, nie przyjmuję do wiadomości, że Ty odbierałabyś to inaczej. Nie obawiaj się, nie przyjadę do Twojego domu, jeśli – jak przesadnie skądinąd podejrzewasz – miałoby to doprowadzić do skandalu i spowodować inne cierpienia i kłopoty. Ale*

*błagam, Najdroższa moja, raz jeszcze przemyśl to sobie.*

*Ja ze swej strony uparcie powtórzę, a jeśli trzeba, będę powtarzał bez końca, do znudzenia: Ludziom zdarza się podejmować błędne decyzje, także w tych fundamentalnych sprawach. Czy to oznacza, że nie mogą już się z nich w żaden sposób wycofać? Nie wolno im niczego naprawić? Nie mają prawa do szczęścia? Kto lub co spowodowało, że sprawiasz wrażenie innej, niemal nieznannej mi osoby?*

*Co się z Tobą dzieje, Klaro?! Dotąd nie przejawiałaś takich skrupułów. To, co teraz wyrabiasz, do czego mnie zmuszasz, to szaleństwo i okrucieństwo. Czuję, że nie jesteś szczerą, że nie wyznałaś mi wszystkiego. Czy nawet na to nie zasługuję? Na uczciwość i bezwarunkową szczerą z Twojej strony? Jak dotąd przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie Twojej metamorfozy: W Twoim życiu pojawił się ktoś inny, pokochałaś innego mężczyznę. I choć z trudem mieści mi się to w głowie, to muszę poznać prawdę. Nie dam Ci spokoju, będę pisał po kilka razy dziennie, aż dowiem się wszystkiego.*

*(...) Tak, zgadłeś. W moim życiu pojawił się ktoś inny. Nie chciałam Ci o nim pisać, zdając sobie sprawę, jak byś to przyjął w swoim obecnym stanie. Nie oznacza to jednak, że zamierzałam trzymać to bez końca w tajemnicy. Prędzej czy później i tak byś się przecież dowiedział. Przyjmij też do wiadomości, że nie masz prawa niczego mi w tej kwestii zabraniać, a Twoja akceptacja nie jest mi do niczego potrzebna. I proszę, daj mi wreszcie spokój. Odsyłam Ci Twój poprzedni list, abyś wiedział, że tak samo postąpię z każdym kolejnym. Może wtedy wreszcie przyjmiesz do wiadomości, że to koniec (...).*

*(...) Ach tak, więc tym razem chodzi o jakiegoś pożał się Boże aktorzyne?! Myślałaś, że się nie dowiem, o kogo konkretnie? W takim razie musiałaś mnie uważać za kompletnego niezgułę – jak wszyscy inni. Za bezwolnego ciamajdę, który usłużnie i bez protestu przyjmuje wszystko, co zsyła na niego los lub sprowadzają mu na głowę jego bliźni. Ale omyliłaś się co do mnie, Klaro. Nie zamierzam się poddać, nawet jeśli okazałaś się inna, niż myślałem. A więc uważasz, że małżeństwo ze mną byłoby skandalem, i to tylko z tej przyczyny, że musiałbym wcześniej zerwać zaręczyny z Twoją siostrą? Jak w takim razie nazwiesz pokątne uściski wymieniane z jakimś drugorzędnym aktorem, a raczej nieopierzonym chłopakiem, któremu marzy się aktorstwo i dlatego włóczy się po kraju w rozklekotanych wozach razem z podobnymi sobie oberwańcami? Będziesz się włóczyć razem z nim? Wiem, że byłabyś do tego zdolna, ale co na to Twoja bogobojna rodzina? Nie będzie to dla nich większym ciosem, niż gdybyś zgodziła się zostać ze mną?*

Kinga odłożyła na bok wszystkie kartki, zarówno te już przeczytane, jak i te, do których jeszcze nie zajrzała. W głowie jej się kręciło, oczy szczypały ze zmęczenia, dłonie drżały. Rozsądek podpowiadał, że powinna udać się już na spoczynek – zegar wskazywał drugą po północy, a z samego rana musiała iść do pracy. A jednak się nie poruszyła, nie była w stanie. Jakby dopiero teraz jej organizm zareagował na wszystkie wzruszenia, na nieznośne napięcie, które nie odstępowało jej przez całą minioną dobę. Zarazem poczuła zmęczenie, które odebrało jej niemal wszystkie siły. Nie była zdolna do żadnej refleksji. Odniosła za to wrażenie, że jej głowa jest ciężka jak ołów. Nie zastanawiając się wiele, objęła ją dłońmi i oparła się o stół. W takiej pozycji zasnęła.

## ROZDZIAŁ 9

Następnego dnia stawiała się w sklepie jako pierwsza, jeszcze przed subiektami. A nawet przed przyjściem Antoniego – co jeszcze nigdy dotąd nie zdarzyło się żadnemu pracownikowi. Nie była jednak w stanie zostać dłużej w domu, w tej ponurej kanciapie. Tak mówili o jej pokoju Zbyszek i Aleksander. Wprawdzie żaden z nich nie użył aż tak dosadnego określenia, niemniej wystarczająco jasno dali do zrozumienia, co myślą o zajmowanym przez nią lokum. Wtedy się tym nie przejęła, nie zależało jej, by wynajmowany przez nią pokój z kuchnią był przytulnym, ładnie urządzone gniazdkiem. Traktowała go bardziej jak noclegownię niż dom, w którym spędza się wolny czas i podejmuje rodzinę i przyjaciół. Oprócz Amelii nie miała w Krakowie innej rodziny, a ciotka wołała zapraszać ją do siebie niż odwiedzać w tej ponurej ruderze, jak się kiedyś wyraziła. Przyjaciół zresztą także nie miała, a nawet gdyby było inaczej, nie proponowałyby im gościny. Wystarczyły jej komentarze właścicielki na temat krótkich wizyt Aleksandra i Zbyszka. Nie łamała sobie głowy z powodu ewidentnych niedostatków w wyglądzie i wyposażeniu tego mieszkania. Tak było aż do dzisiejszego ranka.

Gdy bowiem bladym świtem ocknęła się i podniosła głowę, gdy oswoiła wzrok z wpadającym przez niezastłonięte, zakurzone okna światłem poranka, natychmiast – jak nigdy dotąd – rzuciła jej się w oczy brzydota

pomieszczenia. Wrażenie to spotęgował dodatkowo ból karku i pleców, a także zdrętwiałe ramiona i dłonie, na których od kilku godzin opierała głowę. Ostrożnie rozprostowała ręce i nogi, ale potrzebowała jeszcze kilkunastu minut, by się rozgrzać i jako tako doprowadzić się do porządku. W ciągu nocy pokój zdążył się bardzo wychłodzić – odniosła wrażenie, że nawet bardziej niż zazwyczaj – dlatego gdy wreszcie zdołała podnieść się z krzesła, poczłapała do małej kuchenki, by przygotować sobie gorącą herbaty. Odgarnęła na bok zawalające stół listy; kilka z nich spadło na podłogę, ale nie schyliła się po nie. W głowie miała kompletną pustkę, a kiedy wreszcie pustka ta ustąpiła, pierwszym, co pojawiło się w jej miejsce, było przypomnienie słów ciotki Marii: Jesteś owocem zatrutego drzewa, niczym więcej. To wystarczyło, by Kinga zapragnęła jak najszybciej wyjść z domu. Czuła, że jeśli zostanie tu dłużej, zupełnie sama, zacznie krzyczeć wniebogłosy.

Pomimo bardzo wczesnej pory na zewnątrz nie było zimno, na pewno cieplej niż w starej kamienicy; zapowiadał się przyjemny, wczesnowiosenny dzień. Jak dotąd marzec nie był szczególnie łaskawy i słoneczny, ale wyglądało na to, że wreszcie idzie ku lepszemu – jak to ujął stróż, który zagadał do niej na podwórzu.

Idzie ku lepszemu? – skrzywiła się w duchu. No cóż, zależy, jak na to patrzeć. Na pewno nie pod każdym względem.

Lubiła panującą o świcie ciszę, gdy większość ludzi dopiero otwierała oczy, a na ulicach można było spotkać tylko bardzo nielicznych przechodniów. Sama także rzadko wychodziła z domu o takiej porze, jednak za każdym razem, niezależnie od pogody, cieszyła się panującym wokół spokojem. Poranki zawsze nastrojały ją optymistycznie, nawet wtedy, gdy nie wszystko układało się po jej myśli. Nawet wtedy, gdy przeżywała rozterki i niepokoje. Blask rozpoczynającego się dnia dawał nadzieję, że w końcu



wszystko się jakoś ułoży.

Tym razem było inaczej.

Przeżycia poprzedniego dnia, pogrzeb wuja Stefana, a także rozmowa ze Zbyszkiem – to, czego się od niego dowiedziała – poruszyły ją głębi. Zaś lektura listów, które jej przekazał, dopełniła czary goryczy... Była to bowiem nie tylko korespondencja dwojga zakochanych, których drogi w końcu się rozeszły, lecz także świadectwo wielkiej namiętności, która utrudniała rozstanie. I – jak czas pokazał – miała się położyć cieniem nie tylko na ich życiu, ale także na losach pozostałych członków rodziny.

Wuj był już wówczas narzeczonym ciotki Marii. Dlaczego się jej oświadczył, skoro zakochany był w jej młodszej siostrze? Tak czy owak, zaręczyny nie są tożsame z zawarciem małżeństwa; są tylko jego obietnicą. Przypadki zerwania zaręczyn wcale nie zdarzają się tak rzadko. Z różnych powodów para narzeczonych (lub ich rodzice) dochodzą do wniosków, że takie zobowiązanie było błędem i lepiej zawczasu się z niego wycofać. W tym względzie Kinga była gotowa przyznać rację wujowi Stefanowi, gdy takimi właśnie argumentami starał się przekonać Klarę. Nieskutecznie – ta bowiem uznała, że nie chce zranić swojej siostry, zmartwić ojca i wywołać zamieszania w rodzinie. A poza tym – do czego się w końcu otwarcie przyznała – poznała Leona Niwińskiego. Drugorzędnego aktorzyne, jak go nazwał zraniony do głębi Stefan.

Ten ostatni przeczytany wczoraj list poruszył Kingę do głębi, zarazem jednak wywołał ambiwalentne uczucia. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że na dobrą sprawę nie znała wuja. Człowiek, który był autorem tych listów, w ogóle nie pasował do osobowości Stefana Burgiewicza, zamkniętego w sobie introwertyka, który starał się nie demonstrować zanadto uczuć. W każdym razie nie w taki sposób. Lecz z drugiej strony, czy tak właśnie nie dzieje się z introwertykami? Fakt, że na co dzień zamykają się w swojej

skorupie, nie oznacza przecież, że są pozbawieni uczuć, że nie doświadczają żadnych emocji. Te zaś, gdy wreszcie osiągną poziom krytyczny – często eksplodują. I to z siłą, która niszczy wszystko wokół.

Czy w przypadku wuja też tak się stało? Czy spełnił swoją obietnicę, że nie pogodzi się z wyborem Klary i będzie o nią walczył? Raczej nic na to nie wskazywało. Wręcz przeciwnie, zgodnie z jej wolą nie zerwał zaręczyn i ożenił się z Marią, choć już wtedy nie miał wątpliwości, że popełnia błąd, że z tej mąki chleba nie będzie. Co zresztą widział potem każdy, kto miał okazję poznać Burgiewiczów, nawet jeśli mało kto zdobywał się na otwarte wyrażenie swojej opinii na temat ich związku. W każdym razie Stefan poślubił Marię, a Klara wyszła za „aktorzynę”. Tyle że wbrew zjadliwym przewidywaniom Burgiewicza, nie włączyła się ze swoim mężem rozklekotanym wozem, należącym do trupy aktorskiej, bo – wedle słów Amelii – Niwiński po ślubie przedzierzgnął się w poczciwego mieszczanina, porzucił zespół i zatrudnił się w jednym z krakowskich czasopism.

Kinga zapragnęła teraz poznać więcej szczegółów na temat tego, co stało się w przeszłości. Od wuja Stefana już się tego nie dowie – zresztą skoro przez tyle lat o niczym jej nie napomknął, to pewnie nawet gdyby jeszcze żył, w dalszym ciągu trzymałby to w tajemnicy. Być może tak właśnie należało zinterpretować jego ostatnią prośbę, którą skierował do syna – aby ten zabrał listy z biurka. Być może po to, by je zniszczyć. Nie tylko dlatego, by – jak przypuszczał Zbyszek – nie dostały się w ręce Marii. Nie można zresztą wykluczyć, że ciotka była świadoma lub domyślała się afektu męża do jej siostry – mógł na to wskazywać sposób, w jaki traktowała siostrzenicę. Jednak bardzo możliwe, że Burgiewicz przede wszystkim nie chciał dopuścić, aby te listy zobaczyła i przeczytała właśnie Kinga. A Zbyszek – najpewniej nieświadomie – postąpił wbrew woli ojca.

Pochłoniętej tymi myślami Kindze trudno było tego dnia skupić się na

pracy. Siedząc nad stosem dokumentów, kilka razy zerknęła na starego Gajewskiego. Pryncypał już wcześniej to i owo opowiedział jej o Leonie i Klarze. Wyraził osobistą opinię, ale opinia ta była nierozzerwalnie związana z jego córką. Z jej niespełnioną i nieodwzajemnioną miłością do kuzyna, która tak bardzo zaważyła na jej życiu. Powiedział tyle, ile uważał za słuszne, i wszystko wskazywało na to, że nie chciał już drążyć tego tematu. Wobec tego pozostawała Amelia. Ona także ze zrozumiałych względów nie będzie do końca obiektywna, ale mniejsza z tym. Ważne, ile się da wyłowić z jej wspomnień. I czy w ogóle będzie skłonna ponownie się w nie zanurzyć.

Ale może powiedziałyby przynajmniej, w jakich okolicznościach jej kuzyn poznał swoją przyszłą żonę? To raczej nie było dla niej tajemnicą.

Jak się jednak kilka godzin później przekonała, pytanie to zaskoczyło ciotkę.

– Nie wiedziałaś? – spytała i nie wyglądało na to, że jej zdumienie było udawane. Choć z drugiej strony – jako aktorka, i to zapewne potrafiłaby zagrać. – Nikt ci nie powiedział?

– Nie. A niby kto miałby mi o tym mówić? – odbiła piłeczkę Kinga i sama w duchu przyznała, że zabrzmiało to trochę zaczepnie.

– Kto? Na przykład twój dziadek.

– Przecież wiesz, że miałam osiem lat, gdy umarł. Być może uważał, że za wcześnie na takie rozmowy, i czekał, aż będę trochę starsza. Tyle że...

– Tyle że nie zdążył – zauważyła z przekąsem Amelia. – Już to słyszałam, już tak kiedyś tłumaczyłaś jego zadziwiającą dyskrecję.

– Nie mów tak o nim – zaproponowała gniewnie Kinga. Nie podobał jej się ton ciotki. Amelia czasami ją irytowała, zwłaszcza wtedy, gdy przybierała podobne pozy, zdecydowanie bardziej pasujące do teatralnej sceny.

– A jak niby mam mówić?! – odparła dość ostro Gajewska. – Nie masz zielonego pojęcia o sprawach, o których przynajmniej co nieco powinnaś

wiedzieć. I to właśnie od twojego dziadka, bo to nie kto inny, jak właśnie on podjął się opieki nad tobą. I dlatego, z łaski swojej, nie próbuj go stale usprawiedliwiać. Umarł, gdy miałaś osiem lat, nie osiem miesięcy. Ośmioletniemu dziecku można już co nieco opowiedzieć. Zwłaszcza na temat jego rodziców.

– Coś mi przecież powiedział. Przyznaję, że niewiele, ale ja również nie zadawałam mu żadnych pytań. Zapewnił mi kilka lat szczęśliwego dzieciństwa i pewnie dlatego starałam się nie myśleć o tym, co było wcześniej. O ludziach, których nawet nie pamiętam – odparła zapalczywie Kinga. W głębi duszy musiała jednak przyznać ciotce rację. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Nie musisz od razu się dąsać – podjęła po chwili Gajewska, tym razem już bez ironii w głosie. – I nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego. Twoi rodzice poznali się w Sulimowie. Nasz zespół miał tam występ. W tym małym, dość obskurnym domku, w którym jedno z pomieszczeń – podobno to najobszerniejsze – miało scenę i ławki na widowni i dlatego okoliczni nazywali je salą teatralną. Nie byliśmy jedyną trupą, która przyjeżdżała do takich małych miasteczek, takie były i są realia tej pracy. Przyjmowaliśmy każde zaproszenie, a nierzadko sami się wpraszaaliśmy. Liczyła się każda sposobność zarobku, a w takich miejscach, na głębokiej prowincji, było to jak najbardziej możliwe. Ważne, by repertuar był dobrany do gustu odbiorców, by ich nie nużył i nie irytował. Komedianci mieli zabawiać zmęczonych codzienną pracą lub codzienną nudą ludzi. Podobną rolę pełniły tak zwane teatryki ogródkowe w większych miastach, gdzie nierzadko po prostu umilaliśmy konsumpcję gościom siedzącym przy kawiarnianych stolikach. A tacy też nie lubili bardziej ambitnych sztuk i potrafili dosadnie wyrazić swoje niezadowolenie. Byliśmy więc skazani na odgrywanie nieskomplikowanych komedijek i fars.

– Ojciec brał udział w tym przedstawieniu w Sulimowie? – spytała cicho Kinga; słowa ciotki zrobiły na niej przykre wrażenie. – I ty także?

– Tak. Byłam jedną ze statystek w jakiejś francuskiej farsie. Pamiętam, że publiczność pokładała się ze śmiechu – odparła z przekąsem Amelia. – Ale zarobek był niczego sobie.

– A... ojciec? – Kinga czuła, jak zapiekły ja policzki. Czy, na miłość boską, ojciec także był jednym ze statystów w podobnym przedstawieniu? W tym momencie była niemal w stanie zrozumieć oburzenie i niechęć ciotki Marii, gdy ta czasem zająknęła się na temat szwagra. A także zjadliwą ironię wuja Stefana, której dał wyraz w swoim liście do Klary.

Amelia przestała się jednak dwuznacznie uśmiechać. Spoważniała, a w jej oczach pojawiło się wzruszenie.

– Występ Leona był ostatnim punktem programu. Zagrał fortepianowe solo. Nie wszystkim się to spodobało, ale niektórzy widzowie zostali. W każdym razie sala nie świeciła zupełnymi pustkami.

– Grał na fortepianie? – wyszeptała Kinga, czując, że udziela jej się nastrój ciotki.

– Nie tylko na fortepianie. Także na skrzypcach... i na organach. O tym, jak widzę, także nie miałaś pojęcia.

Tej rękawicy Kinga nie podjęła.

– A zatem, jak rozumiem, moja matka była wśród tych, którzy wtedy zostali na sali.

Amelia jedynie skinęła głową; nie ulegało wątpliwości, że nie miała ochoty na dalsze wspomnienia. Kinga rozumiała, w czym tkwiła przyczyna tej niechęci, toteż postanowiła dać jej już spokój i nie drażnić. Podniosła się więc i wyciągnęła rękę na pożegnanie, Amelia jednak nie poszła jej śladem, lecz odwróciła twarz do okna.

– Ze strony Leona była to miłość od pierwszego wejrzenia – rzekła i głos

jej drgnął. – Zmienił dla niej wszystkie swoje plany, a dotychczasowe marzenia przestały być dla niego ważne.

– Wiem, ciociu – wtrąciła miękko Kinga. – Już mi mówiłaś, że porzucił teatr i znalazł sobie posadę. Ale i ona porzuciła dla niego całe dotychczasowe życie.

– Niezupełnie. – Na twarzy Amelii pojawił się trudny do zinterpretowania wyraz. Smutku? Ironii? A może żalu? – Choć bez wątpienia próbowała – dodała po chwili.

– Masz na myśli to, że nie zdobyła się na zerwanie kontaktów ze swoim ojcem? – zachnęła się Kinga. – Ale chyba trudno czynić jej z tego powodu wyrzuty. Zwłaszcza że dziadek robił, co tylko mógł, aby nie stracić jej z oczu – dodała, a ponieważ nie doczekała się żadnej reakcji, powiedziała już bardziej zaczepnym tonem: – Zresztą dzięki temu po śmierci matki nie znalazłam się w sierocińcu. Dziadek zajął się mną, bo nikt inny się do tego nie kwapił. Ty też nie.

Spostrzegła, że po twarzy Amelii przebiegło lekkie drgnienie.

– A potem do tego samego zobowiązał swoją drugą córkę – rzekła przynajmniej pozornie obojętnym tonem. – Jak wiadomo z wielkim pożytkiem dla was obu... i reszty rodziny.

Pierwszą myślą Kingi była chęć, by natychmiast opuścić mieszkanie ciotki. Wyjść stąd bez pożegnania. Ale zapanowała nad sobą. Nie przysłała tu po to, by się kłócić i obrażać. Potrzebowała szczerzej rozmowy, pragnęła się przed kimś wygadać, a Gajewska była jedyną osobą, do której mogła się z tym zwrócić. Szczerość musi czasami boleć, pewnie w większości wypadków tak właśnie jest. Zresztą jedyną alternatywą było samotne bicie się z myślami w czterech ścianach pustego, ponurego mieszkania na Kazimierzu – tego zaś chciała uniknąć teraz za wszelką cenę.

– Ale nie sądz, że krytykuję twojego dziadka – podjęła po chwili

Amelia. – Chciał to wszystko możliwie najlepiej ułożyć. W pewnym sensie robił przecież to, co mój ojciec. Zachowywał się jak większość normalnych ojców na tej ziemi. – Ponownie zamilkła, wyglądało na to, że biła się z myślami. – Tak naprawdę kto inny był tu problemem.

– Kto? Wuj Stefan? – Słowa te wymknęły się Kindze zupełnie spontanicznie, tym razem nie zapanowała nad pierwszą reakcją. Poniewczasie uznała, że nawet szczerść ma jednak swoje granice i nie należy od razu odkrywać wszystkich kart, ale było już za późno, by przynajmniej zmienić znaczenie tego, co właśnie się jej wymknęło. Niewykluczone zresztą, że to jedynie pogorszyłoby sytuację.

– No proszę – uśmiechnęła się lekko Amelia. – A jednak nie wszystko jest dla ciebie tajemnicą.

## ROZDZIAŁ 10

Od początku domyślała się, że Klara nawet w połowie nie darzyła jej kuzyna takim uczuciem, jakie on żywił do niej. Tak jak nie miała wątpliwości, że Leon bez wahania wskoczyłby w ogień za ukochaną. Do tej pory nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia; uważała, że takie historie zdarzały się tylko na kartach literatury bądź na scenach teatru, nigdy w prawdziwym życiu. Tym razem jednak przekonała się, że jest to jak najbardziej możliwe. Owo odkrycie z oczywistych względów okazało się dla niej bardzo bolesne, ale wiedziała, że nie ma sensu podejmować walki. Ona, Amelia, była tu na straconej pozycji.

Na dobrą sprawę od samego początku nie miała u Leona żadnych szans – do tej pory mogła się jednak przynajmniej oszukiwać, teraz nie mogła dłużej uciekać od prawdy. Musiała stanąć wobec niej twarzą w twarz. Zapanowała nad pokusą, nad pragnieniem, by rzucić się przed nim na kolana, wyznać mu swoją miłość i błagać o wzajemność. Powstrzymała się przed oskarżeniami, że to głównie przez wzgląd na niego zainteresowała się teatrem i zdecydowała się opuścić rodzinny dom, skazując rodziców na niepokój i zgryzotę. Nie zrobiła tego nawet wtedy, gdy zakomunikował, że żeni się z Klarą i odchodzi z zespołu. W głowie jej się to nie mieściło, nie tylko dlatego, że tak łatwo przyszło mu porzucić to, co przecież było, co wydawało się pasją jego życia – przede wszystkim jednak nadziwić się nie mogła, że nie



domyślał się, jakim darzyła go uczuciem. I to już w dzieciństwie, gdy byli nierozłączni. Czy nie mogło tak zostać? Czy naprawdę był tak ślepy, tak mało spostrzegawczy, czy może tylko udawał?

Nie błagała, nie oskarżała, wzięła się w garść. Wyszła nawet za męża, co wreszcie uszczęśliwiło, a w każdym razie uspokoiło rodziców... lecz nie ją samą. I dlatego jej małżeństwo skończyło się tak, a nie inaczej. Przynajmniej pod jednym względem ona i jej mąż byli do siebie podobni – Rudolf także o nic jej nie błagał i nie oskarżał, uniósł się honorem, czyli postąpił dokładnie tak jak ona w stosunku do Leona.

Po rozstaniu z mężem wróciła do teatru, choć pożegnała się już ze złudzeniami, że kiedykolwiek zrobi taką karierę jak Modrzejewska, Hoffmanówna czy Popielówna. I nawet potrafiła już kpić z tamtych marzeń. Nie musiała podejmować pracy zarobkowej, mąż zadbał, by nie zabrakło jej pieniędzy. Ojciec w dalszym ciągu był gotów do pomocy, choć bez wątplenia separacja córki bardzo go zmartwiła. Amelia wróciła jednak na scenę, bo musiała wypełnić czymś pustkę w życiu, te nieznośnie wlokące się godziny, z którymi nie miała co zrobić. Poza tym podczas prób, pracy na tekstem i spotkań z innymi aktorami choć na parę godzin jej umysł był zajęty czym innym niż rozmyślaniami o Leonie i jego rodzinie.

Gdy Klara urodziła córeczkę, Amelia poszła zobaczyć dziecko i złożyć gratulacje młodym rodzicom. Miała nadzieję, że zabrzmiąły serdecznie. Kiedy jednak Leon poprosił, aby została matką chrzestną dziewczynki, dała mu do zrozumienia, że to nie najlepszy pomysł, choć przecież słyszała, że nie wypada wymawiać się od takiej funkcji. Szczęśliwie Klary nie było przy tej rozmowie. A Leon nie nalegał. Tak jakby wreszcie zrozumiał, w czym tkwił problem, albo – to nawet bardziej prawdopodobne – przyjął z ulgą jej odmowę, bo w gruncie rzeczy tego właśnie od niej oczekiwał. Zaproponował, by została matką chrzestną Kingi nie dlatego, że tego chciał, ale że wypadało

o to zapytać najbliższą kuzynkę. Zresztą tą akurat kwestią nie zamierzała łamać sobie głowy. Tak naprawdę co innego ją niepokoiło, a nawet niekiedy dręczyło. Przyjęła już do wiadomości, że Leon uwielbiał swoją żonę. Że dosłownie promieniał, gdy tylko miał ją blisko siebie, i wszystko wskazywało na to, że nie było rzeczy, której by dla niej nie zrobił – gorzej, że nie mogła tego samego powiedzieć o Klarze.

Klara bez wątpienia bardzo się starała. Była miła, oddana i serdeczna dla męża. Zresztą wszyscy ją lubili, bo trudno było nie darzyć sympatią tak kulturalnej, uroczej i życzliwej dla innych młodej kobiety. A do tego bardzo ładnej. Mężczyźni zarówno młodzi, jak i starzy wodzili za nią wzrokiem, a Leona nigdy to nie denerwowało, wręcz przeciwnie – był dumny ze ślicznej małżonki. I najwyraźniej bezgranicznie jej ufał. Amelia także dostrzegała te niewątpliwe zalety. Zarazem jednak nie mogła się oprzeć wrażeniu, że miłość Leona do żony nie była odwzajemniana, w każdym razie nie w stopniu odpowiadającym jego zaangażowaniu. Odnosiła się do niego przyjaźnie, uśmiechała się życzliwie, ale nie promieniała przy tym tak jak on. W jej oczach nie zapalało się wtedy to światło, które na jego twarzy nigdy nie gasło. W każdym razie nie wtedy, gdy patrzył na nią.

Wtedy właśnie zrodziło się w Amelii podejrzenie, że desperacki krok Klary, jej decyzja, by opuścić rodzinny dom, przyjechać do Krakowa i niemal zaraz poślubić Leona, wcale nie był podyktowany wielkim, łamiącym wszelkie konwenanse afektem – lecz była to po prostu ucieczka. Z jakiegoś powodu ta młoda panna postanowiła zostawić ojca, siostrę i inne bliskie jej osoby, narażając ich tym samym na nieuniknione plotki, a pewnie i na skandal – Amelia miała tego świadomość, bo przecież w swoim czasie postąpiła podobnie – lecz powodem tym nie była miłość do młodego aktora. Na pewno nie taka, jak w przypadku niej samej.

Cóż to zatem było? Może nuda? Młode, wychowane w tradycyjnych

rodzinach panny czasem się nudzą, a naczytawszy się różnych książek, rozpraw i co niektórych artykułów – ostatnio coraz bardziej modne były te, które postulowały konieczność zmian w wychowaniu i kształceniu dziewcząt – zaczynają marzyć, by rzucić wyzwanie bliskim i całemu światu. I zmienić swoje życie. Pójść pod prąd wobec stawianym im oczekiwań. I niektóre, te najbardziej odważne albo najbardziej zdesperowane, decydują się zmienić marzenia w czyny, bez oglądania się na konsekwencje. Czy tak było w przypadku Klary? Chciała cokolwiek zmienić w swoim życiu, przeżyć fascynującą przygodę, lecz w rezultacie wplątała się w związek w człowieka, którego tak naprawdę nie kochała?

Nie, to chyba zbyt daleko idące wnioski, uspokajała się Amelia. Małżeństwo kuzyna pod wieloma względami wyglądało na bardzo udane. A najważniejsze, że on sam sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w siódmym niebie. Skoro zaś Leon był taki szczęśliwy, to nikt nie powinien doszukiwać się w tym związku drugiego dna.

Amelia nie mogła przypomnieć sobie swojej pierwszej reakcji na wiadomość o jego tragicznej śmierci. Takiego ciosu przecież nikt się nie spodziewa – tak jak nikt nie przeczuwa, że uderzy weń grom z jasnego nieba. Ojciec powiedział jej później, że upadła wtedy na podłogę, i choć nie straciła przytomności, dwa kolejne dni przeleżała bezwładnie w łóżku. Nie jadła, nie piła i nie spała; oboje z matką odchodzili od zmysłów, bojąc się o jej życie. Lekarze uspokajali, tłumacząc, że jak na razie nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, do niej zaś nic z tego wszystkiego nie docierało. Trzeciego dnia się otrząsnęła i chciała natychmiast pobiec do mieszkania Leona, ale rodzicom udało się ją powstrzymać. Nie ma go tam, tłumaczył ojciec. Jego ciało znajduje się już w cmentarnej kaplicy, jutro pogrzeb. Jeśli dziś tam pobiegiesz, to niewykluczone, że potem ponownie stracisz siły i nie dasz rady uczestniczyć w... ceremonii. Zresztą, najrozsądniej by było,

abyś i jutro została w domu.

Najrozsądniej? – zdumiała się. – Co tu ma do rzeczy jakiś głupi rozsądek! Zresztą... nigdy nie miał.

Posłuchała ojca na tyle, że tego dnia nie poszła do kaplicy. Nazajutrz jednak udała się do kościoła i patrząc na zamkniętą trumnę, pomyślała, że może i dobrze się stało, że jednak nie zobaczyła w niej Leona. Zapamięta małego chłopca, który w dzieciństwie był najlepszym towarzyszem zabaw, i młodzieńca, którego uważała za największą, choć niespełnioną miłość swojego życia. Zapamięta go roześmianego, zamyślonego, recytującego ulubionego Szekspira lub zapamiętała dyskutującego w kwestii sztuki albo recenzji.

Patrzyła na okrytą żałobnym welonem wdowę i z trudem sobie uświadamiała, że ta podtrzymywana przez ojca i szwagra kobieta to Klara. Przytulała do siebie dziecko; ludzie szeptali, że podobno ojciec namawiał ją, aby na czas uroczystości powierzyła je opiece siostry, ale się nie zgodziła.

Tego dnia nie rozmawiały ze sobą i żadna nie szukała ku temu okazji. Stało się to dopiero trzy tygodnie później, gdy zupełnie przypadkowo spotkały się nad grobem Leona. Amelia, spostrzegłszy ją, w pierwszej chwili chciała się wycofać, zrobiła nawet krok do tyłu, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Przywitały się bez słów, skinąwszy sobie głowami, i przez dobrych kilka minut stały obok siebie w całkowitej ciszy, którą przerwała w końcu Klara.

– Jak sobie radzisz? – spytała, co sprawiło, że Amelia na moment znieruchomiała. Zerknęła niepewnie na szwagierkę, ale tamta nie odwracała oczu od pomnika.

– Staram się – odparła, nie poznając własnego głosu. – A ty?

Klara potrząsnęła głową i wtedy po policzkach popłynęły jej łzy.

– Ja sobie nie radzę – wyszeptała. – Bez niego... to niemożliwe.

Amelia wyciągnęła dłoń i niepewnie, z wahaniem dotknęła jej ramienia. Równie dobrze mogłaby dotknąć zimnego kamienia, Klara sprawiała wrażenie zupełnie zeszywniałej.

– Wiem, co teraz czujesz – rzekła Amelia, starając się ostrożnie dobierać słowa. W gruncie rzeczy mogła jedynie wypowiadać te same wyświechtane komunały, jakie na ogół są wygłaszane w takich okolicznościach. Z drugiej jednak strony takie słowa przynosiły czasem pociechę i ulgę. – Ale jakoś sobie poradzisz – kontynuowała desperacko. – Nie zostałeś przecież zupełnie sama na świecie. Masz... dziecko. Ojciec ci pomoże... Siostra... – Zaczerpnęła tchu. – Poza tym możesz zawsze liczyć na przyjaciół Leona. No i... na mnie.

– Wiem. – Klara chyba próbowała się uśmiechnąć, ale nic jej z tego nie wyszło. – A jednak... nie o to chodzi.

Amelia cofnęła rękę i otuliła się szczelniej płaszczkiem. Pomimo ciepłej, wiosennej aury poczuła dotkliwy chłód na całym ciele.

– Nie kochałam go tak, jak na to zasługiwał – wyrzuciła z siebie Klara i ukryła twarz w dłoniach.

Wiem, odpowiedziała jej w myślach Amelia. Zdumiało ją nie tyle wyznanie Niwińskiej, co fakt, że się na nie zdobyła.

– Był z tobą bardzo szczęśliwy – rzekła cicho. – Wszyscy to widzieli. Byłaś dla niego dobrą żoną. Byliście dobrym małżeństwem.

– Chciałam, aby tak właśnie było.

– I udało ci się.

Ponownie zapadła dłuższa cisza i Amelia miała właśnie zapytać o dziecko, gdy Klara odwróciła się wreszcie i spojrzała jej prosto w oczy.

– Wiesz, dlaczego za niego wyszłam? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź, której zresztą Gajewska i tak nie była w stanie teraz udzielić. – Pragnęłam zejść z oczu mojemu ojcu i mojej siostrze, a przede

wszystkim... – Zaczerwieniła się i przerwała.

A zatem dobrze zgadłam, westchnęła w duchu Amelia, to jednak była ucieczka.

Mimo to coś jej się nie zgadzało.

– Przecież zdaniem twojej rodziny popełniłaś głupstwo, opuszczając dom i poślubiając Leona – sprostowała. – Słyszałam, że bardzo im się to nie spodobało.

Klara pokręciła głową i podniosła wzrok na przesuwane się po niebie obłoki.

– Znacznie bardziej nie spodobało im się to, co zrobiłam wcześniej.

– Uciekłaś z domu, bo bałaś się, że dostaniesz różgą za jakieś przewinienie? – roześmiała się sztucznie Amelia. – Różne są powody zamążpójścia, ale o takim jeszcze nie słyszałam. – Ledwo to powiedziała, zaraz przyszło jej do głowy, że nie należało tego mówić. Nie w tym miejscu i nie w takich okolicznościach. – Przepraszam – mruknęła. – To wszystko dlatego, że...

– Nic nie szkodzi – odparła cichutko Klara. – Nie bałam się różgi, ale musiałam się wycofać, póki czas. I udało mi się, ale tylko dlatego, że Leon mi w tym pomógł.

– Pomógł? W czym?

\*\*\*

– Wtedy mi powiedziała – kontynuowała Amelia. – O swoim szwagrze, twoim wuju. O tym, jak go poznała, gdy po ukończeniu pensji wróciła do domu, a siostra przedstawiła jej go jako swojego narzeczonego. O tym, jak się w nim z wzajemnością zakochała i jak ukrywali ten romans. Potem jednak opamiętała się i postanowiła go zakończyć. Zresztą może i zdobyłaby się na wojnę z całym światem, ale na pewno nie z własną siostrą; nie chciała jeszcze

bardziej skrzywdzić jej ani ojca. Dała to do zrozumienia Stefanowi, ale on nie podzielał jej skrupułów i nie zgadzał się na rozstanie. Nie chciał ustąpić, wywierał na nią nacisk, przez co czuła się coraz bardziej osaczona. Postanowiła więc wyjechać. Zejść z oczu zarówno swojej rodzinie, jak i mieszkańcom miasteczka. Lecz przede wszystkim... jemu.

– I tylko dlatego wyszła za mojego ojca? Żeby wuj Stefan uwierzył, że miała go dość, bo poznała kogoś innego? – wyszeptała oszołomiona Kinga. Przed oczami stanęły jej listy, które czytała w nocy, i zakręciło jej się w głowie. Jakie to wszystko prozaiczne, pospolite, pomyślała. Jakie... brudne.

– Być może i tak poślubiłaby Leona, ale taki, a nie inny przebieg wydarzeń jedynie to przyspieszył. – Amelia najwyraźniej starała się ją mitygować. – Zresztą twój ociec był w pełni świadom, w jakiej sytuacji znajdowała się Klara, lecz mimo to, od momentu kiedy się poznali, marzył tylko o niej. Regularnie do siebie pisali i nie zrażał go fakt, że w tym czasie Klara traktowała go jedynie jako swego przyjaciela. Zakochana była przecież w kimś innym. Ale gdy postanowiła odejść z domu i zniknąć tamtemu z oczu, Leon bez wahania pośpieszył jej z pomocą. Ale koniec końców naprawdę byli udanym małżeństwem. – Amelia powtórzyła z naciskiem to, o czym wspominała wcześniej. – Jej także to powiedziałam.

– Uspokoiła się?

– W każdym razie nigdy więcej nie wróciłyśmy do tamtej rozmowy. Inna sprawa, że nie miałyśmy już potem okazji do częstych spotkań i żadna z nas, bo podejrzewam, że ona także, za nimi nie tęskniła. Zresztą... – Amelia ściszyła głos. – Zmarła zaledwie kilkanaście miesięcy po Leonie. A ty również zniknęłaś mi z oczu. Wtedy byłam pewna, że... już na zawsze.

Kinga podniosła się i podeszła do okna. Przez minutę, dwie bezrefleksyjnie śledziła przechodniów na ulicy, a potem ponownie zwróciła

się do ciotki. Ujęła jej dłonie i zanim tamta zdążyła zareagować, przycisnęła je do ust.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś – rzekła, walcząc ze łzami ściskającymi jej gardło. – Nikt oprócz ciebie tego nie zrobił, tylko ty... Rozumiem też, że masz prawo czuć do nich żal.

– Nie mam do nich żalu. – Amelia łagodnie wysunęła dłonie z uścisku. – Do nikogo go nie mam. Nikt nie wyrządził mi żadnej krzywdy. Za moje błędy odpowiadam tylko ja sama. Nikt więcej.



## ROZDZIAŁ 11

W kwietniu tysiąc dziewięćset trzeciego roku Wincenty Gajewski przystąpił do spółki z właścicielem dwóch magazynów handlowych, panem Apolinarym Sagurskim. Zaniepokojonych pracowników zapewnił, że nie stracą posady, a ponadto wyjaśnił, że w dzisiejszym, coraz bardziej zwariowanym świecie prowadzenie samodzielnego interesu napotyka tyle trudności, co nigdy dotąd.

– Gdy otwierałem przed laty sklep, takich jak ja było na pęczki, i choć rywalizowaliśmy ze sobą w walce o klienta, to robiliśmy to z klasą, wzajemnie się szanując – dowodził. – Ale też i ludzie byli wtedy mniej pazerni niż dziś, gdy jeden drugiego utopiłby w łyżce wody. Walka o zysk coraz bardziej przypomina manewry na froncie. I każdy wie, że jak się z innym nie połączy albo nie podczepi pod kogoś silniejszego, przepadnie z kretesem. Na świecie liczą się już jedynie wielkie monopole i tylko patrzeć, jak i u nas nastanie na to moda. Jeszcze trochę, a wolny rynek będzie tylko wspomnieniem, bo w tych warunkach drobniejsi kupcy się nie utrzymają. Lepiej zawczasu się do tego przygotować, nie ma sensu kopać się z koniem. A pan Sagurski to porządny obywatel i dobrze traktuje współników i pracowników. Do tej pory rywalizowaliśmy ze sobą uczciwie, by nie powiedzieć po dżentelmeńsku, to i teraz dobrze się nam będzie kooperowało.

I choć Gajewski bez wątpienia zdołał uspokoić nastroje, to jednak każdy

podejrzewał, że podane przez niego przyczyny nie były jedynymi. Miał przecież świadomość, że po jego śmierci Amelia sprzeda sklep, wolał więc uprzedzić wypadki i zawrzeć korzystniejszą i lepiej rokującą umowę. Obaj panowie gwarantowali, że w razie śmierci wspólnika będą odprowadzali odpowiedni procent na konta spadkobierców, a że Sagurski był znacznie młodszy i cieszył się dobrym zdrowiem, należało raczej zakładać, że to on zajmie się wypłatami na rzecz córki Gajewskiego.

Kinga domyślała się, że dla pryncypała podobna decyzja nie była łatwa. Niezależnie od wygłaszanych poglądów z pewnością żał mu było sklepu, który założył i prowadził przez dziesiątki lat. Sama także po cichu żałowała – zdążyła się już przyzwyczaić do kameralnego pomieszczenia i panujących tu zwyczajów, a przypuszczała, że i pod tym względem wiele się zmieni. Jeśli nawet Gajewski istotnie podzielał te sentymenty, niczego nie dał po sobie poznać. Z właściwą sobie werwą zabrał się za realizację nowego przedsięwzięcia, raz nawet powiedział, że przynajmniej poczuł się młodziej, bo chyba zanadto się już zastał w tym, co robił do tej pory. Człowiek stworzony jest do zmian, oświadczył. Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Zresztą sentymenty dobre są w literaturze, w interesach jedynie przeszkadzają. To, co ujdzie w przypadku poety i pisarza, w przypadku kupca jest wysoce niewskazane.

– To ulubione powiedzonko ojca – skwitowała Amelia, gdy Kinga opowiedziała jej o tym. – Ale w głębi duszy zawsze był romantykiem. Nigdy nie zdołał zwalczyć w sobie tej cechy, a głowy bym nie dała, czy w ogóle próbował to robić.

Wbrew obawom Kingi – podzielanym przez wszystkich subiektów, z Antonim na czele – zmiany okazały się jak najbardziej korzystne dla sklepu, bowiem asortyment stał się bardziej elegancki i różnorodny niż do tej pory, co przyciągnęło dodatkowych klientów i zdecydowanie zwiększyło

obrotu. Oczywiście nie dało się uniknąć znacznych zmian w wystroju pomieszczeń – ściany w kilku miejscach zostały zburzone i przebudowane, wstawiono nowe okna, co faktycznie sprawiło, że po dawnej, kameralnej, lecz także nieco ponurej, aranżacji pozostało wspomnienie. Jednakże sklep zyskał jakby więcej przestrzeni i światła. W każdym razie Kinga dość szybko przyzwyczała się do tych zmian. Tym bardziej że zamiast ciemnego i nieco zaniedbanego kantorka przyznano jej mały, lecz wygodnie urządzony gabinet.

Przede wszystkim jednak zaczęła otrzymywać zdecydowanie większe wynagrodzenie, które pozwoliło jej spełnić marzenie o zmianie mieszkania. Z ulgą opuściła starą kamienicę na Kazimierzu i wynajęła wygodniejsze, dwupokojowe lokum, którego okna wychodziły na Planty. Oczywiście nadal nie mogło być mowy o luksusach, ale pomieszczenia były widne, bo bez przeszkód docierało do nich światło słoneczne, zaś dwa duże kafłowe piece dawały przyjemne ciepło w czasie długich jesiennych i zimowych miesięcy. Ponadto – co nie mniej ważne – właściciel bez naprawdę uzasadnionego powodu nie wtrącał się do lokatorów, a i oni sami nie mieli czasu ani ochoty na plotki. Częściej bywała w teatrze, mogła też wreszcie pomyśleć o sprawieniu sobie kilku nowych sukien, płaszcza i kompletu bielizny. Wydawać by się mogło, że wszystko idzie ku lepszemu, gdyby nie to zdumiewające uczucie pustki, które – nie wiedzieć czemu – właśnie wtedy zaczęło dawać o sobie znać. A przecież poprawiły się jej warunki bytowe, a zatem miała wszelkie powody do optymizmu.

Były takie dni, gdy zapytywała samą siebie, co dalej ma zrobić ze swoim życiem. Czy do końca swoich dni będzie pracować w sklepie, a wieczory spędzać na samotnych spacerach, samotnej lekturze? Oczywiście odwiedzała Amelię, bez trudu dawała się też ciotce namówić na wspólne wyjście do teatru. Stary Gajewski także zapewniał, że drzwi jego domu zawsze są dla

niej otwarte i z biegiem czasu coraz chętniej radził się jej w różnych kwestiach. Korzystała więc z tych zaproszeń, bo potrzebowała towarzystwa i rozmowy, niemniej czuła, że nie powinno się to przekształcić w codzienny rytuał. Zwłaszcza gdy w pewnym momencie Gajewska zaczęła dawać jej niedwuznacznie do zrozumienia, że ten czy inny kawaler zwrócił na nią baczniejszą uwagę.

Kinga początkowo próbowała zbywać ją żartami. Zdaje ci się, droga ciociu – odpowiadała ze śmiechem, kładąc przy tym szczególny nacisk na to ostatnie słowo, którego w odniesieniu do Amelii przecież rzadko używała. – Wbrew temu, co próbujesz insynuować, ci wszyscy panowie wodzą oczami za tobą, a nie za mną.

Gajewska jednak nie ustępowała, choć przyznać trzeba, że nie robiła tego w nachalny sposób. Niemniej co jakiś czas – co kilka miesięcy, niekiedy tygodni – wracała do tematu, zawsze jednak dostosowując się do żartobliwego tonu dziewczyny. Wreszcie pewnego dnia, podczas letniej przechadzki do kopca Kościuszki, gdy niby mimochodem napomknęła o jakimś młodym dziennikarzu wpatrzonym w Kingę jak w obraz, bratanica roześmiała się na głos.

– Wszystkiego, kochana cioteczko, mogłabym się po tobie spodziewać, ale nie tego, że zaczniesz bawić się w swatkę – zauważyła z nieco sztuczną i przez to afektowaną wesołością. – To takie mieszczańskie, a ty mniej niż ktokolwiek inny pasujesz do wizerunku typowej mieszczki.

Amelia także się uśmiechnęła, ale tym razem nie podchwyciła tego przynajmniej pozornie lekkiego i niezobowiązującego tonu.

– A jednak, czy to nam się podoba, czy nie, jestem mieszczką. Z biegiem lat odkrywam w sobie coraz więcej podobieństw do mojej matki.

– W to jeszcze trudniej mi uwierzyć – parsknęła Kinga.

Dzień był świąteczny, pogodny, bardzo ciepły. Spacerowiczów nie

brakowało, tu i ówdzie Amelia kiwała głową mijanym po drodze znajomym. Kobiety, unosząc nieco parasolki, odpowiadały uśmiechem, panowie uchylali kapeluszy. Słońce przygrzewało coraz bardziej – można było ulec wrażeniu, jakby cały świat zapomniał o codziennych troskach.

– Coraz częściej też się przekonuję, że w tych wykpiwanych mieszczańskich zasadach kryje się jednak ziarno prawdy. I to niejedno – podjęła po chwili Gajewska. – Człowiek nie jest stworzony do samotności. Potrzebuje kogoś, z kim mógłby dzielić życie. Potrzebuje rodziny. Żadne głoszone górnolotne farmazony tego nie zmieniają. Nawet jeśli niektórzy będą się z tego śmiać... w końcu zabrzmi to jak pusty rechot.

– Niebawem. – Kinga wlepiała w ciotkę rozbawione, a zarazem zdumione spojrzenie. – A zatem postanowiłaś mnie wyswatać. Czemu jednak nie zaczniesz od siebie? Zauważyłam, że masz duże powodzenie.

– Ale zapomniałaś, że wciąż jestem mężatką. Przynajmniej formalnie – przypomniała na pół komicznie, a na pół poważnie Gajewska.

Kinga także spoważniała, przestała się uśmiechać.

– Tym bardziej powinnaś mnie zrozumieć – rzekła. – Sama mi przecież opowiadałaś o małżeństwach zawieranych jedynie po to, by przed kimś lub przed czymś uciec. Choćby przed samotnością. Trzeba mieć inne, dużo ważniejsze powody, by związać z kimś swoje życie.

W głębi serca coraz bardziej jednak wątpiła, czy kiedykolwiek będzie na to gotowa. Upływały kolejne dni, tygodnie, miesiące i nie zanosilo się, by miał nastąpić jakiś przełom. Czasami przysłuchiwała się dyskusjom o polityce – czy to w sklepie, czy to w salonie Amelii nie brakowało znawców tematu lub przynajmniej takowych, którzy mieli się za prawdziwych ekspertów – sama jednak nie przywiązywała do tego większej wagi. Nie interesowała się pracami galicyjskiego Sejmu Krajowego, choć czasami nachodziła ją refleksja, że nie powinna być aż taką ignorantką. Nie

śledziła też wydarzeń związanych z wielką polityką międzynarodową. Skoro nie miała wpływu na te sprawy, nie widziała sensu, by się nimi zajmować. Co nie znaczy, że nie podzielała powszechnego zaskoczenia, gdy potwierdziły się wieści z Dalekiego Wschodu, że to właśnie Japonia, a nie, wydawałoby się potężne, Imperium Rosyjskie, przejęła inicjatywę w działaniach zbrojnych, spuszczając Rosjanom tęgie lanie najpierw w Port Arthur, a następnie koło wysepki Cuszima i pod Mukdenem. Tym samym wojna pokazała jak na dłoni zarówno słabość wojska, jak i kiepską kondycję polityczną państwa carów. Co więcej – w miarę rozwoju wydarzeń nic nie zapowiadało, by miał nastąpić jakiś spektakularny zwrot.

*Chyba nikt się nie spodziewał, że sprawy przybiorą tak fatalny obrót – donosił Zbyszek. – Tego nie przewidywał nawet premier Witte, który – jak wiadomo – od początku był przeciwny wszczynaniu tej całej awantury na Dalekim Wschodzie i w rezultacie stracił tekę szefa rządu. Mieli go za głupca lub safandulę, a jego sceptycyzm wobec wojny z Japonią uważano za przejaw zaściankowości politycznej. W Rosji nie brakowało głosów, że jego czas przeminął, bo w nowoczesnej polityce nie ma już miejsca dla takich kunktatorów, a okazywanie słabości wobec wroga to przejaw tchórzostwa. Nie mam wprawdzie powodu, by darzyć sympatią i szacunkiem jakiegokolwiek rosyjskiego polityka, niemniej nazywanie Wittego kunktatorem od początku uważałem za co najmniej nieroztropne. Takim przecież przezwiskiem obywatele rzymscy raczyli niegdyś obdarzyć dyktatora Fabiusza Maksimusa, który nie wierząc w możliwość pokonania wojsk Hannibala w walnej bitwie, starał się unikać bezpośredniego starcia z genialnym wodzem Kartagińczyków. I obawy te znalazły potwierdzenie w bitwie pod Kannami, która niemal doszczętnie unicestwiła rzymskie legiony, a niewiele brakowało, że i całe państwo. Raz czy dwa starałem się nawet wspomnieć w większym towarzystwie coś na ten temat, ale ostatecznie*

dałem sobie spokój. Podnoszenie takich argumentów, odwoływanie się do takich porównań ma sens, gdy twoi rozmówcy mają jakieś takie pojęcie o historii. Ja zaś nie mam ochoty bawić się w nauczyciela, nigdy zresztą nie miałem cierpliwości ani pobłażania dla ignorantów, nie posiadam też talentów pedagogicznych. A poza tym wątpię, by zechcieli słuchać mojego wykładu. Postanowiłem więc to wszystko przeczekać i teraz śmieję się w duchu (a bywa, że i otwarcie) z tych domorosłych politykierów. Tak jak podobno przed ponad trzydziestoma laty nasz dziadek śmiał się z tych wszystkich zapaleńców, którzy na prawo i lewo dowodzili, że Francja rozniesie Prusy na cztery wiatry, bo tak się przecież stało za czasów Napoleona I Wielkiego w 1806 roku. Bo Francja to zawsze Francja, a zatem upływ czasu, a także zmienione warunki geopolityczne nie miały – ich zdaniem – najmniejszego wpływu na jej potęgę i jakość armii. I nieważne, że cesarz Napoleon III raczej w niczym nie przypominał swojego wielkiego stryja. Jakże się wówczas ci wszyscy biedni głupcy zawiedli, gdy prawda objawiła im się w całej ponurej okazałości! Bo to właśnie Francuzi musieli przyjąć upokarzające warunki pokojowe, a ich nieszczęsnemu cesarzowi nie pozostało nic innego, jak abdykować i zaszyć się w Anglii, w dodatku właśnie tam!

Co zaś się tyczy zdymisjonowanego Wittego, to głowy bym nie dał, czy w Rosji lada moment nie zaczną go prosić, aby łaskawie zechciał wrócić do rządu, bo chyba tylko on byłby w stanie podjąć się negocjacji z Japończykami. Póki można jeszcze cokolwiek wytargować. W tej przynajmniej opinii nie czuję się odosobniony, co oczywiście nie znaczy, że nie lubię mieć innego zdania niż wszyscy. Jak sama dobrze wiesz, zawsze wolałem iść pod wiatr – zarówno w dosłownym, jak i przenośnym rozumieniu.

Z ostatniego Twojego listu jasno wynika, że dziwisz się mojemu

zainteresowaniu wojną, która rozgrywa się tak daleko od nas. Otóż pozwolę sobie zauważyć, że w tej kwestii nie masz racji. Być może wojna ta rozgrywa się z dala od Ciebie – z tego, co mi wiadomo, monarchia naddunajska nie jest w nią w żaden sposób zaangażowana i nie ma najmniejszego interesu, by to zmieniać. Ale ja jestem poddanym Cesarstwa Rosyjskiego – i choć nie napawa mnie to radością ani dumą, to jednak takie są twarde fakty i jak na razie nie przypuszczam, aby w bliższej (i zapewne dalszej) przyszłości miało się to zmienić.

Dlatego też z mojej perspektywy wojna nie rozgrywa się wcale tak daleko, w pewnym sensie jakby się przesunęła znad Pacyfiku całkiem blisko nas. Początkowo mało kto zakładał, że tak będzie, ale stało się. Czujemy tę wojnę, choć nie słyszymy dział. Ma wpływ na nasze życie gospodarcze i społeczne. Chłopi są powoływani do wojska, to zaś budzi opór. Nie tylko zresztą u nas, ale także w samym Cesarstwie. W gruncie rzeczy prawie nikt nie rozumie, dlaczego w ogóle doszło do tego konfliktu i o co w nim chodzi. Czemu mamy ponosić konsekwencje działań toczonych gdzieś daleko, niemal na końcu świata? W imię jakich (czy raczej czyich) interesów mamy ponosić coraz większe ofiary? Takich głosów jest coraz więcej, to zaś generuje niepokoje.

Skojarzenia z wypadkami sprzed ponad czterdziestu lat wydają się oczywiste. Nawet dzisiejsze demonstracje wyglądają podobnie jak tamte, sprzed wybuchu powstania. Wiele z nich zaczyna się już w kościołach, a potem formowane są pochody – niewykluczone zresztą, że jest to świadomy zamysł, by nawiązywać do tradycji z początku lat sześćdziesiątych. Co ciekawe, organizują je socjaliści (choć oczywiście nie ci najbardziej skrajni rewolucjoniści), którym akurat w tym wypadku nie przeszkadza religijna retoryka. Ludzie śpiewają na przemian Boże, coś Polskę, Serdeczna Matko i Czerwony sztandar. Coraz częściej dochodzi też do strajków i manifestacji antywojennych, powszechnie wyrażany jest sprzeciw wobec mobilizowaniu



*i wysyłaniu na front tysięcy nowych rekrutów.*

*Nic dziwnego, że w tych warunkach socjaliści umocnili się tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Najgłośniejszą manifestację mieliśmy kilka dni temu, na placu Grzybowskim w Warszawie. Najgłośniejszą w dosłownym tego słowa rozumieniu, bowiem po raz pierwszy wobec interweniujących kozaków demonstranci użyli broni. No, może nie tyle sami manifestanci, co osłaniające tych ludzi socjalistyczne bojówki, niemniej na jedno wychodzi – tak przynajmniej uważa carska ochrana. Tak czy owak, kozaków to zaskoczyło – zdążyli się już przecież przyzwyczaić do bezkarności.*

*Niepokoje dosięgły także prowincji, co stanowi pewne novum, bowiem do tej pory tego typu demonstracje były raczej domeną wielkich miast. W Rosji także wrze, czego od dziesięcioleci tam nie widziano ani nie słyszano. Powszechne są tam żądania zakończenia nieudanej, coraz bardziej kosztownej wojny, która już wpędziła miliony ludzi w niedostatek lub nawet w skrajne ubóstwo. Pojawiły się też postulaty zwołania Dumy, czego nawet najstarsi w tym kraju nie pamiętają. Trudno, naprawdę trudno przewidzieć, czym się to wszystko skończy.*

*W każdym razie mój drogi szwagier zamierza zabrać rodzinę z Warszawy, przynajmniej na jakiś czas, choć nie wiem, czy coś z tego będzie. To prawda, że ostatnie wydarzenia wpędziły moją siostrę w rozstrój nerwowy i pragnęłaby razem z dziećmi znaleźć się w jakimś spokojniejszym miejscu, niemniej chyba nie zdecyduje się na choćby kilkutygodniowe rozstanie z matką. Tym bardziej że Aleksander ma na myśli wyjazd do Galicji, do swoich krewnych, a Klementyna zawsze wyszukiwała powody, by uniknąć składania im wizyt. Inna sprawa, że do tej pory on jakoś szczególnie nie nalegał, by mu towarzyszyła. Tym razem jednak, z racji niepokojów w Warszawie, raczej nie zdecyduje się wyjechać bez niej i dzieci...*

*Kinga, nadaremnie próbując powstrzymać drżenie dłoni, opuściła kartkę*

na kolana. Wiadomość, że Aleksander i Klementyna, a także ich dzieci, mieliby znaleźć się tak blisko Krakowa, poruszyła ją dużo bardziej niż wieści o napiętej sytuacji w Warszawie, o działaniach wojennych nad Pacyfikiem już nawet nie wspominając.

Nie widziała ich od pogrzebu wuja Stefana. Oczywiście domyślała się, że Jankiewicz odwiedzał czasem rodzinę, do niej jednak ani razu nie zajrzał, i była z tego zadowolona. Sama sobie przecież wytłumaczyła, że wizyty Aleksandra nie tylko nie są jej do niczego potrzebne, ale mogłyby też okazać się kłopotliwe. Zapewne i on musiał dojść do podobnego wniosku. Nie pisał do niej, ale i ona tego nie robiła. Nie mieli warunków, w ich wypadku wymiana korespondencji byłaby źle widziana w rodzinie, a utrzymywanie takich kontaktów w sekrecie miało w sobie coś dwuznacznego, co Kingę odstręczało, a przynajmniej budziło złe skojarzenia. No i po prawdzie – o czym mieliby do siebie pisać? Wszelkie wiadomości na temat rodziny dostarczał jej Zbyszek, z nim jednym regularnie korespondowała. Ich kontakty nie ograniczały się zresztą do listów – kuzyn odwiedzał ją średnio raz na kwartał i czasami namawiał, by przyjechała do niego, do Warszawy. Choć najpewniej zdawał sobie sprawę, że Kinga raczej nieprędko zdecyduje się na złożenie mu wizyty. O ile kiedykolwiek będzie na to gotowa.

Gdy ponownie zerknęła na leżącą na kolanach kartkę papieru, zaświtało jej w głowie, że być może Zbyszkowi nie chodziło jedynie o poinformowanie jej o możliwym przyjeździe Jankiewiczów. Niewykluczone, że chciał ją także... ostrzec. Nie zdziw się, jeśli zobaczysz ich gdzieś w mieście. Nie będą przecież przez cały czas siedzieć wyłącznie na wsi. Zatem, jeśli wolałabyś uniknąć tego spotkania, to... – może właśnie tak należało zinterpretować wiadomość od niego?

Bzdura. Mam się stale rozglądać na boki? – zirytowała się Kinga. W gruncie rzeczy jednak wiedziała, czego obawiała się najbardziej...

I dlatego nie potrafiła uciszyć wewnętrznego wzburzenia i... podniecenia.

Jednak kolejne tygodnie mijały, a nie natknęła się nigdzie na kuzynkę ani na jej męża. W kolejnym liście Zbyszek także już nie wspomniał o takiej ewentualności. Mogło to oznaczać, że z planów wspólnego wyjazdu całej rodziny Jankiewiczów jak zwykle nic nie wyszło. Klementyna nie chciała wypuścić z rąk matczynego spódnicy i znalazła sposób, by mu się sprzeciwić. A wobec niepokoju panujących w Warszawie Aleksander nie zdecydował się zostawić żony i dzieci samych na pastwę losu. Zwłaszcza że sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, szczególnie po wydarzeniach „krwawej niedzieli” w Petersburgu w styczniu następnego roku.

Masakra dokonana przez wojsko, które otworzyło ogień do manifestantów planujących wręczyć carowi petycję, wywołała oburzenie niemal na całym świecie, i to nie tylko w środowiskach robotniczych. Mikołajowi II wytykano już nie tylko dyletantyzm polityczny, ale wręcz pospolite tchórzostwo. Zabrakło mu choćby rozwagi, jaką przed wielu laty wykazał się król pruski Fryderyk Wilhelm, który podczas zamieszek w Berlinie w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku umiejętnie i – co ważne – bez użycia siły uspokoił emocje. Carowi nie groziło przecież żadne niebezpieczeństwo, w każdym razie nie takie, wobec jakiego stanęli władca Prus czy Maria Antonina albo Ludwik XVI w owładniętej rewolucją Francji. Idący w kierunku Pałacu Zimowego tłum nie nastawiał się na konfrontację, ludzie nieśli ikony i portrety cara, mimo to wyprowadzono przeciw nim wojsko. Na wiadomość o „krwawej niedzieli” zarówno w Rosji, jak i w Królestwie Polskim wybuchły strajki, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to zaledwie preludium do dalszego wzrostu napięcia. Wieści o tych wydarzeniach Kinga początkowo czerpała jedynie z listów Zbyszka, jednak potem zaczęła także sięgać do gazet. Mimowolnie czuła, że jednak obchodzi ją, co dzieje się w Warszawie, a nawet w Rosji. I nie tylko dlatego,

że przez większość swojego dotychczasowego życia była mieszkanką Królestwa Kongresowego.

Aleksander pojawił się w momencie, gdy dawno już przestała zawracać sobie głowę jego ewentualnym przyjazdem do Krakowa. Tego dnia w sklepie nie było zbyt wielu klientów, a pochmurna październikowa aura sprawiła, że mrok zapadł nawet wcześniej niż zazwyczaj o tej porze roku. Kinga, czując narastającą senność, wyjrzała ze swego kantoru i pierwszym, co rzuciło jej się w oczy, był widok trzech subiektów żywo gestykułujących nad gazetą.

– Naprawdę nie jestem pewien, czy warto się tym aż tak bardzo gorączkować – mitygował ich najwyraźniej niezadowolony z zamieszania Antoni, który niezmiennie od lat uważał, że choćby się nawet walił cały świat, to sklepu zaniedbywać nie wolno. Każdy pracownik ma tu wyznaczone swoje zadania i musi je sumiennie wykonywać. Zresztą nawet przy małej liczbie klientów zawsze znajdzie się coś do zrobienia. – Cała ta awantura lada dzień przycichnie, a gazety, jak wiadomo, gonią za sensacją. Dziennikarze, jak to oni, są nawet gotowi wymyślić coś na poczekaniu, byle tylko zapewnić dobrą sprzedaż swojego pisma – gderał.

– Co się znowu stało? – Kinga zbliżyła się do rozdyskutowanej grupki.

– W Rosji strajk generalny – odparł z przejęciem najmłodszy z subiektów, Staś Bocianowicz. Oczy błyszczały mu z podniecenia, gdy wskazywał dłonią na jeden z nagłówków. – Stały wszystkie pociągi, fabryki, zamilkł telegraf, telefony, poczta. Jak świat światem nigdy dotąd nic podobnego nie miało miejsca.

– Ale dlaczego? – Kinga poczuła, że udziela jej się nastrój subiektów. – Przecież pokój z Japonią został podpisany już z miesiąc temu. W dodatku na nie najgorszych warunkach.

Tak przynajmniej wytłumaczył jej Zbyszek, który nie omieszkał przy tym zaznaczyć, że tak jak przewidywał, negocjacje powierzono przywróconemu

do łask Wittemu. Choć zapewne, gdy tylko wykona powierzone mu zadanie, przestanie być już potrzebny i ponownie pójdzie w odstawkę.

– Chodzi o Dumę.

– O Dumę? – zdziwiła się. – Przecież podobno car w końcu zgodził się zwołać parlament.

– Ale nie przyznał mu prawie żadnych kompetencji. Jedynie doradcze.

– A jakie to ma dla nas znaczenie? – zagrział coraz bardziej zde gustowany Antoni. – Porozmawiacie panowie po pracy. Umówicie się na kufel piwa i pomędrkujecie, jeśli uważacie, że jest nad czym. A teraz... Panie Bocianowicz, weź się pan w końcu za ułożenie tych pudełek na półce, bo od rana nie możesz się pan do tego zmobilizować. Panie Stachowiak, czy te zamówienia na jutro spakowane? Na litość boską, nic nie usprawiedliwia takiego bezwładu w magazynie. Panno Kingo...

Dźwięk dzwoneczka umocowanego nad drzwiami wejściowymi przerwał tę tyradę. Kinga mimowolnie zerknęła w tamtą stronę i na krótką chwilę znieruchomiła. Wśród trojga osób, które weszły do środka, zobaczyła Aleksandra Jankiewicza.

Poganiani przez Antoniego subiekci wrócili na swoje stanowiska, Kinga jednak potrzebowała dłuższej chwili, by się wreszcie poruszyć.

Jak było do przewidzenia, jej reakcja bez wątpienia zdziwiła i zastanowiła starszego subiekta.

– Panno Kingo – odezwał się półgłosem, dając jej do zrozumienia, by wróciła na zaplecze, ale udała, że go nie usłyszała.

Po czym, zupełnie ignorując staruszkę, podeszła do Aleksandra.

– A jednak przyjechaliście – stwierdziła cicho, bez żadnych wstępów. I bez uśmiechu. Nie było czasu ani możliwości, by przywitać się z nim inaczej.

– Przyjechałem – sprostował. Zerknąwszy nad jej głową, od razu

napotkał pełen dezaprobaty wzrok Antoniego. Skinął mu lekko, dotykając runda kapelusza, na co stary skłonił się sztywno, w dalszym ciągu nie ukrywając niezadowolenia. Aleksander przeniósł spojrzenie na dziewczynę i ciepło się do niej uśmiechnął. – Za kilka dni wracam do Warszawy. Pomyślałem, że się chociaż przywitam... i pożegnaj – dodał.

– To nie jest odpowiedni moment ani miejsce – odparła, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszyscy obecni w sklepie ich obserwują, choć w istocie każdy – poza Antonim – zajęty był własnymi sprawami.

– Oczywiście. Mogę poczekać, aż skończysz pracę.

Chyba oszalał, pomyślała w popłochu.

– W takim razie musiałbyś jeszcze poczekać przynajmniej dwie godziny – rzekła sarkastycznie. – Nie chcę zabierać ci czasu.

– W czym mogę panu pomóc? – usłyszeli głos zbliżającego się Antoniego. On, jako jedyny, nie spuszczał z nich oka i postanowił wreszcie interweniować.

– Dziękuję, z przyjemnością sam się rozejrzę – odparł przyjaznym tonem Aleksander. – Kuzynka opowiadała mi o tym miejscu w samych superlatywach – wskazał na Kingę. – I bynajmniej nie przesadziła.

– Kuzynka? – Wiadomość ta najwyraźniej zaskoczyła Antoniego. Zerknął pytająco na Kingę, która skinieniem głowy potwierdziła słowa Jankiewicza, modląc się w duchu, by zachować niewzruszony wyraz twarzy. – No cóż, kiedyś rzeczywiście pani wspominała o wizytach kuzyna, ale nigdy wcześniej pan u nas nie był i dlatego...

Istotnie, Zbyszek ani razu nie był w tym magazynie, a to o jego wizytach napomykała od czasu do czasu.

– Może pokazałabyś mi stoisko papiernicze? – Jankiewicz zwrócił się swobodnie do dziewczyny. – Obejrzałbym też parasole i rękawice. Wygląda

na to, że macie tu różnorodny asortyment i duży wybór. Za pana pozwoleniem – ponownie zerknął na Antoniego – czy moja kuzynka mogłaby się tym zająć?

Antoni, który zawsze lubił, gdy zwracano się do niego w sposób podkreślający jego stanowisko w magazynie, uśmiechnął się z przyzwoleniem.

– Bezpośrednie zajmowanie się klientami nie należy zasadniczo do obowiązków panny Niwińskiej, skoro jednak jest pan jej krewnym...

Kinga z trudem odwzajemniła ten uśmiech.

– Wolałabym, abyś nie stawiał mnie w tak niezręcznych sytuacjach – zauważyła, gdy ponownie spotkali się dwie godziny później, czyli już po zamknięciu sklepu. Czekał na nią na Kanonicznej, tak jak uprzedził, zanim opuścił sklep.

– Niezręczna sytuacja? – Poruszył brwiami, jakby naprawdę nie rozumiał, o co jej chodziło.

– Owszem. Przez ciebie brałam udział w oszukiwaniu pana Antoniego.

– Wielkie nieba! A czy panu Antoniemu albo komukolwiek innemu przyniosło to jakąś szkodę? A poza tym... – wzruszył ramionami – w gruncie rzeczy nie minęliśmy się z prawdą. Słowo „kuzyn” ma bardzo pojemne znaczenie.

– Dlaczego przyszedłeś? – Zmarszczyła brwi i otuliła się szczelniej szalem. Na zewnątrz panował przenikliwy chłód i jakby tego było mało, ponownie zaczęło mżyć.

Nawet jeśli jej oschły ton wywarł na nim nieprzyjemne wrażenie, nie dał tego po sobie poznać.

– Dlaczego przyszedłem do sklepu, w którym pracujesz? – Mrugnął do niej. – Dajesz mi do zrozumienia, że zepsułem ci w ten sposób opinię?

Tak, dokładnie to daję ci do zrozumienia, zirytowała się ponownie, ale

nie zamierzała mówić tego na głos. I bez tego z trudem panowała nad emocjami.

– Stało się coś? Z Klementyną, z dziećmi? – Gdy odwiedził ją kilka lat temu, zadała mu podobne pytanie, doskonale to pamiętała. I nie wątpiła, że i on to sobie przypomni. Tym razem również przecząco pokręcił głową, choć odniosła wrażenie, że jego spojrzenie jakby trochę spochmurniało. – Czy nie powinieneś być teraz z nimi, w Warszawie? – kontynuowała bezlitośnie.

Wtedy, przed laty, też mu wypomniała, że wyjechał, zamiast zostać w domu, skoro jego żona spodziewała się dziecka.

– Musiałem przyjechać. Moja matka zachorowała i bracia spodziewali się najgorszego – mruknął. Wyglądało na to, że dobry humor zupełnie go opuścił.

– Przykro mi to słyszeć – stropiła się Kinga. – Nie miałam o tym pojęcia.

– Oczywiście, że nie miałaś. – Wzruszył ramionami.

– Jak się teraz miewa? To znaczy mam na myśli twoją matkę – spytała po chwili z wahaniem.

– Lepiej. Wygląda na to, że kryzys minął. A wczoraj nawet oświadczyła nam, że nie odejdzie z tego świata, dopóki nie będzie na to gotowa i nie zdąży wcześniej pozamykać wszystkich swoich spraw. Wszystko zatem wskazuje, że ten czas jeszcze nie nastał. – W jego markotnym spojrzeniu ponownie pojawił się niewielki promyk światła. – Moja matka to dzielna niewiasta. Nigdy nikogo ani niczego się bała. Gdy była przekonana o swojej racji, żadna przeszkoda nie mogła jej zatrzymać. Nawet śmierć postanowiła zejść jej z drogi... przynajmniej na razie.

Kinga mimowolnie pomyślała o swojej matce, zaraz jednak wzięła się w garść. Takie rozważania mogły ją teraz tylko niebezpiecznie rozmiękczyć, a do tego nie wolno jej było w tym momencie dopuścić. Musiała być



twarda... Jak kobieta, o której przed chwilą wspomniał Aleksander.

– Klementyna nie chciała ci towarzyszyć? – spytała.

Wiedziała, że kuzynka starała się unikać rodziny męża i wyjazdów do Galicji, niemniej tym razem sytuacja była wyjątkowa. A Klementyna, podobnie jak jej matka, bardzo liczyła się z tym, jak ludzie ocenią jej postępowanie.

– Nie nalegałem. Szczerze mówiąc, wolałem przyjechać sam.

– Ale w Warszawie podobno nie jest bezpiecznie.

– Owszem, bywa niespokojnie. Ale chyba z tutejszej perspektywy wygląda to bardziej dramatycznie niż tam, na miejscu. Nie mieszkamy przecież na pierwszej linii frontu. I wbrew oczekiwaniom co niektórych nie doszło jednak do wybuchu kolejnego powstania. A poza tym Klementyny także nie ma teraz w Warszawie. Razem z matką i z dziećmi wyjechała do Nałęczowa.

Do Nałęczowa? Z pełną świadomością, że jej teściowa jest ciężko chora? Kinga postanowiła jednak, że nie będzie łamać sobie tym głowy, nie będzie oceniać zachowania kuzynki. Mniejsza z tym, przecież już dawno przestało ją to obchodzić. I nadal postanowiła się tego trzymać.

– Spytałaś, dlaczego przyszedłem dziś do ciebie – podjął po chwili. – W dodatku do sklepu. Miałaś prawo się zdziwić, bo przecież od kilku lat się nie widzieliśmy.

– I tak powinno było pozostać – wtrąciła, dobrze wiedząc, że mówi to wbrew sobie.

On zresztą także to wiedział.

– To nie miało sensu – rzekł cicho, a Kinga poczuła, jakby cała krew uderzyła jej do głowy. Co, na litość boską, nie miało sensu? Przecież od początku zdawała sobie z tego sprawę, a jednak... – To nasze milczenie, brak listów, odwiedzin, to całe udawanie... To właśnie nie mało sensu.

Najmniejszego – dokończył Aleksander i wtedy ich spojrzenia spotkały się na dłużej.

– A jak ty to sobie inaczej wyobrażałeś? – Kinga nawet nie próbowała tłumić goryczy i gniewu. – Listy wysyłane na adres szpitala, w którym pracujesz? Ukradkowe spotkania i wmawianie ludziom, że jesteś moim kuzynem? Taką rolę mi wyznaczyłeś?

– To nie tak – zaoponował łagodnie. – Źle mnie zrozumiałaś.

– A ja myślę, że trafiłam w samo sedno. Nie ma sensu, byśmy się oszukiwali... kuzynie – dorzuciła z ironią i zaraz zacisnęła wargi, w przeciwnym razie z pewnością by się rozpląkała. I bez tego nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszyscy na ulicy na nich patrzą.

Przez chwilę szli w zupełnym milczeniu. Domyślała się, że dał jej czas, by ochłonęła, i rzeczywiście tak się stało. Nawet pożałowała swojego wybuchu. I niepotrzebnej szczerości.

– Chodzi o rodzinę – podjął. – Jesteś jej częścią. Nic i nikt tego nie zmieni. I wszyscy mamy tego pełną świadomość.

– Dajże spokój. – Skrzywiła się z udaną ironią. – Oboje wiemy, że ta rodzina obchodzi cię niewiele więcej niż zeszłoroczny śnieg. – I zanim zdążył w jakikolwiek sposób odnieść się do jej słów, wskazała dłonią na ukrytą w głębi podwórza kamienicę. – Zmieniłam adres. Teraz tutaj wynajmuję mieszkanie.

Zatrzymał się i popatrzył z uznaniem na otoczenie.

– Robi zdecydowanie lepsze wrażenie niż tamta jaskinia na Kazimierzu. Zakładam jednak, że i tutaj mieszka smok, który rządzi całym domem i kontroluje lokatorów. A zwłaszcza samotne lokatorki.

– Mylisz się. Właściciele obchodzi jedynie to, czy opłaty za czynsz są regularnie uiszczane. A pozostali mieszkańcy pilnują własnych spraw. – Uśmiechnęła się lekko, z wyraźną satysfakcją. Odgadła, że czekał na jej

dalsze słowa, wiedziała na jakie, mimo to cofnęła się w stronę bramy. – Życzę ci szczęśliwej podróży do Warszawy. W innych okolicznościach poprosiłabym, abyś przekazał moje pozdrowienia Klementynie, ale oboje wiemy, że nie byłaby z tego zadowolona. Ani z tych pozdrowień, ani z faktu, że się spotkaliśmy.

Nie odpowiedział, ale wcale na to nie czekała. Skinęła tylko dłonią i ruszyła ku zamkniętym drzwiom domostwa. Ale nie szła szybko, każdy kolejny krok był wolniejszy i bardziej niezdecydowany od poprzedniego. Przy samym wejściu zatrzymała się i odwróciła. Na próżno sobie przy tym wmawiając, że robi to jedynie po to, by sprawdzić, czy już sobie poszedł. Nie powinna była tego robić, wiedziała, że igra z ogniem, ale postanowiła zignorować głos rozsądku. Jaką miała alternatywę? Puste mieszkanie i samotność, która na co dzień coraz bardziej jej doskwierała.

Wciąż stał w tym samym miejscu i nie odrywał od niej wzroku.

Nie zrobimy niczego niewłaściwego, jedynie porozmawiamy, pomyślała, ostatecznie odsuwając na bok wszelkie wątpliwości. Uśmiechnęła się i ponownie skinęła dłonią, lecz tym razem był to znak zaproszenia. I jednoznacznej zachęty.

\*\*\*

Była już późna pora, od kilku godzin na zewnątrz panował mrok, a oni wciąż jeszcze siedzieli przytuleni do siebie i wpatrzeni w rozproszone światło latarni za oknem.

– Powinieneś już iść – odezwała się wreszcie Kinga.

Nie zdobyła się jednak na wystarczająco stanowczy ton, bowiem w odpowiedzi mrugnął do niej zawadiacko.

– Na pewno?

– Tak. – Delikatnym, lecz tym razem zdecydowanym gestem uwolniła się

z jego objęć. – Musisz już iść.

– Nie mam ochoty...

– Ale tak trzeba.

Przez chwilę przyglądał jej się uważnie, po czym musnął palcami jej policzek.

– Co się stało? – spytał cicho, ale nie odpowiedziała. – Rozumiem. – Uśmiechnął się z pewnym przymusem. – Więc jednak sąsiedzi i właściciele tego lokum wcale nie są zajęci wyłącznie swoimi sprawami.

Nie podchwyciła jego żartobliwego tonu. Podniosła się i zebrała w węzeł rozpuszczone, potargane włosy.

– Chcę, abyś już poszedł. To wszystko.

Ponownie się na nią zapatrzył, ale odwróciła wzrok. Wobec tego także się podniósł, podszedł do niej i ujął za podbródek, zmuszając ją, by odwzajemniła spojrzenie.

– Żałujesz?

Czy żałowała?

– Nie o to chodzi – odparła cicho, na próżno walcząc ze łzami, które wypełniły jej oczy. – To bez znaczenia.

– Co jest bez znaczenia?

– Nie możemy się więcej spotykać. Obiecuj, że więcej do mnie nie przyjedziesz.

Ponownie zapanowała dłuższa chwila milczenia, która Kindze wydała się wiecznością. Delikatnie otarł dłonią łzy, które popłynęły jej po policzkach, po czym wreszcie uwolnił jej podbródek.

– Nie mogę tego obiecać – rzekł wreszcie. – Od lat o tobie marzyłem. Jesteśmy dla siebie stworzeni i dobrze o tym wiesz, bo czujesz to samo. Powinniśmy być razem... Tak czy inaczej... Musimy być razem. –

A ponieważ nie odpowiedziała, ponownie się uśmiechnął i do niej mrugnął. – Powinniśmy byli to zrobić już wtedy, kilka lat temu, gdy odwiedziłem cię po raz pierwszy.

– Wtedy, gdy twoja żona spodziewała się waszego dziecka? – spytała cicho, ale zarówno ton, jak i jej spojrzenie sprawiły, że uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Ale jeszcze pół godziny temu nawet o niej nie pomyślałaś, prawda?

Cofnęła się w kierunku toaletki i usiadła przed lustrem. Nie rozpoznawała własnej twarzy w lustrze.

– Co tam ja – odparła oschle. Aż sama się zdumiała, że zdobyła się na taki ton. – Gorzej, że ty nie masz żadnych skrupułów.

– Ona nic dla mnie nie znaczy. Już dawno przekonałem się, że to małżeństwo było błędem. Czy w ogóle muszę mówić ci to, o czym sama dobrze wiesz?

Ludziom zdarza się podejmować błędne decyzje, także w tych najbardziej fundamentalnych sprawach. Czy to oznacza, że nie mogą się już z nich w żaden sposób wycofać? Nie wolno im niczego naprawić? Nie mają prawa do szczęścia? – słowa z listu Stefana Burgiewicza zatańczyły jej przed oczami, litery skakały i przewracały się na siebie, niemniej dobrze je teraz widziała. I potrafiła przypomnieć sobie całe zdania. Tak jak odpowiedź swojej matki. Że nie wolno wycofywać się ze swoich zobowiązań wobec innych, a uczciwość wymaga, by dotrzymywać słowa i przyrzeczeń.

– Ale macie dzieci – przypomniała mu głucho. – Czy one także nic dla ciebie nie znaczą?

Nie odwracała się, ale w odbiciu lustra doskonale widziała, jak zmienił się na twarzy.

– Przecież ich nie zostawię – odparł cicho. – Nie skrzywdzę...

Wiedziała, co miał na myśli. Lecz nie widziała w tym miejsca dla siebie.

– Mam nadzieję. – Jej głos niebezpiecznie drgnął. – Ale będzie to możliwe tylko wtedy, gdy więcej tu nie przyjdiesz. Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

– Nie rozumiem, dlaczego w takim razie pozwoliłaś mi tu wejść. I dlaczego... – Machnął dłonią na znak, że daruje sobie snucie domysłów, dlaczego pozwoliła na wszystko, co tu przez ostatnie godziny robili.

Zdecydowała, że jednak mu odpowie. Najprościej, jak to tylko możliwe. A zarazem w taki sposób, by ostatecznie go do siebie zniechęcić.

– Bo chciałam. Bo czułam się samotna. Bo byłam... ciekawa. Ale zaspokoiliam już ciekawość i nie mam ochoty na ciąg dalszy.

Zabrzmiało cynicznie, ale o to przecież chodziło. Równocześnie jednak czuła, jak żołądek niemal dosłownie zawiązał się jej w supeł.

– Nie wierzę ci – odparł. – Wiem, że nie mówisz prawdy.

– Jestem owocem zatrutego drzewa – nie wytrzymała. – Twoja teściowa ci tego nie mówiła?

Naprawdę to powiedziała? To był jej głos? Przez moment siedziała jak osłupiała. W takim razie do reszty straciła rozum. Z coraz większym trudem rozpoznawała w odbiciu lustra swoją twarz.

– Nadal przejmujesz się słowami jakiejś głupiej baby – zachnął się. – Skrzywdziła cię, a jej córka także swoje dołożyła. Nie zapominaj o tym.

– A zatem wreszcie wyrównałam rachunki. To miałeś na myśli? – Uśmiech, który teraz wykrzywił jej wargi, nie sięgał jednak oczu.

W milczeniu zapiął koszulę, a potem ruszył do przedpokoju po płaszcz. Nie odwróciła się w jego kierunku, zobaczyła go jednak w odbiciu lustra, gdy ponownie stanął za jej plecami, już gotów do wyjścia.

– Myślę, że istotnie musisz teraz ochłonąć, i tylko dlatego nie będę ci się już dłużej narzucać z moją obecnością. Kocham cię i nic ani nikt tego nie zmieni. – Uczynił taki ruch, jakby chciał dotknąć jej ramienia, ale się

uchyliła, więc cofnął dłoń. – I pamiętaj: cokolwiek byś jeszcze zrobiła, one obie i tak pozostaną ci dłużne.

Nie odpowiedziała, w żaden sposób nie dała mu też do zrozumienia, że jego słowa w ogóle do niej dotarły. Gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, wyprostowała się i zacisnęła dłonie. Wciąż nie rozpoznawała kobiety w lustrze, ale wiedziała, że to jednak ona, i nie pozostaje nic innego, jak wziąć się w garść i popatrzeć na samą siebie.

Chyba naprawdę oszalałam... Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. O żadnym wyrównywaniu rachunków nie może być przecież mowy, na pewno nie w taki sposób.

Maria Burgiewiczowa całymi latami je jednak „wyrównywała”. Nie wybaczyła swojej siostrze, a fakt, że tamta usunęła się jej z drogi, niczego nie zmienił. Wciąż liczyło się tylko to, że Klara w ogóle przez pewien czas stała na tej drodze. A fakt, że zniknęła z pola widzenia swojej siostry, nie musiał oznaczać, że przestała istnieć dla Stefana. Bo nie przestała – i Maria zachowała tego pełną świadomość. A ponieważ nie miała możliwości, by ukarać siostrę i męża, „wyrównywała” rachunki z siostrzenicą. W dodatku bez trudu zaprzęgała do tego własną córkę.

Zawsze pozostaną dla niej owocem zatrutego drzewa, pomyślała posępnie Kinga. Teraz przynajmniej sama dałam jej powód, by tak o mnie sądziła. Choć nie przypuszczam, by kiedykolwiek dowiedziała się, co dziś zrobiłam z jej zięciem... Zresztą zawsze podejrzewała nas o nieczne zamiary.

Burgiewiczowa zawsze interweniowała, gdy tylko spostrzegła, że Aleksander próbował pomówić z jej siostrzenicą. Niewykluczone zatem, że dostrzegała te wszystkie znaki i symptomy, których pozostali – chyba – nie widzieli. Nie uszła jej uwadze choćby zdawkowa wymiana uśmiechów, być może jakiś błysk w oczach. To, co inni najpewniej interpretowali jako objaw wzajemnej sympatii, życzliwości, w niej budziło nieopisaną trwogę. Nie

zapomniała bowiem tego, czego sama doświadczyła i czego za wszelką cenę chciała oszczędzić swojej córce.

Nie udało ci się, dumiała Kinga, uzmysławiając sobie zarazem, że odczuwa przy tym pewną... satysfakcję. Nie udało ci się, cioteczko, ale choć mnie teraz nie słyszysz i nie widzisz, zapewniam cię, że nie musisz się już więcej obawiać. Bo to, co dziś się tu wydarzyło, już się nie powtórzy.

Nie będzie niczyją kochanką. Wiedziała, że nie byłaby wyjątkiem na tym świecie, tak jak i on nie byłby tym wyjątkiem. Mnóstwo żonatych mężczyzn prowadziło podwójne życie. Co więcej, mogli liczyć na to, że świat ich nie potępi, o ile zachowają konieczną dyskrecję. Dyskrecja ta obowiązywała także kobiety, z którymi nieoficjalnie się wiązali, a które w zamian za to nierzadko utrzymywali. A czasami nawet szczerze kochali. A jednak...

Nie chciała dla siebie takiego życia... W ukryciu, w tajemnicy. Bez żadnej przyszłości ani perspektyw, w towarzystwie własnych rozterek, bo te nie odstąpiłyby od niej nawet na chwilę. Tym samym utraciłaby wolność, którą zdobyła kilka lat temu. A także szacunek dla samej siebie. Nic, nawet najgorętsze uczucie nie wynagrodzi takiej straty. I dlatego to, co dziś zrobiła, nie ma prawa się powtórzyć – zapewniła ponownie samą siebie. Nigdy, pod żadnym pozorem. Wystarczy jej wspomnienie tych kilku ostatnich godzin, wystarczy na resztę życia. Musi.

Zacisnęła dłońmi uszy, jakby w ten sposób chciała obronić się przed własnymi myślami. Bo w głębi serca przeczuwała, że nie da rady wytrwać w tym postanowieniu. Granice zostały już przecież przekroczone, a ona tak naprawdę wcale nie żałowała tego, co się stało, choć przecież powinna. Nie było już powodu, by dalej walczyć z tym uczuciem.

Miała pełną świadomość, że Aleksander także o tym wiedział.



## ROZDZIAŁ 12

Siedząca za stołem Burgiewiczowa w milczeniu obserwowała córkę, której uwaga w tym momencie skoncentrowana była wyłącznie na dwójce kręcących się bez ustanku dzieci. Zarówno Krzyś, jak i Anetka nie należeli do niejadków, wręcz przeciwnie, apetyty im dopisywały, tak że Tomaszowa zaledwie nadążała z przynoszeniem kolejnych gorących maślanych bułeczek. Herbata także znikwała w okamgnieniu, toteż Zosia oznajmiła, że zaraz ponownie nastawi samowar.

– To on wszystko wypił. – Anetka wskazała oskarżycielskim gestem na brata. – Wszystko. Widziałam.

– Kłamczucha. Tylko byś jadła i piła – zaperzył się chłopiec.

Zosia z trudem zachowała powagę na twarzy, Klementyna zaś, poczerwieniawszy na twarzy, zaczęła mitygować swoje pociechy, starając się jednocześnie unikać spojrzeń matki i pokojówki.

– Zaraz dostaniecie dokładkę – tłumaczyła nieporadnie. – Wystarczy dla obojga, tylko musicie chwilkę zaczekać.

Starania te – jak to już nie raz w podobnych sytuacjach bywało – nie przyniosły żadnego efektu. Dzieci nie zamierzały zrezygnować z kolejnej słownej szermierki i niewiele brakowało, a wybuchłaby otwarta kłótnia, gdyby nie interweniowała ich babka.

– Wstyďte się! Doprawdy zachowujecie się jak zwierzęta w dżungli –

rzekła gniewnie. – Co to za maniery! Można by pomyśleć, że przez całe dni głodujecie.

Ta nagana przyniosła zakładany, przynajmniej przez doktorową, rezultat. Przy stole zapadła wreszcie cisza jak makiem zasiał. Zosia w popłochu wycofała się do drzwi, ale Burgiewiczowa ją zatrzymała.

– Zabierz dzieci i podaj im podwieczorek w pokoju śniadaniowym. Chcę teraz pomówić z córką, a w tym hałasie trudno mi zebrać myśli.

Gdyby to było możliwe, Klementyna spurpurowiałaby jeszcze bardziej niż przed chwilą. Z pochyloną głową wyglądała teraz jak pensjonarka oczekująca na reprimendę przełożonej. Czuła, że jej twarz niemal dosłownie płonie, a na czole pojawiły się kropelki potu. Nie była jednak w stanie sięgnąć po chusteczkę, by je obetrzeć. Ręce jej drżały, a poza tym bała się, że jeśli teraz, w obecności dzieci i służącej wykona jakikolwiek ruch, bez wątpienia coś w niej pęknie i zaleje się łzami. Czuła na sobie uparte spojrzenia syna i córki. Jakby oboje czekali, aż ich matka jakoś zareaguje, odezwie się, zrobi cokolwiek. Nie musiała odwzajemniać ich spojrzeń, by się tego domyślić. Nic jednak nie zrobiła, nawet się nie poruszyła. W milczeniu, nie podnosząc głowy, czekała, aż wstaną z krzeseł i wyjdą. Spełnią życzenie, a właściwie rozkaz swojej babki. Zerknęła w ich stronę, gdy byli już przy drzwiach, ale odwrócone do niej tyłem dzieci już na nią nie patrzyły. Podchwyciła za to spojrzenie pokojówki i to sprawiło, że wreszcie się wyprostowała.

– Niepotrzebnie, droga mammo, zrobiłaś taką scenę przy służącej – odezwała się drżącym głosem, gdy wreszcie zostały same.

Nie cierpiała, gdy jej głos brzmiał tak cicho, niepewnie. Tak... piskliwie. W takich chwilach nienawidziła własnej bezradności i najchętniej ukryłaby się w najciemniejszym kącie, w najmniej uczęszczanym przez ludzi miejscu. A nawet nie miałyby nic naprzeciw, by rozstąpiła się pod nią ziemia.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe, ziemia nie rozstępowała się ot tak, na zawołanie. Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak co jakiś czas stawiać czoła takim sytuacjom jak ta przed chwilą. Choć i to nic nie dawało. Nie mogło dawać, skoro nie potrafiła walczyć. Walka oznacza obronę własnych racji i poglądów, a ona przecież nigdy ich nie miała. Może czasem... coś jej świtało w głowie, ale nie na tyle jasno, by zapalił się od tego większy płomień. A bez płomienia nie mogła wytoczyć dział czy choćby zorganizować skutecznej obrony.

Przed laty w ogóle nie zaprzętała sobie głowy podobnymi myślami. Gdy była jeszcze dzieckiem, a potem dorastającą panienką, po prostu cieszyła się, że nie musi stawać w szranki ze światem, o niczym decydować, bo gdy pojawiał się jakikolwiek problem, natychmiast interweniowała matka. Która z kolei potrafiła być bardzo skuteczna. Dopóki więc Klementyna mieszkała w rodzicielskim domu, czuła się bezpieczna i spokojna. Małżeństwo, choć przecież zawarte ze szczerą miłości, upragnione i wyśnzione, podziało jednak na nią jak kubek lodowatej wody.

Jako żona, a wkrótce potem jako matka, musiała podejmować samodzielne decyzje – a nie potrafiła. Musiała stawiać czoła różnym problemom – a nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Musiała wreszcie dorosnąć – lecz i temu nie mogła sprostać, w rezultacie wciąż była dzieckiem. Trzeba było jednak obrać jakąś strategię – wobec tego wybrała ucieczkę. Postanowiła nie dostrzegać problemów. Wmawiała sobie, że one nie istnieją, że wszystko w jej życiu dobrze się układa. Wobec tego odkładała też na bok różne decyzje i już do nich nie wracała.

Ale to wszystko było możliwe tylko pod tym jednym warunkiem – o ile wciąż chroniła się pod parasolem, jaki zapewniał jej rodzinny dom. I opieka rodziców. Tym samym zgadzała się na bezustanną kontrolę ze strony matki. Innego wyjścia dla siebie nie widziała nawet wówczas, gdy w miarę upływu

lat zaczęła dostrzegać ujemne skutki takiego rozwiązania. Takiej pułapki, do której sama przecież weszła. Lecz na tym właśnie polega działanie mniej lub bardziej ukrytych pułapek.

Czasami przyłapywała się na pragnieniu, by spróbować uciec gdzieś dalej. Zaraz jednak odrzucała taką myśl. Głupią, bo niemożliwą do spełnienia. Na ucieczkę zdobywają się tylko ludzie zdeterminowani, silni, niezależni. Gotowi do konfrontacji i do obrony, potrafiący sprzeciwić się światu. Ona zaś nie spełniała żadnego z tych kryteriów. W przeciwieństwie do Kingi. Bo kuzynka potrafiła zdobyć się na to, co dla Klementyny było niemożliwe do osiągnięcia.

Kinga... Kiedyś miała nadzieję, że gdy tylko tamta opuści dom na Kruczej, wreszcie ostatecznie zniknie z życia ich rodziny. Tak się jednak nie stało i to nie tylko dlatego, że Zbyszek, a kiedyś także ojciec, nie zaprzestali z nią kontaktów. Nie traktowali jej jak czarnej owcy. Ona, Klementyna, także nie przestała o niej myśleć – nawet to okazało się dla niej zbyt trudne. W dodatku ostatnimi czasy wspominała swoją kuzynkę częściej. Choć oczywiście nikomu się do tego nie przyznała, nawet matce... Zwłaszcza jej.

Teraz jednak nie mogła uwolnić się od refleksji, że Kinga nigdy nie pozwoliłaby doktorowej w taki sposób karcić swoich dzieci, tak nimi rozporządzać, wydawać polecenia. Klementyna także miała świadomość, że powinna jakoś zareagować. Matka czasami przekraczała wszelką miarę, nie zwracając przy tym uwagi na obecność służby, jak choćby przed chwilą. Spojrzenie, jakie Zosia rzuciła na odchodnym, było bardzo wymowne. Dlatego tym razem Klementyna zdobyła się na małą uwagę. Niestety wymówka ta wypadła nader wątle, z czego zarówno ona, jak i Burgiewiczowa doskonale zdawały sobie sprawę.

– Ktoś musi ich czasem skarcić, skoro ty tego nie potrafisz – odparła surowo doktorowa. – To wstyd, doprawdy. Od lat mówiłam, że dzieci nie da

się wychować bez stosowania żadnych reguł czy dyscypliny, ale moje słowa były niczym głos wołającego na pustyni. Dużo winy ponosi tu także twój mąż, który zawsze lubił głosić różne teorie, bez brania za nie żadnej odpowiedzialności...

– Czy o tym właśnie chciałaś ze mną pomówić, mamó? – wtrąciła Klementyna. Przyszło jej do głowy, że z największą ochotą cisnęłaby teraz filiżanką o podłogę. Być może w ten sposób pozbyłaby się tego nieznośnego ucisku w żołądku i w gardle. I przestałaby tak drzeć. Ale z drugiej strony nie wiedziała tego na pewno. Bo przecież równie dobrze mogłoby to pogorszyć sytuację. Matka nazwałaby ją nieznośną histeryczką i trudno byłoby temu zaprzeczyć. Zresztą takie dywagacje i tak nie miały sensu. Nie w przypadku osoby, która nie potrafiła się sprzeciwić, klócić, a tym bardziej rzucać filiżankami. Która zawsze wycofywała się z linii frontu, pozostawiając inicjatywę komu innemu, najczęściej siedzącej teraz naprzeciwko kobiecie. Mimo wszystko wiele jej zawdzięczała. I dlatego, zamiast rzucić filiżanką o podłogę, jedynie zacisnęła na niej dłoń.

– O tym także. Zresztą jedno z drugim ma ścisły związek – odpowiedziała, wciąż tym samym tonem, matka.

Nie zapowiada się najlepiej, pomyślała ze znużeniem Klementyna. Ale może i do tego powinna w końcu przywyknąć. Ostatnio wszystko jej szło jak po grudzie. W przeszłości też tak zresztą bywało, tyle że wtedy skuteczniej przechodziła do porządku dziennego nad własną nieporadnością.

– A zatem słucham... droga mamó.

– Jak ty wyglądasz? Jak mogłaś się tak zapaść?!

W pierwszym odruchu Klementyna niemal podskoczyła na krześle. Jakby ktoś zniecka smagnął ją biczem. Mogła się spodziewać różnych uwag, kolejnych wymówek, lecz – na miłość boską – nie takich. Nie takich!

– Zapaść? – powtórzyła bezwolnie, jakby zupełnie nie rozumiała słów

matki. A przecież było zupełnie odwrotnie. Zrozumiała ją natychmiast.

– Owszem. Czas najwyższy, abym ci to uzmysłowiła, zanim zrobi to ktoś inny. Na przykład twój mąż. Bo wtedy, możesz mi wierzyć, taka opinia bardziej cię zaboli.

Bez wątpienia, przyznała w duchu Klementyna. W tej samej jednak sekundzie uzmysłowiła sobie, że Aleksander wcale nie musiał jej tego mówić. Jego spojrzenia, o ile w ogóle raczył ją nimi zaszczycać, mówiły same przez się, tylko ona postanowiła udawać, że tego nie dostrzegała. Jakaż była głupia! Lecz z drugiej strony... Co mogła na to poradzić? A skoro na pewne sprawy nie ma już rady, to czy nie lepiej się nimi nie zajmować? A nawet się... oszukiwać?

Ale żeby było aż tak źle? Naprawdę się zapuściła?

– Staram się dbać o siebie najlepiej, jak potrafię – odparła rozpaczliwie i aż się wzdrygnęła, usłyszawszy ponownie ten nieznośny pisk w swoim głosie. – Przed tygodniem odebrałam dwie nowe suknie od krawcowej. Zamówiłam też najnowsze fasony kapeluszy.

– I co z tego? Ładna suknia i modny kapelusz nie sprawią, że kobieta stanie się od razu atrakcyjna. To jedynie dodatki. Nie słuchasz mnie. To ty się zaniedbałaś, twoja garderoba to sprawa wtórna.

Nie po raz pierwszy Klementyna poczuła drgnienie buntu. Jednak nigdy dotąd nie było tak silne, jak właśnie teraz.

– Nic na to nie poradzę – odparła twardym tonem. W każdym razie takim, jakiego w rozmowach z matką nigdy dotąd nie użyła. – Takie jest życie, nie da się walczyć z upływem czasu. A on nigdy nie działa na korzyść kobiet. Zwłaszcza tych, które rodzą dzieci – dorzuciła prowokacyjnie.

Na Burgiewiczowej ten wybuch nie zrobił większego wrażenia. W każdym razie niczego nie dała po sobie poznać. Jedyne skrzywiła się z niesmakiem.

– Swoje drugie dziecko urodziłaś kilka lat temu. I nic nie wskazuje na to, by twoja rodzina miała się jeszcze powiększyć.

Nie twoja sprawa, chciała zawołać Klementyna, ale poprzestała na przygryzieniu wargi. W tym momencie odgadła, w którą stronę zmierza ta rozmowa, i choć się wzdragała przed jej kontynuowaniem, nie miała pojęcia, jak miałyby ją zakończyć.

– Wiem, że nie układa ci się z mężem – podjęła Maria tonem prokuratora.

– Nieprawda – zaprzeczyła gwałtownie Klementyna, ale nie miała wątpliwości, że jej sprzeciw nie wypadł wiarygodnie. W każdym razie matka jej nie uwierzyła, i trudno było się temu dziwić.

Burgiewiczowa nie spuszczała wzroku z córki, a spojrzenie to bynajmniej nie napawało otuchą. Klementyna nie mogła oprzeć się ponuremu spostrzeżeniu, że w taki właśnie sposób matka patrzyła kiedyś na Kingę. Czasem też na inne kobiety, o których nie miała dobrego zdania. Dawniej próbowała tej metody także w odniesieniu do męża i syna, zawsze jednak bezskutecznie. Lecz na nią, na ukochaną przecież córkę, spojrzała tak po raz pierwszy. Myśl ta sprawiła, że Klementyna dosłownie skuliła się na krześle i z coraz większym przerażeniem czekała na ciąg dalszy przesłuchania. Z góry jednak wiedziała, że nie zdoła się obronić. Skoro nigdy nie podejmowała walki, nie podejmowała też obrony. Teraz było już za późno, by się tego nauczyć.

– W twoim małżeństwie się nie układa – powtórzyła z naciskiem Burgiewiczowa. – Zaprzeczanie temu jest bezcelowe. Do pewnego stopnia starałam się na to jakoś reagować, ale w pewnych kwestiach cię nie zastąpię. Liczyłam na to, że przejrzysz wreszcie na oczy i zrobisz z tym cokolwiek, ale dłużej nie zamierzam czekać. – Na moment umilkła, jakby dawała córce czas na przetrwanie tych słów, po czym dodała, z wyraźną już naganą w głosie: – Nie ja jedna to widzę. Dotarły do mnie sprawdzone informacje,

że... mówią już o was na mieście.

Klementyna wciąż siedziała nieporuszona, jak rażona piorunem. W głowie miała kompletny chaos, jakby gotował jej się mózg. O czym ona mówi? – myślała w popłochu. Starła się reagować? Nie zamierza czekać? Na co nie zamierza czekać? Ludzie... mówią?

– Ludzie zawsze o kimś lub o czymś mówią – odparła z trudem.

Słowa te dodatkowo rozgniewały matkę.

– Ale wolałabym, aby jednak nie mówili o naszej rodzinie. Jakby nie dość było wcześniejszych skandali... Czy naprawdę co jakiś czas ktoś z rodziny musi dawać powód do plotek?

Ty także kochasz plotki, mamó, zachnęła się w myślach Klementyna. Było tak, odkąd pamiętam.

Oczywiście na głos powiedziała co innego:

– Mogę cię zapewnić, droga mamó, że nigdy nie dawałam żadnego powodu do plotek. – Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że zabrzmiało to tak, jakby całą odpowiedzialność w tej kwestii zrzucała na Aleksandra, to zaś dawało matce idealny wprost powód do kąśliwych uwag pod adresem zięcia. A tego Klementyna nie chciała teraz słuchać. W ogóle pragnęła zakończyć tę rozmowę, ale nie miała odwagi tego zrobić.

Że też nigdy nie potrafiłam znaleźć na czas właściwej riposty, zżymała się w duchu. Ale oczywiście znała przyczynę tego stanu rzeczy.

– Owszem, dawałaś takie powody i wciąż to robisz – odparła ostro Burgiewiczowa. – Nawet bardziej niż twój mąż. On w gruncie rzeczy nie różni się od milionów mężczyzn na tym globie. Wszyscy pod pewnymi względami są bardzo przewidywalni. Dlatego tak wiele zależy od postawy i działań kobiety. Czy naprawdę muszę ci uświadamiać, że jeśli w małżeństwie źle się dzieje, to społeczeństwo najczęściej odpowiedzialnością obarcza za to żonę, bo nie potrafiła w porę temu



zaradzić? Rzadko kiedy może ona liczyć na zrozumienie i szczerę współczucie.

A z tobą jak było, mamó? Do której kategorii się zaliczasz? Tych, które umiały sobie w takich sytuacjach radzić, czy tych, które jednak czasami mogą liczyć na zrozumienie i... współczucie? – pomyślała Klementyna, żałując z całego serca, że nie jest w stanie zadać takich pytań otwarcie, na głos. Bo jeszcze nigdy nie zdobyła się na szczerą rozmowę z matką. I raczej się już na to nie zdobędzie.

– Cokolwiek ludzie mówią i cokolwiek sama myślisz, mamó, mogę cię zapewnić, że w moim małżeństwie nie dzieje się źle – odparła, zdając sobie sprawę, że doktorowa czeka na jakąkolwiek reakcję z jej strony.

Taka odpowiedź nie mogła jednak Burgiewiczowej zadowolić. Wiedziała swoje i była pewna, że ma rację. Klementyna także to wiedziała.

– Czemu od dawna nigdzie razem nie bywacie? Ani na przyjęciach, ani w teatrze... Po prostu nigdzie? – Matka indagowała tonem surowego śledczego. – Dotyczy to także przyjęć w moim domu... To zawsze zwracało powszechną uwagę.

– Papa także unikał tych przyjęć – wypaliła impulsywnie Klementyna i sama się zdziwiła na swoje słowa.

– Klementyno, zapominasz się.

– Wybacz, kochana mamó, nie chciałam sprawić ci przykrości – odparła potulnie. – Chodziło mi tylko o to, że mój mąż, podobnie jak niegdyś papa, także nie gustuje w dużych spotkaniach towarzyskich. Nie wiem, może to typowe dla lekarzy, że po ciężkiej pracy przy chorych nie mają ochoty na tego typu rozrywki? – Zorientowała się, że i takie wyjaśnienie nie udobruchało matki, mimo to dodała: – A co do teatru... Przecież ostatnie niepokoje i uliczne rozruchy także nie zachęcały, by chodzić na przedstawienia.

– Rozruchy i niepokoje, chwalić Boga, skończyły się dobre kilka tygodni temu, a lada dzień zapewne cała ta awantura ostatecznie przycichnie – rzekła oschle Burgiewiczowa. – Na szczęście nie doszło do najgorszego. Nie chciałabym po raz drugi przechodzić przez to, co oglądałam ponad czterdzieści lat temu.

– Niektórzy jednak uważali, że była szansa... – podjęła gorliwie Klementyna, dostrzegłszy okazję do zmiany tematu, ale matka szybko zgasiła jej nadzieje.

– Nie o tym teraz mówimy – oświadczyła stanowczo. – Po urodzeniu dzieci zamknęłaś się w domu, przestałaś bywać i przyjmować u siebie gości. Oddaliłaś się od ludzi, dzięki którym mogłabyś się bardziej towarzysko wyrobić. W rezultacie przestałaś być atrakcyjna w oczach twojego męża, który nie mając już o czym z tobą rozmawiać, w przeciwieństwie do ciebie, coraz częściej szuka rozrywek poza domem.

– Jak możesz tak mówić, mammo... – wymamrotała wstrząśnięta do głębi Klementyna. To, co usłyszała przed chwilą, odebrała jako jawną niesprawiedliwość i niekonsekwencję. – Nie zamknęłam się w domu. Przecież składałam ci wizyty. Bywałam wśród ludzi, w twoim salonie nigdy ich nie brakowało.

– Ale on przeważnie ci wtedy nie towarzyszył – skrzywiła się Burgiewiczowa. – A poza tym... prawdziwa dama ma bywać wszędzie tam, gdzie spotyka się odpowiednie dla niej towarzystwo. A więc nie tylko w domu rodziców.

– Nic na to nie poradzę. – Klementyna załapała się łzami. Nie liczyła na to, że w ten sposób złagodzi gniew matki, ale trudno. Mniejsza z tym. W przypadku jednych ludzi łzy były oznaką rozpacz, inni w taki sposób wyrażali swój gniew. Ona – jedynie własną bezradność. – Zresztą, co w tym dziwnego? Po urodzeniu dzieci wszystko się zmieniło. Potrzebowały mojej

obecności i opieki.

– Masz nianię i pokojówki, stale ci o tym przypominałam. Twoje służące biorą swoją pensję za nic. W twoim domu stale panował i panuje rozgardiasz, a ty nie potrafiłaś ich zmusić do żadnej pracy. I w dodatku wzięłaś na siebie wszystkie zadania, które były i są obowiązkiem niani. Nie twierdzę, że powinnaś ignorować i zaniedbywać swoje dzieci. Lecz rola matki nie jest jedyną, którą masz do spełnienia. Oprócz tego jesteś także żoną. I damą, która powinna bywać w towarzystwie.

– Nie wiedziałam, że moje wizyty były ci tak niemiłe – załkała Klementyna, a Burgiewiczowa na moment uniosła dłonie, jakby błagała niebiosą o interwencję.

– Nie słuchasz mnie! Albo świadomie przekręcasz znaczenie moich słów. Jesteś moją córką, zarówno ty, jak i twój brat zawsze byliście i będziecie najbliżsi mojemu sercu, ale właśnie dlatego mówię ci to wszystko, abyś otworzyła wreszcie oczy. Chcę ci pomóc, choć wiem, że to boli. Ale znam życie lepiej niż ty i wiem...

– Mamo – przerwała jej Klementyna. Rzadko ośmielała się to zrobić, niemniej tym razem się przemogła, choć zaraz zabrakło jej tchu. Opanowała się jednak, nawet przestała szlochać. – Prawda jest taka, że ja także, podobnie jak papa i jak mój mąż, nigdy nie przepadałam za przyjęciami, balami i tym podobnymi wydarzeniami. Lubiłam przychodzić do waszego domu, bo czułam się tu dobrze i bezpiecznie. I lubiłam się zajmować moimi dziećmi. Dlatego nie widziałam potrzeby, aby zostawiać je pod opieką niani, o ile naprawdę nie było to konieczne. – Tym razem głos jej zabrzmiał spokojnie, a słowa nie wydały się od rzeczy. Aż sama się temu zdziwiła. Zaraz też przyszło jej do głowy, że ojciec by ją zrozumiał, i na pewno pochwalił. A może nawet przyszedłby z pomocą, bo zawsze to robił, gdy akurat znajdował się w pobliżu. Szkoda, że to ostatnie zdarzało się tak rzadko.

Na zrozumienie ze strony matki nigdy nie mogła liczyć. Nagłe uświadomienie sobie tego faktu powinno ją było w tym momencie poruszyć do samej głębi – bo przecież do tej pory to właśnie na niej się opierała i wierzyła, że to miłość matki dodaje jej sił – ale, ku swemu zdumieniu, nie odczuła żadnej przykrości. Nie miała przecież wątpliwości, że ta siedząca naprzeciw niej kobieta mówiła prawdę, twierdząc, że zawsze kochała zarówno ją, jak i Zbyszka. Bez wątpienia tak było – kochała ich, oczywiście tak, jak potrafiła, lecz z pewnością ich nie rozumiała. Być może zresztą nie była to jej wina, niemniej odkrycie tej prawdy sprawiło, że Klementyna przestała się jej bać. Przestała się kulić. Wyprostowała się na krześle, zdecydowanym ruchem otarła resztki łez i spojrzała matce prosto w oczy.

Zauważyła, że zrobiło to na niej wrażenie. Poznała to po wyrazie jej oczu, w których zamigotało coś, czego Klementyna nigdy dotąd w nich nie widziała. Niepewność? A może odbicie jakiegoś wspomnienia? Tak czy owak, trwało to bardzo krótko, bo Burgiewiczowa, lepiej niż jej córka, niż ktokolwiek w rodzinie, potrafiła wziąć w karby własne emocje.

– Nie porównuj się do swojego ojca – rzekła powoli twardym tonem doktorowa. – Ani do swojego męża. Żaden z nich przecież nie zamknął się w domu. I nie unikał przyjemności i wrażeń. Tyle że oczywiście bez towarzystwa swoich żon.

Ton ten miał zdeprimować Klementynę i rzeczywiście poczuła ona lekki niepokój. Nie tyle z powodu słów, które właśnie padły, lecz tych, które paść dopiero miały. Wyraz twarzy matki nie zapowiadał bowiem niczego dobrego.

I rzeczywiście przeczucie jej nie myliło.

– Twój mąż ostatnio jakby częściej podróżuje do Galicji.

Jakby częściej podróżuje do Galicji? Klementyna odniosła wrażenie, jakby cały ten pokój i wszystkie znajdujące się w nim sprzęty zatańczyły jej przed oczami. Mimo to – podobnie jak wcześniej doktorowa – postanowiła

zachować spokój.

– Od czasu do czasu odwiedza tam swoich krewnych – odparła cicho. – Od lat to przecież robi i nie dostrzegam w tym niczego niezwykłego.

Tym razem cisza trwała nieco dłużej. Burgiewiczowa sięgnęła po filiżankę, spróbowała herbaty i zaraz skrzywiła się z niesmakiem, bo napój zdążył już wystygnąć. A może nie tylko z tego powodu.

– Popełniasz błąd – oświadczyła wreszcie.

– Jaki błąd? – zdziwiła się Klementyna. – Uważasz, droga mamó, że powinnam mu tego zabronić? Nawet gdybym podzielała ten pogląd, i tak by mnie nie posłuchał. – Przy ostatnich słowach usłyszała we własnym głosie zadawnioną już gorycz.

Burgiewiczowa też ją usłyszała – córka poznała to po jej spojrzeniu – ale skupiła się na innym aspekcie.

– Powinnaś podróżować tam razem z nim. To w końcu także twoja rodzina. I krewni waszych dzieci.

– A to coś nowego! – Ponownie zdumiała się Klementyna. – Przed laty mówiłaś coś zupełnie innego.

– Przed laty sytuacja była inna – zniecierpliwiła się Maria. – Małe dzieci i... w ogóle. Teraz okoliczności się zmieniły.

– Od lat się tam nie pokazywałam. Najpierw dzieci były za małe na taką podróż, a nie chciałam wyjeżdżać bez nich. A potem... – Klementyna wzruszyła ramionami. – No cóż, czas zrobił swoje. Nie czułam potrzeby, aby tuc się tak daleko. Wolałam raczej, aby to oni nas odwiedzali. Ze względu na dzieci... Aby znały swoich krewnych.

– Znowu mówisz o dzieciach. – Burgiewiczowa przewróciła oczami. – Cały twój świat skupił się wyłącznie na nich. Powtórzę raz jeszcze: to błąd. Tym bardziej że im również twoja bezustanna obecność i poświęcenie wcale nie wyszły na dobre. Nie potrafią się zachować ani w większym

towarzystwie, ani w naszym wąskim gronie.

– Może faktycznie nie mówmy już o moich dzieciach – wtrąciła Klementyna, a jakiś nowy, niesłyszalny do tej pory ton w jej głosie sprawił, że doktorowa najpierw zacisnęła wargi, ale potem skinęła lekko głową.

– Bez obawy. To, co miałam w tej kwestii do powiedzenia, już powiedziałam. Ale są sprawy inne, znacznie poważniejsze.

– Być może, ale chyba pomówimy o nich innym razem. Na mnie już czas. – Klementyna podniosła się, zaraz jednak poczuła, że nogi ma jak z waty. Drżała na całym ciele. W pierwszej chwili przestraszyła się nawet, że upadnie, toteż odruchowo chwyciła się krawędzi stołu. – Zabieram dzieci i wracam do mojego domu. – Zaakcentowała ostatnie słowa. – Jeśli pozwolisz, mamó, teraz cię pożegnam.

– Nie, nie pozwolę – ucięła kategorycznym tonem Burgiewiczowa. – Nie mogę dłużej patrzeć, jak chowasz głowę w piasek. Zwłaszcza że doskonale wiesz, z czyjego tak naprawdę powodu twój mąż tak często podróżuje do Galicji. – Zerknęła na pobladłą twarz córki i zawahała się, czy nie złagodzić trochę tonu. Dodała więc już spokojniej, choć wciąż nie bez emocji: – Ona tam przecież mieszka. Twoja... kuzynka. A takie jak ona nie cofają się przed niczym. Jest jak jej matka... – Wreszcie zamilkła, jakby zabrakło jej tchu.

Klementyna zacisnęła dłonie na poręczy krzesła. Miała wrażenie, że upłynęły wieki, zanim odwzajemniła spojrzenie doktorowej, choć w istocie była to jedynie chwila.

– Krewni Aleksandra nie mieszkają przecież w samym Krakowie, lecz około czterdziestu kilometrów od miasta. A zatem nie sądzę... – Mówiła to jednak wbrew sobie samej i dlatego nie wypadło to przekonująco.

– Otwórz wreszcie oczy i nie zachowuj się jak śpiąca królewna. – Burgiewiczowa ostentacyjnie sięgnęła po wachlarz. Klementyna chętnie poszłaby jej śladem, czuła bowiem, że w pokoju zrobiło się duszno jak nigdy

przedtem, nie miała jednak przy sobie niczego, czym mogłaby się powachlować, więc jedynie trzymała się krzesła. Obawiała się, że jeśli ta rozmowa potrwa kilka minut dłużej, to zemdleje. W tym momencie czuła się dokładnie tak samo jak przed laty, gdy w salonie pełnym ludzi matka oznajmiła swoim gościom, że jej córka spodziewa się dziecka, a wszyscy wokół zaczęli się tłoczyć, składać gratulacje i udzielać tak zwanych dobrych rad, których Klementyna słuchać wtedy nie chciała. I gdyby nie ojciec... Mój Boże, gdyby i teraz tu był!

– Jeśli nie zaczniesz działać, ja to w końcu zrobię – kontynuowała tymczasem doktorowa. – Doprowadzę sprawy do porządku, możesz być tego pewna. Nie mamy już nikogo innego, kto mógłby się tym zająć. Zresztą twój ojciec, nawet gdyby jeszcze żył, nic by z tym nie zrobił. Widział to samo co ja, ale podobnie jak ty udawał, że wszystko jest w porządku. Od początku miałam wątpliwości co do Jankiewicza, ale oczywiście ty nie chciałaś mnie słuchać, a ojciec jak najbardziej popierał twoje mrzonki. I oto mamy skutki.

Słowa te natychmiast otrzeźwiły Klementynę. Wachlarz nie był jej już potrzebny. Nogi przestały się uginać. Choć w dalszym ciągu drżała.

– Nigdy nie słyszałam, abyś wtedy miała, droga mamó, cokolwiek przeciwko Aleksandrowi. Popierałaś mój wybór tak samo jak papa.

– Nie chciałam robić zamieszania i sprawiać ci przykrości, ale miałam swoje obawy.

Nieprawda, pomyślała Klementyna. Gdybyś miała wątpliwości i jakiegokolwiek zastrzeżenia, zrobiłabyś wszystko, co w twojej mocy, by nie dopuścić do ślubu. Nie powstrzymałaby cię ani obawa przed zamieszaniami, ani żadne przykrości.

Dyskusja na ten temat nie miała już jednak sensu. Co było, to było. Tak czy owak, to jedynie przeszłość, na którą i tak nie ma się już wpływu. Teraz liczyło się jedynie to, aby powstrzymać matkę przed tym, co zamierzała

uczynić w przyszłości. Bardzo niedalekiej – jak wynikało z jej zapowiedzi.

– Nie rób tego, mamó – rzekła zdecydowanie. – Sama się tym zajmę.

Ty trzymaj się od tego z daleka – chciała dodać, ale przygryzła wargę. Znowu jednak dostrzegła w jej oczach ten sam wyraz lekkiego niepokoju i niepewności, co parę minut temu. A może był to przebłysk jakiegoś odległego wspomnienia?

– Mam nadzieję – odparła oschle Burgiewiczowa. – Choć nie ukrywam, że bardzo słabą. Zrób to, zanim będzie za późno. – Także się podniosła. Przez moment mierzyły się uważnymi spojrzeniami. – O ile już nie jest za późno – dodała, po czym odłożyła serwetkę na stół i powoli opuściła jadalnię.

Patrząca za nią Klementyna przynajmniej co do jednego miała pewność – że czasy, gdy bezgranicznie jej ufała i opierała się na jej zdaniu, minęły bezpowrotnie. Tak jak tamto pragnienie, by stać się do niej podobną. Zdawała sobie sprawę, że matka także miała tego świadomość. W tym momencie to była jedyna kwestia, co do której się zgadzały. Jedyna... A przecież do niedawna zgadzały się we wszystkim.

Nagle Klementyna odniosła wrażenie, jakby mur, o jaki opierała się przez całe dotychczasowe życie, runął, a ona wraz z nim. Zabrakło jej sił, opadła z powrotem na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.



## ROZDZIAŁ 13

Tym razem po powrocie od matki nie zamknęła się w czterech ścianach swojego domu. Miała wrażenie, jakby siły, które jeszcze godzinę temu ją opuściły, wróciły w dwójnasób. Być może pomagało jej w tym przeświadczenie, że nie ma czasu do stracenia, bo musi w konkretnych działaniach ubiec matkę. Zanim tamta naprawdę zrealizuje swój plan i weźmie się na przykład za przesłuchiwanie Aleksandra. A ponieważ ten kategorycznie sprzeciwi się podobnej „rozmowie” – co do tego Klementyna nie miała nawet cienia wątpliwości – i niewykluczone, że da teściowej do zrozumienia, co o niej myśli, dalsze wypadki potoczą się w takim kierunku, z którego nie będzie już odwrotu.

Klementyna musiała zatem działać i choć początkowo nie miała zielonego pojęcia, co przedsięwziąć, to jednak stopniowo – ku własnemu zaskoczeniu – zapanowała nad chaosem myśli. Już w drodze do domu podjęła decyzję, co ma robić w ciągu najbliższych godzin. Dzieci trochę narzekały, że tym razem nie wzięła dorożki, ona jednak potrzebowała tego szybkiego marszu i widoku innych, obcych jej, ale także zaaferowanych własnymi sprawami ludzi. Poza tym od kilku tygodni panował już spokój, zapął rewolucyjny należał do przeszłości, a jeśli tu i ówdzie jeszcze się tlił, to wiadomo było, że pożaru z niego nie będzie. Życie wróciło do normy. Tak, do normy, cokolwiek by to miało znaczyć. Wszyscy stawiamy czoła swoim

problemom, westchnęła w duchu Klementyna. Wszyscy musimy sobie z nimi radzić. Lepiej lub gorzej, ale... nie mamy przecież wyjścia. Zmusiła się nawet, by uśmiechnąć się do marudzących pociech.

– Jest ładna pogoda. Przyda wam się ruch na świeżym powietrzu – rzekła.

– Ale to przecież nie jest spacer. Ja nie mam siły cały czas za mamą biec – poskarżyła się Anetka.

Biegłam? Naprawdę? – zastanowiła się Klementyna i zwolniła kroku.

– Obiecuję, że jutro zabiorę was do cukierni. Obiecuję – zapewniła pojednawczo.

– A dlaczego nie dzisiaj? Przecież wyszliśmy od babci wcześniej niż zazwyczaj. – Wyglądało na to, że córeczka swoim zwyczajem zacznie zaraz nalegać. Na ogół zresztą jej życzenia i zachcianki były dla świętego spokoju spełniane, tym razem jednak Klementyna nie zamierzała ustępować.

– Dzisiaj mamusia się śpieszy. Mam pilną sprawę do załatwienia. Do cukierni zabiorę was jutro. Zresztą dopiero co zjedliście podwieczorek u babci, a słodkości tam nie brakowało.

Podchwyciła zaskoczone spojrzenia dzieci i wcale jej to nie zdziwiło. Do tej pory nigdy nie widziały, by się gdziekolwiek śpieszyła. Nie słyszały, by mówiła tak zdecydowanym tonem. O pilnych sprawach do załatwienia już nawet nie wspominając. Od takich spraw był przecież ojciec. Próbowwały wprawdzie protestować, ponieważ jednak pozostała nieugięta, w milczeniu podążyły za nią do domu.

Patrząc na ich naburmuszone buzie, Klementyna w duchu przyznała, że być może pod pewnymi względami jej matka miała trochę racji. Krzyś i Anetka byli co nieco rozpuszczeni. Wprawdzie Burgiewiczowa przesadziła, porównując ich zachowanie do nieokrzęsanych głodomorów, niemniej zasady savoir-vivre'u były im raczej obce. Główna odpowiedzialność za ten stan rzeczy spadała na ich ojca – Aleksander uważał, że surowa dyscyplina

nie przynosi niczego dobrego, a jedynie łamie charakter dziecka. Tyle że w jego interpretacji jakakolwiek dyscyplina uchodziła za zbyt surową, a Klementyna w pewnym momencie zaprzestała prób, by go przekonać do swoich racji. Tym bardziej że według niego powtarzała jedynie zdanie swojej matki, własnego bowiem nie miała. A Klementyna nie umiała walczyć ani dyskutować. I oto rezultaty. Aleksander nie pozwalał dyscyplinować dzieci i nadal nie widzi problemu w tym, że ludzie uważają je za niewychowane. Zresztą co go to obchodzi, skoro całymi dniami nie ma go w domu. Co do tego też niestety jego teściowa miała rację.

Poza tym w jeszcze jednej kwestii Burgiewiczowa się nie myliła. W mieszkaniu Jankiewiczów panował bezustanny rozgardiasz. Służba rzeczywiście przykładała się do roboty mniej gorliwie, niż to miało miejsce w innych domach. Trudno zresztą się temu dziwić, skoro obojga państwa i ich dzieci całymi godzinami nie było. Klementyna na ogół wracała od matki wieczorami i dopiero przed jej spodziewanym powrotem pokojówki brały się za sprzątanie pokoi. Jakże wobec tego były zaskoczone i spłoszone, gdy tego dnia ich pani pojawiła się w progu trzy godziny wcześniej niż zazwyczaj! W dodatku nie ukrywała niezadowolenia na widok tego, co zastała. Całe napięcie i irytację, które niemal dosłownie dławili ją po rozmowie z matką, Klementyna wyładowała na służbie.

– Oczywiście, proszę pani – dygały wystraszone pokojówki i dopiero potem, gdy naprędce słały łóżka i wycierały kurze, pomstowały ukradkiem, co myślą o takim traktowaniu i o swojej chlebodawczyni, którą najwidoczniej ugryzł jakiś giez. Pewnikiem chodzi o pana doktora, bo jakżeby inaczej, szeptały, na wszelki wypadek oglądając się za siebie. Ani chybi doszły ją jakieś słuchy o mężu. Ale doprawdy trudno się dziwić, że tak przystojny mężczyzna szuka innego towarzystwa niż ta rozlazła, coraz bardziej niezgrabna puca. Odgrażały się też jedna przed drugą, że rzucą tę posadę

i poszukają innej – choć przecież doskonale wiedziały, że jedynie na pogrózkach się skończy.

Niani w domu nie było. Poszła odwiedzić siostrę. Zirytowana Klementyna nakazała zatem, aby jedna z pokojówek czym prędzej po nią ruszyła, oznajmiając, że rozmówi się z tamtą później. Po czym, zostawiwszy dzieci pod opieką reszty służby i nie tracąc ani chwili więcej, ruszyła do miasta. Miała wrażenie, jakby skrzydła wyrosły jej u ramion, a fakt, że akurat w jej przypadku nie oznaczało to radości, nie miał teraz znaczenia. Zerknęła na zegarek. Za kwadrans szósta, a zatem brat powinien był już wyjść z kancelarii. Nie oznaczało to rzecz jasna, że od razu po pracy na pewno wrócił do domu, niemniej postanowiła najpierw sprawdzić, czy jednak nie ma go właśnie tam. Mieszkał w okolicach Miodowej, zbyt daleko, by udać się tam pieszo, poza tym bardzo się śpieszyła. I dobrze zrobiła, że zdecydowała się na dorożkę, przybyła bowiem akurat w momencie, gdy wychodził z bramy. Domyśliła się, że był umówiony z przyjaciółmi i że jej wizyta jest bardzo nie w porę, dlatego zaczęła od przeprosin. Był jednak na tyle uprzejmy, że nie okazał najmniejszego niezadowolenia. I oczywiście zdumiony jej widokiem, co było jak najbardziej zrozumiałe, rzadko go bowiem odwiedzała i nigdy nie robiła tego, zanim się wcześniej nie zapowiedziała.

– Stało się coś? – zapytał z niepokojem i ująwszy ją pod ramię, poprowadził w stronę kamienicy, z której dopiero wyszedł. – Coś z matką? Dziećmi? A może...

– Jeszcze nic się nie stało, ale obawiam się, że do tego dojdzie. I to już niedługo – wyszeptała, i w tej samej chwili jej oczy wypełniły się łzami.

– No mów, co tam? Jakaś nowa awantura w rodzinie? – Pośpiesznie otworzył drzwi i zaprosił gestem, by weszła do mieszkania, usuwając ją z pola widzenia sąsiadki idącej na dół po schodach.

Wprawdzie w hallu natychmiast pojawił się Atanazy, ale służący miał tę rzadko spotykaną zaletę, że przeważnie niczemu się nie dziwił, a nad zwyczajami i dziwactwami swojego pana i jego gości przechodził do porządku dziennego.

– Masz ochotę na łyżeczek wybornej wiśniówki? – zapytał Zbyszek i nie czekając na jej odpowiedź, dał znak służącemu, by przyniósł butelkę i kieliszki.

– Ach nie, gdzieżby, nie mam do tego głowy – zaczęła się bronić, po czym usiadła na kanapie i wyjęła chusteczkę. Nie podniosła jej jednak do oczu, a jedynie bezradnie mięła w dłoniach.

– Nic się nie stanie, jak strzelisz sobie małego kielicha. Nie ma lepszego lekarstwa na nerwy, a jak wypijesz więcej, wszystkie kłopoty wydadzą ci się funta kłaków warte. Wiem, co mówię.

– Damom to nie przystoi – odparła, ale wreszcie uśmiechnęła się blado. Zbyszek potrafił poprawić jej humor i sprawić, że największy lęk gdzieś zniknął. Zawsze skrycie mu zazdrościła tej swobody, dzięki której konfrontacja z problemami staje się mniej wyczerpująca. I tej pewności siebie. Jak sam mawiał – nie bał się brać byka za rogi i w przeciwieństwie do niej nie wahał się płynąć pod prąd. Szkoda, że ona tak nie potrafiła. Ale cieszyła się, że miała takiego mądrego i odważnego brata, choć dotąd ani razu nie prosiła go o pomoc. Jednak dziś właśnie on przyszedł jej na myśl.

– Znam takie damy, które śmieją się z podobnych przesądów – odparł, a w jego oczach zamigotał ten charakterystyczny błysk, który sprawiał, że Klementyna nigdy nie była w stanie się na niego o nic rozgniewać.

– Mama zamierza przeprowadzić poważną rozmowę z Aleksandrem – rzekła, gdy Atanazy zostawił ich samych w saloniku. – Obawiam się, że nic jej nie powstrzyma, chyba że...

– Czekaj – przerwał jej Zbyszek, spostrzegłszy, że zadygotała. – Poważną

rozmowę? Niby o czym?

Odniosła jednak wrażenie, że błysk w jego oku nie był już tak wesoły. A w głosie usłyszała coś, co przypominało czujność.

– Raczej o kim – wyszeptała, po czym unikając jego spojrzenia, drżącą dłonią wzięła kieliszek. – O Kindze.

– Ach tak... – mruknął.

Drgnęła, jakby ktoś opryskał jej twarz lodowatą wodą.

– Co ma znaczyć to „ach tak”? – podniosła głos. – Ty coś wiesz? Albo słyszałeś coś na ten temat? To... prawda? Powiedz mi. Przecież... Przecież odwiedzasz ją co jakiś czas, piszecie do siebie. – Nagle zabrakło jej tchu.

– Uspokój się. – Podniósł dłoń. – Nie mam pojęcia, co insynuuje nasza droga mama.

– Powiedziała... To znaczy dała mi do zrozumienia, że przy okazji wizyt u krewnych mój mąż odwiedza także naszą kuzynkę. – Usłyszawszy panikę we własnym głosie, przycisnęła chusteczkę do ust.

– Gdyby nawet tak było... – Ostrożnie dobierał słowa. – Co w tym niezwykłego?

– A więc to prawda? – Poderwała się z miejsca.

– Mogę mówić tylko za siebie. Ja ją odwiedzam, ale to przecież żadna tajemnica. To, że nasza mama traktuje ją jak trędowatą, nie oznacza, że Kinga przestała być częścią naszej rodziny.

– Ty to co innego. Naprawdę nie widzisz różnicy?

Oczywiście, że ją widział, mimo to zaprzeczył.

– Uspokój się. – Ujął ją delikatnie za rękę. – Przede wszystkim nie widzę powodu do takich emocji. Do takiego niepokoju.

– W takim razie nie wiesz, co mówisz. I w dodatku nic nie rozumiesz.

Rzecz jasna i to rozumiał, nawet lepiej, niż ktokolwiek mógłby

przypuszczać, ale nie zamierzał jej przytakiwać. Przeciwnie, zdecydowanym ruchem ręki zmusił ją, by z powrotem usiadła.

– Zachowujesz się teraz dokładnie tak, jak by tego sobie życzyła nasza matka – rzekł. – Chciała wywołać w tobie niepokój i w pełni jej się to udało.

– Czemu miałyby być inaczej, skoro istnieją ku temu powody? – Ponownie szarpnęła chusteczkę, tym razem niemal rozdzierając ją na pół.

– One istnieją tylko w głowie naszej matki... Teraz, jak widzę, także w twojej.

– Zbyszku... – Patrzyła na niego z takim błaganiem w oczach, że z trudem się powstrzymał przed odwróceniem głowy. – Jeśli coś wiesz, to... to mi powiedz. – W gruncie rzeczy nie była jednak pewna, czy chciałyby, aby podzielił się swą ewentualną wiedzą. To znaczy, aby potwierdził jej obawy.

Zbyszek bez trudu to odgadł, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Przecież już ci to przed chwilą powiedziałem. Ja nie widzę powodów do takich podejrzeń. Bywam tam co jakiś czas i nic szczególnego nie rzuciło mi się w oczy. Pytasz, czy twój mąż odwiedza Kingę? Był u niej raz, kilka lat temu. Sama mi o tym powiedziała, a zatem nie było w tym niczego, co trzeba ukrywać.

Niełatwo było w tej chwili wytrzymać spojrzenie siostry. Te jej na ogół maślane oczęta, jak czasem o nich myślał, tym razem wyglądały zupełnie inaczej. Cholera jasna, zaklął w duchu. Niedobrze.

– W takim razie dlaczego on to przede mną ukrywał? – wyszeptała ze zgrozą.

Dobre pytanie, przyznał. Na szczęście znalazł na nie odpowiedź.

– Bo zapewne przewidział, jak zareagujesz. Czyli dokładnie tak jak teraz. Chciał uniknąć podobnych scen.

– Nigdy nie robiłam mu scen. – Powiedziała to bardziej do siebie niż do brata, lecz Zbyszek nie mógł zaprzeczyć.

– Ale teraz robisz. I jemu też byś zrobiła, gdyby tylko się przyznał, że ją odwiedził. – W gruncie rzeczy wcale nie był tego pewny.

Zegar zaczął wybijać godzinę siódmą i Zbyszek poruszył się niecierpliwie. Klementyna natychmiast to spostrzegła.

– Wiem, że zepsułam ci plany na wieczór – westchnęła. – Ale może zdążysz jeszcze na spotkanie z przyjaciółmi. Pójdę już. I dziękuję... – Łzy ponownie wypełniły jej oczy. – Naprawdę ci dziękuję...

– Nie masz za co mi dziękować – odparł poruszony wyrazem jej twarzy. Sam w tym momencie próbował zapanować nad chaosem we własnej głowie. – I przestań się tym wszystkim dręczyć.

– Nie chcę, aby mama zaczęła z nim o tym rozmawiać! – wybuchnęła nagle. – Mogę znieść wiele, ale na pewno nie to. Aleksander gotów jest odpowiedzieć jej pięknym za nadobne i wtedy... Trudno przewidzieć, co się dalej wydarzy, ale na pewno nie będzie dobrze.

Raczej nie, przyznał w duchu Zbyszek. I bez tego jego szwagier zaledwie tolerował swoją teściową, co dostrzegał nawet najmniej bystry człowiek w tym mieście. Oczywiście nie pobiją się ze sobą, ale bardzo już wątle nici mogą zostać ostatecznie zerwane. A wówczas faktycznie wszystko jest możliwe. Jak w przypadku statku, którego nie trzymają już w porcie żadne cumy.

– Porozmawiam z mamą. – Pogłaskał ją uspokajająco po ramieniu. – Postaram się na nią wpłynąć... Ale głowy nie dam, czy mi się uda. – Mrugnął do niej.

– Po to właśnie do ciebie przyszedłam – rozplakała się już otwarcie. – Bo nie wiedziałam, co robić...

Cholera jasna, powtórzył w duchu. Jednak do siostry uśmiechnął się niemal jowialnie.

– No to sprawa załatwiona. Wracaj do domu i przestań się już tym



dreńczyć. A może wolałabyś pójść teraz ze mną? Przydałaby ci się dobra rozrywka.

„Dama powinna bywać w towarzystwie” – słowa matki zadźwięczały w jej głowie niczym odgłos dalekiego dzwonu albo echa w lesie, choć przecież Burgiewiczowa mówiła o innych rozrywkach niż te, w których lubował się jej syn.

– Raczej wróć do domu – uśmiechnęła się blado Klementyna.

Wciąż jednak widział wypisaną na jej twarzy niepewność, wahanie. Zgadywał, że coś jeszcze leżało jej na sercu, ale nie zamierzał dociekać. I bez tego humor dostatecznie mu się zwarzył. Zadanie, którego się podjął, ciążyło mu jak wór z kamieniami. I szczerze mówiąc, z dwojga złego wolałby ten wór.

A jednak Klementyna w ostatniej chwili się przemogła. Zanim wsiadła do wezwanej przez niego dorożki.

– A czy mógłbyś o tym porozmawiać także... z nią? – spytała trwożliwie i w tym momencie po raz pierwszy tego dnia go zirytowała.

– Z kim? – spytał tonem adekwatnym do nastroju. – Może chociaż wymieniałabyś jej imię.

Klementyna nie odpowiedziała, spostrzegł jednak, że aż skuliła się w sobie, a na jej okrągłą twarz wystąpiły krwiste wypieki. Odwróciła się do niego plecami i postawiła nogę na stopniu pojazdu, ale Zbyszek ponownie, tak jak wcześniej w domu, ujął ją za ramię.

– A może to ty porozmawiałabyś wreszcie ze swoją cioteczną siostrą? Jestem pewien, że wtedy najlepiej byście sobie wszystko wyjaśniły. W cztery oczy, bez żadnych doradców i pośredników.

Na moment znieruchomiała. Jakby rozważała jego słowa, taką przynajmniej miał nadzieję. Gdy jednak pochwyciła spojrzenie dorożkarza, weszła do pojazdu i dopiero wtedy odwzajemniła uścisk Zbyszka.

– Baw się dobrze, braciszku – rzekła. – Do zobaczenia.

## ROZDZIAŁ 14

Tego wieczora nie bawił się jednak dobrze. Najchętniej zalałby się w trupa, ale wiedział, że to nie wchodziło w grę. Nie w dzień powszedni, gdy nazajutrz z samego rana musiał się stawić w kancelarii. W najnudniejszym miejscu na świecie, lecz zarazem miejscu jego pracy, które zapewniało mu całkiem niezłe dochody. Skoro chciał być niezależny od matki i prowadzić własne gospodarstwo, nie mógł narażać się swojemu pryncypałowi, a co za tym idzie ryzykować utraty posady. Nieprędko znalazłby następną, w każdym razie nie z takimi poborami, dzięki którym mógł spędzać wolny czas, z kim chciał i jak chciał, bez codziennych nauk i utyskiwań rodzicielki. Bez jej napomnień i sugestii, że powinien wreszcie się ustatkować i ożenić, przy czym – jak podejrzewał – była nawet gotowa zająć się wyszukaniem odpowiedniej kandydatki na żonę; niewykluczone zresztą, że już miała takową na oku.

Zbyszek był w stanie znieść podobne wywody średnio raz na dziesięć dni – z taką bowiem częstotliwością odwiedzał matkę. Starał się wówczas puszczać mimo uszu jej uwagi, a lamenty zbywał żartami. Wracając do siebie, cieszył się, że ma już za sobą ten obowiązek, dzięki czemu odzyskiwał względny spokój... do następnej wizyty. W takich chwilach był nawet gotów wybaczyć ojcu jego późne powroty do domu i częste wyjazdy – zaiste stary nie miał łatwego życia, nic dziwnego, że aby nie zwariować, czmychał stąd

przy każdej nadarzającej się okazji.

Klementyna nie czmychała, wręcz przeciwnie, i oto czym się to skończyło. Zdaniem Zbyszka inaczej skończyć się nie mogło, miał jednak nadzieję, że przynajmniej on nie będzie się musiał mieszać w te sprawy. Nie w taki sposób. Ale nawet ta nadzieja okazała się marzeniem ściętej głowy. W dodatku sam zaoferował pomoc, czyli *de facto* sam się w to wmieszał. Niech to wszyscy diabli! Z drugiej jednak strony – czy miał inne wyjście?

Kilka miesięcy temu otrzymał list od swojego francuskiego kolegi Andriena Bireta, którego poznał jeszcze w czasie swojej praktyki w Petersburgu, czyli dobrych parę lat temu. Biret przyjechał wtedy do Rosji w interesach, reprezentował firmę, która zarabiała krocie na tamtejszym rynku, a jako przedstawiciel handlowy bywał, gdzie się tylko dało. Zbyszek od razu znalazł w nim bratnią duszę, Adrien okazał się znakomitym kompanem, który oprócz talentu do zawierania korzystnych kontraktów, dysponował wręcz nieograniczonym arsenałem pomysłów na atrakcyjne spędzenie wolnego czasu i wprowadził młodego Polaka w świat rozrywek, o których ten wprawdzie to i owo słyszał, ale dotąd nie miał okazji ich zakosztować. A przynajmniej nie w takim zakresie.

Potem, gdy obaj wrócili już do swoich krajów, Adrien napisał, że mógłby bez trudu znaleźć dla Zbyszka miejsce w paryskiej firmie. Ponieważ jednak w tym samym czasie Stefan Borgiewicz zaczął mieć pierwsze poważne problemy ze zdrowiem, Zbyszek nie zdecydował się na opuszczenie kraju. Już jednak wtedy w głębi duszy przyznawał, że postępująca choroba ojca nie była jedynym powodem rezygnacji z wyjazdu. Później czasem żałował, że tak postąpił. Na przykład wtedy, gdy gadanina matki wystawiała jego cierpliwość na wyjątkowo ciężką próbę. Lub gdy, dla odmiany, do szewskiej pasji doprowadzało go zrzęcenie pryncypała albo – co gorsza – jakieś durnowate pretensje klienta, który o prawie nie miał zielonego pojęcia, lecz

uważał się za eksperta w tej dziedzinie i w związku z tym sądził, że wolno mu pouczać i besztać pracownika kancelarii. W takich chwilach Zbyszek był gotów zerwać się z miejsca, cisnąć parę sążnistych słów, rzucić wszystko w diabły i wyjechać do Paryża... lecz tego nie robił. I tylko on znał najważniejszą przyczynę. A przynajmniej miał taką nadzieję, że nikt inny niczego się nie domyśla.

Dziś, po rozmowie z siostrą, był gotów przyznać, że miarka się przebrała. Że nic go tu już nie trzyma. Że, do cholery, czas najwyższy zająć się swoim życiem z dala od tego grajdoła. Lecz tak jak za każdym razem, teraz też miał świadomość, że jednak tego nie zrobi. Nie zrejteruje od rodziny. Nie opuści swojego – jak by na to nie patrzeć – kraju. Przede wszystkim jednak dlatego, że nie potrafiłby żyć bez...

Siedząc w knajpie z przyjaciółmi, jednym uchem słuchał ich żartów i rozmowy, w drugim jednak wciąż brzmiały mu słowa siostry. A wspomnienie jej łez i zalęknionej twarzy nie opuszczało go nawet na chwilę. Matka niejednokrotnie dawała mu siostrę za przykład do naśladowania. Dobra, posłuszna córka, troskliwa, oddana żona – i tak dalej, i tym podobne. Zbyszek kochał siostrę, ale od wczesnych lat dzieciństwa wiedział, że nie będzie powielał jej przykładu. A kolejne lata tylko go w tym utwierdzały.

Nie był przeciwnikiem małżeństwa jako takiego. Lecz jeśli miało wyglądać tak jak małżeństwo jego rodziców i siostry, to zdecydowanie wolał darować sobie tę przyjemność i raczej spędzić życie niczym samotny kołek w płocie, niż skazać się na takie dożywocie, jakie stało się udziałem jego bliskich.

Niewesołe rozmyślania przerwał mu tubalny głos siedzącego obok przyjaciela, Romana Bosackiego, który na ogół wprowadzał wiele zamieszania do dyskusji. A właśnie w tym momencie dowodził, że

niezależnie od tego, że zapal rewolucyjny przygasł, to jednak nie pozostał on bez echa. Pewne zmiany są widoczne gołym okiem i tylko nieskończenie uparty lub niebywale tępy człowiek nie jest w stanie ich zauważyć. Rosja w roku tysiąc dziewięćset siódmym jest już z całą pewnością inna niż ta sprzed tysiąc dziewięćset piątego.

– Jeśli ci to odpowiada, możesz się pocieszać podobnymi farmazonami – prychnął drugi z biesiadników, Aleksy Rubliow, którego matka była Polką, a ojciec Rosjaninem, lecz który wychował się w Królestwie i uważał się za Polaka. Co do ojczyzny swojego ojca nie miał raczej większych złudzeń.

– To nie farmazony, lecz fakty, którym chyba nawet ty nie zaprzeczysz – zagrzemiał w odpowiedzi Bosacki.

Czy ten facet zawsze musi się tak drzeć, że wszystkim wokół pękają bębunki w uszach? – skrzywił się Zbyszek. Jeszcze wczoraj, przedwczoraj, tydzień temu, dwa lata temu sam dawał się ponieść gorącej atmosferze tych dyskusji. Dziś, gdy miał głowę nabitą innymi sprawami, nie obchodziła go żadna rewolucja ani polityka. Na własne życie nie miał wpływu, a co dopiero na losy państw i narodów!

– Rosja wreszcie się obudziła – dowodził tymczasem Bosacki. – Po raz pierwszy na taką skalę. Ostatnie poważniejsze wystąpienia, jakie tam miały miejsce, to zryw dekabrystów sprzed kilkadziesiąt lat. Ale przecież tamto wydarzenie nie miało aż takiego zasięgu, impetu i nie zaangażowało tak mocno całego społeczeństwa.

– Bez wątpienia – uśmiechnął się zgryźliwie Aleksy. – Wystąpienie grupki chłopaków, notabene pochodzących ze szlacheckich rodzin, mało kogo w Rosji obeszło.

– Ale tym razem było inaczej. Krwawa niedziela, strajki powszechne, uliczne starcia. Wreszcie zwołanie Dumy. Jaka by tam ona w ostatecznym kształcie nie była, to jednak oznacza milowy krok naprzód. Odwrotu już nie

będzie.

– Tak, oczywiście, ze Stołypinem w roli premiera. Premierem Rosji został facet odpowiedzialny za ponad tysiąc wyroków śmierci.

– Ale i on wie, że nie wszystko można załatwić nahajką. Jego reformy bez wątpienia zmodernizują kraj. Już to robi. Nie ma odwrotu – powtórzył z naciskiem Bosacki.

Nagle Zbyszek zatęsknił za ich dawnymi rozmowami o literaturze, o balecie, o kobietach. Nawet zwykłe warszawskie plotki brzmiałyby w jego uszach przyjemniej niż zapalczywa dyskusja kolegów o sprawie, która w tym momencie wyłącznie go drażniła. Najchętniej zmieniłby temat, ale po pierwsze nie miał na to szans, a po drugie nic nie przychodziło mu do głowy. Gdyby teraz któryś z dyskutantów poprosił go o wyrażenie swego zdania, najpewniej wzruszyłby ramionami i oświadczył, że przestało go to interesować. Nie ma pojęcia, co dalej będzie w Rosji, w Królestwie czy na świecie. Nie ma już ochoty wypowiadać się na temat Stołypina, poza tym, że podobnie jak większość społeczeństwa nie może mu wybaczyć tych tysiąca szubienic. Tak czy owak, czuje się już tym wszystkim zmęczony, jak każdą przegraną sprawą. I przede wszystkim nadszedł chyba czas, aby uporządkował swoje własne życie.

Na szczęście żaden z kolegów nie próbował wciągnąć go do dyskusji. Byli wystarczająco zaaferowani tym, co sami mieli do powiedzenia.

– Ordynacja wyborcza woła o pomstę do nieba – oświadczył tymczasem Aleksy. – W takiej Dumie opozycja nie ma szans, tym bardziej posłowie z Królestwa.

– A jednak zabierają głos i głos ten dociera do ludzi. Do prasy. To już coś znaczy.

– Do ludzi? Do prasy? – parsknął Rubliow. – Ludzie w Rosji w znakomitej większości dali już sobie z tym spokój. Sprawy, o których

mówisz, w gruncie rzeczy niewiele ich już obchodzą. Wy, tu w Królestwie, inaczej na to patrzycie. Udało się wywalczyć prywatne gimnazja z polskim językiem, odżyły w was dawne nadzieje. Rosja to jednak coś zupełnie innego. Inny sposób myślenia. Taki Milukow i kadeci, wszyscy ci liberałowie trafiają w gruncie rzeczy w próżnię, nie są rozumiani.

– A Plechanow i Uljanow? – zagadnął milczący do tej pory czwarty uczestnik spotkania, Bronek Janicki.

– Socjaliści – mruknął Rubliow. – Na nich bym uważał. Zwłaszcza na takich jak Uljanow. Mogą narobić w przyszłości kłopotów.

– Skrajni rewolucjoniści są bez szans – zaprotestował Bosacki. – Większość ludzi boi się radykałów i za nimi nie pójdzie. Ani teraz, ani w przyszłości. Już hrabia Fredro kilkadziesiąt lat temu napisał: „Socjalizm każdemu równo nosa utrże. Bogatych zdusi jutro, a biednych pojutrze”.

– I ty myślisz, że ludzie uwierzą jakiemuś tam hrabiemu, który w dodatku wygłosił tę sentencję na początku poprzedniego stulecia? – zakpił Aleksy.

I pomyśleć, że pisałem o tych sprawach w każdym z ostatnich listów do Kingi, pomyślał ze znużeniem Zbyszek. W tym momencie otrząsnął się z marazmu.

Muszę natychmiast iść do matki. Nie będę tego odkładał do jutra czy nie wiadomo na kiedy. A przy najbliższej okazji jadę do Krakowa. Trzeba wreszcie zrobić z tym porządek. Za długo się guzdrałem.

– Co się stało? – spytali zaskoczeni przyjaciele, gdy ni z tego, ni z owego podniósł się od stołu i odłożył serwetkę.

– Muszę się z wami pożegnać – odparł. – Mam pilną sprawę. Rodziną – dodał po chwili wahania.

Roześmieli się jak z dobrego dowcipu. Nawet na chwilę zapomnieli, o czym tak zawzięcie rozprawiali. Wiedzieli, co Zbyszek myślał o swojej rodzinie, bo czasem, po kilku głębszych, to i owo mu się wymysknęło.



- Nie wspominałeś o tym wcześniej – odezwał się ubawiony Janicki.
- Nie wspominałem. Tak wyszło. Wybaczcie.

Patrzyli w milczeniu, jak zapinał surdut. Zrozumieli, że nie żartował, tym bardziej że przez cały wieczór był osobliwie milczący i zamyślony.

– Do zobaczenia. – Skinął im dłonią na pożegnanie. Nie wspomniał o kolejnym spotkaniu, ale złożyli to na karb widocznego wzburzenia i już go nie zaczepiali.

Matka zdziwiła się na jego widok, ale potrafił to zrozumieć. Od ostatniej wizyty minęło zaledwie pięć dni, a do tego pora była już późna.

– Nie musisz mnie za to przeproszać ani się tłumaczyć. Mój syn może do mnie przyjść o każdej porze dnia i nocy. Co najwyżej żałuję, że tak rzadko cię widuję – skomentowała w odpowiedzi na jego przeprosiny za niespodziewane najście.

– Nie byłem pewny, czy kochana mama nie podejmuje dziś większego grona gości – odparł, zasiadając na kanapie.

Domyślał się, że na dziś nie planowała większego przyjęcia – zresztą Klementyna nie wspomniała o tym nawet słowem – niemniej chciał zyskać na czasie, zanim wyłuszczy najważniejszy cel swoich odwiedzin.

– Nie, na dziś nie przewidywałam tu żadnego towarzyskiego zebrania – odparła, zasiadając obok niego. – Klementyna tu była, ale wyszła kilka godzin temu.

Przez minutę, dwie patrzył na matkę w milczeniu. Zawsze uważał ją za atrakcyjną kobietę, nawet teraz, gdy lata młodości miała już za sobą, a tusza stawała się coraz bardziej widoczna. Zresztą, odkąd pamiętał, nigdy nie miała wiotkiej figury, ale korpulentna sylwetka pasowała do jej typu urody i w pewnym sensie stanowiła integralną część jej silnej, zdecydowanej osobowości. Matka była zawsze pewna siebie i nic nie wskazywało, by miała jakiegokolwiek kompleksy. Na dobrą sprawę nie musiała ich mieć. Jej duża,

okrągła twarz była niemal pozbawiona zmarszczek, zachowała świeżą cerę i wyraziste spojrzenie wciąż pięknych zielonych oczu. Miała też gęste, lśniące włosy, na które zawsze lubił patrzeć, bo niejedna młoda dziewczyna nie mogła się takimi pochwalić.

– Może jesteś głodny? – zagadnęła. – Zaraz zawołam Tomaszową...

– Nie trzeba. Zjadłem już kolację. – Sięgnął po cygaro. – Odwiedziła mnie dziś Klementyna.

– Ach tak...

Zauważył, że zmarszczyła lekko brwi, poza tym nie zmieniła wyrazu twarzy.

– Przyszła się poskarżyć, że natarłam jej trochę uszu?

– Nie – zdziwił się szczerze. Matka natarła uszu swojej kochanej córeczce? – Nic podobnego.

– Przyszła z dziećmi?

Ponownie zaprzeczył.

– To coś nowego. Ale przynajmniej moje słowa nie poszły w las – odparła cierpko. – Tłumaczyłam jej, że od czasu do czasu powinna zostawiać dzieci z nianią i wychodzić do ludzi. Dla własnego dobra... i dla dobra swojego małżeństwa. Wyglądało na to, że nie przyjęła dobrze mojej rady, podyktowanej przecież żywą troską o nią. Dlatego miło mi słyszeć, że jednak co nieco do niej dotarło.

– Twoje rady, droga mamó, zawsze do niej docierały – odparł spokojnie, niemal flegmatycznie, Zbyszek. – Jednak tym razem chodzi o coś więcej niż jakieś tam perswazje. Wtrącanie się do jej małżeństwa nie jest dobrym pomysłem.

– Wtrącanie się? – Jej czoło i policzki pokryły się szkarłatem. – Prosiłabym, abyś na przyszłość powstrzymał się przed takimi oskarżeniami. – Nie ulegało wątpliwości, że słowa syna ubodły ją do żywego i uważała je za

przejaw gryzącej niesprawiedliwości.

Zbyszek jednak nie przeląkł się jej reakcji. Dobrze pamiętał, że zachowywała się dokładnie tak samo, gdy czuła się urażona opiniami męża.

– O nic cię nie oskarżam, mamó. – W tym momencie był gotów przyznać, że na ogół uciążliwa praca w kancelarii, poza niezłymi dochodami, dawała mu jeszcze jedną niebagatelną korzyść: umiejętność radzenia sobie z trudnymi klientami. Matkę gotów był teraz porównać do tych najtrudniejszych, przy których nauczył się zachowywać zimną krew i ani razu nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Nie oskarżam – powtórzył. – Przyjmij to jako moją przestrozę i radę. Tak, tym razem to ja ośmielam się radzić tobie. Jeśli wyobrażasz sobie, że mogłabyś natrzeć uszu swojemu zięciowi, tak jak – sama to przed chwilą przyznałaś – natarłaś córce, to jesteś w błędzie. Aleksander nigdy ci na to nie pozwoli, a Bóg jeden raczy wiedzieć, co się stanie później. W tej sprawie w pełni podzielam zdanie Klementyny.

Czekał na odpowiedź matki, lecz Burgiewiczowa wyniośle milczała. Wniosek był z tego prosty – nie tylko jej nie przekonał, ale nawet nie skłonił, by spokojnie przeanalizowała jego słowa. Przede wszystkim czuła się urażona. Nie zamierzał się jednak poddać.

– Jako prawnik wiem, że wtrącanie się w czyjeś małżeństwo nigdy nie kończy się dobrze. Nigdy – powtórzył z naciskiem. Chętnie dodałby, że za tym poglądem przemawia nie tylko jego prawnicze doświadczenie, uznał jednak, że przynajmniej na razie nie będzie wyciągał takich kart.

– Zachowanie twojego szwagra od pewnego czasu pozostawia wiele do życzenia – odezwała się wreszcie wyraźnie poirytowana doktorowa. – Wszyscy zaczęli już na to zwracać uwagę.

– Wszyscy? Jacy znowu wszyscy? – Zbyszek dokonywał nadludzkich wysiłków, by nie wybuchnąć. Ciężki dzień w kancelarii, wizyta Klementyny,

wreszcie odwiedziny u matki, to było zdecydowanie zbyt wiele dla niego. – Mam przez to rozumieć, że gdyby nie plotki rozpuszczane na mieście przez znudzone baby, nie widziałabyś powodu do niepokoju? Bo przecież taki powód naprawdę nie istnieje.

Miał jednak przecucie, że było inaczej. Matka się nie myliła. Co gorsza, chyba się domyślała, że i on miał tego świadomość.

– Całymi dniami nie ma go w domu – odparła i wyglądało na to, że postanowiła wymienić jeszcze inne argumenty.

Zbyszek nie zamierzał do tego dopuścić.

– Podobnie jak wielu mężczyzn, którzy pracują, aby utrzymać rodzinę.

Oczywiście bez trudu znalazła właściwą ripostę:

– Ale on nie należy do tych, którzy pracują od rana do wieczora. Dobrze o tym wiesz, bo i ty wieczorami uganasz się po mieście jak jakiś utracjusz.

No proszę, pomyślał Zbyszek. Lecz przecież mogłem się tego spodziewać.

– Droga mamo... – Wzruszył ramionami. – Ja nigdy nie uważałem, że człowiek stworzony został wyłącznie do smutku i że żyje się wyłącznie po to, by jakoś przeżyć.

– Ta twoja filozofia... – Teatralnie zwróciła oczy ku górze, jakby stamtąd spodziewała się jakiejś pomocy. – Zaprowadzi cię w końcu na manowce. Zobaczysz.

– Może tak, a może nie. Nie przyszedłem tu w mojej sprawie – uciął dość kategorycznie, ale oczywiście nie zlekła się tego tonu. Przecież nigdy niczego i nikogo się nie bała, tak w każdym razie zawsze myślał. I dlatego naraz przyszło mu do głowy, że tylko tracił tu czas.

Jeśli matka postanowiła przeprowadzić swój zamysł, z pewnością to zrobi. Albo przynajmniej spróbuje. Nie zawsze przecież wygrywała, ale liczyła się z ryzykiem przegranej. W każdym razie nigdy już na wstępie nie

składała broni. W przeciwieństwie do niego. Miał już dość, przynajmniej na dzisiaj. Sięgnął po kapelusz i zamierzał się pożegnać, ale, jak się okazało, matka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

– Ciebie także tam nosi – oświadczyła. – Obaj zachowujecie się tak, jakbyście stanęli do licytacji.

Znieruchomiał. Wszystkiego mógł się spodziewać, każdego wyrzutu – ale nie tego. Choć właściwie czemu nie? – skonstatował po chwili.

– Nie powinnaś tak mówić – odparł, gdy wreszcie zapanował nad emocjami. – I w żadnym wypadku nie powinnaś była tego mówić Klementynie.

Podniosła się gwałtownie i podeszła do okna. Odwróciła się do niego plecami, nie widział więc jej twarzy. Ale nie musiał patrzeć jej w oczy, by odgadnąć, o czym myślała.

– Nie przestanę się z nią kontaktować – dodał już znacznie pewniejszym głosem. – Nawet ty, droga mamo, nie możesz tego ode mnie oczekiwać. Myślę też, że czas najwyższy skończyć z insynuacjami dotyczącymi Kingi i Aleksandra. Takie niepoparte żadnymi dowodami podejrzenia od jakiegoś czasu zatruwają życie naszej rodziny, a obawiam się, że teraz mogą stać się niemożliwe do zniesienia.

– Mówisz jak ojciec. – Głos matki zabrzmiał jakoś metalicznie, obco. – Niemal dokładnie słowo w słowo.

– Cóż, czasami mogłaś mu przyznać rację. Choćby i teraz... – mruknął, choć jednocześnie poczuł, jakby coś rosło mu w gardle.

– Twój ojciec... – zaczęła, ale przerwała.

Przez chwilę czekał, czy matka zdecyduje się dokończyć zadanie, ale milczała. Jak mechanizm, który nagle się zaciął i nie może wznowić działania.

– Nie ma sensu, abyś bez końca się tym dręczyła – rzekł wobec tego.

I wtedy odzyskała głos.

– Nie chciałam, aby to się powtórzyło. Aby Klementyna przechodziła przez to samo, przez co kiedyś przechodziłam ja. Tak mu kiedyś powiedziałam, a on potraktował mnie jak wariatkę.

Usłyszawszy to, Zbyszek także się podniósł i podszedł do stojącej nieruchomo kobiety. W pierwszym odruchu chciał pogłaskać ją po ramieniu, jednak porzucił ten zamiar. Zamiast tego przemówił do niej na tyle spokojnie, na ile zdołał.

– Aleksander też cię tak potraktuje, jeśli powiesz mu o swoich podejrzeniach. – Miał nadzieję, że łagodny ton choć w części zniweluje brutalny sens tych słów.

Potrząsnęła głową, w jej oczach pojawił się gniewny, nieustępliwy wyraz.

– Wszystko się powtarza – rzekła głucho. – Ale nie będę dłużej biernie na to patrzeć. Ja sobie przed laty poradziłam, ale Klementyna jest inna. Złamię jej to życie, a takie kobiety jak ona nie potrafią się potem pozbierać. Nie dopuszczę do tego. Rozumiesz? Nigdy na to nie pozwolę.

– Nawet jeśli ona nie chce, abyś podjęła tu jakiegokolwiek działania? – Pytanie było retoryczne. Zbyszek czuł, że w tym rozdaniu przegrał. Nie powinien był przychodzić tu dziś, gdy emocje były wciąż bardzo żywe. Powinien z tym poczekać, lepiej się przygotować. Choć z drugiej strony, kto wie, czy cokolwiek by to dało. A czas przecież naglił.

– Klementyna sama nie wie, czego chce – padła cierpka odpowiedź.

Tego ją właśnie nauczyłaś, odpowiedział, lecz jedynie w myślach. Dalsze przerzucanie się argumentami i wzajemne oskarżenia to tylko ślepa uliczka.

– Zostaw to mnie – rzekł stanowczo. – Jestem pewien, że nieporozumienie wkrótce się wyjaśni, ale pozwól mi spokojnie działać. Porozmawiam z kuzynką... Nie widzę innego wyjścia – dodał, spostrzegłszy grymas niechęci na twarzy matki. Zacisnął dłoń na gałce od laski. – A jeśli

trzeba będzie, pomówię także... z nim.

Tym razem odpowiedziało mu milczenie. Burgiewiczowa nie odrywała wzroku od pogrążonego w mroku podwórza.

## ROZDZIAŁ 15

Gdy oznajmiła, że tego dnia nie będzie mogła poświęcić dodatkowych dwóch godzin po zamknięciu sklepu, Antoni nie krył niezadowolenia.

– Znowu? – Popatrzył na nią z dezaprobatą, a zarówno jego spojrzenie, jak i pytanie zirytowały Kingę. Kiedyś z pewnością by tak nie zareagowała – niestety, wszystko wskazywało na to, że dotychczasowa spolegliwość przyniosła jej więcej szkody jak pożytku. Dawniej nie sprzeciwiała się, gdy proszono ją – lub wydawano jej polecenie – aby została dłużej w pracy, nawet jeśli oznaczało to kilka dodatkowych godzin po zamknięciu sklepu. Nie tylko nie protestowała, ale wręcz czuła się dumna, potrzebna, niezbędna. Doceniana. Jeśli Antoni uważał, że należałoby raz jeszcze sprawdzić jakieś wyliczenia czy inne rachunki, albo gdy trzeba było zająć się zaległą lub niecierpiącą zwłoki korespondencją, nie widziała powodu, by podważać jego zdanie. Tym samym przyzwyczaiła go, że zawsze mógł liczyć na jej dobrą wolę i dyspozycyjność. Mało tego – uznał, że praca jest jej żywiołem, a sklep całym życiem, dokładnie tak, jak to było w jego przypadku.

W pewnym momencie Kinga nawet uwierzyła, że Antoni uważał ją za swojego cennego pomocnika, prawą rękę, a więc osobę stojącą znacznie wyżej w hierarchii od pozostałych pracowników sklepu. A częste wizyty w domu pana Gajewskiego jedynie ją w tym przekonaniu utwierdzały. W tych warunkach potrzebowała czasu, by odkryć, że w pewnym sensie



wpadła w pułapkę. Bo cena za taki sukces okazała się zbyt wysoka. Nawet jeśli faktycznie zajmowała wyższą pozycję od subiektów, to oni przynajmniej oprócz tej pracy mieli jakieś życie, marzenia, sprawy, a przede wszystkim kogoś bliskiego, kogoś, kto czekał na nich w domu. Z tych też powodów potrafili niekiedy stawić skuteczny opór wobec niektórych poleceń i oczekiwań starego, on zaś, chcąc nie chcąc, to respektował. Przez dobrych kilka lat Kinga nie widziała powodu, by ich naśladować, choć niekiedy koledzy ją przestrzegali, by nie dała „temu staremu satrapie wejść sobie na głowę”. Ostatecznie jaką miała alternatywę? Tak przynajmniej myślała... kiedyś.

Od niedawna coś się jednak zmieniło, czegoś zaczęło jej w życiu brakować, a przede wszystkim sklep przestał jej wystarczać do szczęścia. Skończyła dwadzieścia osiem lat; nie był to bynajmniej wiek podeszły, niemniej taki, gdy należy dokonać pierwszych podsumowań i zastanowić się nad przyszłością. Czy dalej chciała żyć w taki sposób jak dotychczas? Przez dziesięć, dwanaście, a bywało że i więcej godzin w kantorku, nawet jeśli miał on wygląd eleganckiego gabinetu? Pochylona nad papierami, rachunkami, wykazami, ile sprzedano perkalików, kosmetyków, zabawek i tym podobnych. Jeszcze kilka lat i naprawdę stanie się taka jak Antoni, którego horyzonty ograniczały się wyłącznie do spraw związanych ze sklepem. Pod tym względem jego zaangażowanie było nawet większe niż obydwu właścicieli – wspólników. Amelia stale ją przed tym przestrzegała.

Ale ciotka nie wiedziała przecież wszystkiego. Bo Kinga także miała swoje marzenia, tyle że pozostawały one poza jej zasięgiem; wiedziała, że nigdy ich nie zrealizuje. Zdając sobie z tego sprawę, szukała jednak czegoś, co było możliwe do zdobycia, choć wciąż nie miała pojęcia, co to jest, a w związku z tym gdzie tego szukać. W takich chwilach chciała wszystko rzucić i biec przed siebie, choć oczywiście wiedziała, że nie może sobie na to

pozwoić. Zazdrościła ptakom szybującym pod niebem, a świadomość, że nie ona jedna na tym świecie chciałaby niekiedy znaleźć się na ich miejscu, tylko w niewielkim stopniu podnosiła ją na duchu. A gdy jeszcze dodatkowo w takich przypadkach starszy subiekt informował ją, że ponownie należałoby zostać do późnego wieczora w sklepie, odzywało się w niej takie rozdrażnienie, jakiego nie zaznawała od czasów, gdy mieszkała pod jednym dachem z ciotką Marią.

Nie uszło to uwadze Antoniego. Już jakiś czas temu zauważył, że oddana dotąd niemal bez reszty swoim obowiązkom, zaczęła w pewnym momencie podchodzić do nich z coraz większym dystansem. Nie żeby je zaniedbywała – nigdy się nie spóźniała i skrupulatnie wykonywała to, co do niej należało – niemniej wkładała w pracę zdecydowanie mniej serca niż dawniej. A kiedy czasem – lecz przecież, na miłość boską, nie codziennie – wspominał, że należałoby zostać dłużej w pracy, w odpowiedzi coraz częściej słyszał odmowę. Bardziej go to niepokoiło, niż gniewało, na swój sposób lubił bowiem tę skromną, grzeczną i pracowitą pannę i w związku z tym martwił się, czy aby nie wplatała się w coś niewłaściwego. Przy czym nie podejrzewał, by zainteresowała się coraz bardziej ostatnio modnymi socjalistami, do których młodzież, niestety także płci żeńskiej, w tych czasach lgnęła jak pszczoły do miodu. Nie, to akurat, chwalić Boga, do panny Niwińskiej nie pasowało.

Przyczyny niepokojącej zmiany w jej zachowaniu upatrywał raczej w sprawach sercowych. A konkretnie w owym człowieku, który kilkanaście miesięcy temu przyszedł do sklepu i oznajmił, że jest jej kuzynem. Antoniemu od początku nie spodobał się ten dandys – jak go w duchu nazywał – niemniej przez kilka pierwszych minut skłonny był nawet uwierzyć, że to rzeczywiście jest jej krewny. Tym bardziej że raz czy dwa wspominała o wizytach kuzyna z Warszawy, który jednak aż do tamtego

październikowego dnia ani razu nie odwiedził jej w miejscu pracy.

Antoni szybko doszedł do wniosku, że eleganckiego klienta i miłą pannę Kingę łączy coś więcej niż zwykły, rodzinny afekt. Nawet on wychwycił błysk w oczach obojga, jak się witali, i potem, gdy przez chwilę szeptali ze sobą na boku. Spostrzegł też, że gdy tamten wreszcie opuścił sklep, dziewczyna była bardzo rozkojarzona i najwyraźniej nie mogła się doczekać końca pracy. Co gorsza, pozostali subiekci też to spostrzegli, a plotek w miejscu pracy Antoni bał się nawet bardziej niż wybuchu wojny i rewolucji. Na przetrwanie tych ostatnich można było ostatecznie znaleźć jakiś sposób, w przypadku plotek bardzo często wszelkie rozwiązania zawodziły i pozostawało tylko czekać, aż gawiedź znajdzie sobie inny temat. Antoniemu pozostała więc nadzieja, że incydent z wizytą „kuzyna” już się nie powtórzy i tym samym ustaną wszelkie szeptanki po kątach.

Istotnie, elegancik się więcej nie pokazał, ale od tamtego czasu panna była już jakaś inna. Niby zaangażowana w pracę, ale bez dawnego entuzjazmu. Jakby wykonywała swoje obowiązki z musu, jakby coraz częściej ją nużyły i irytowały. Antoni wiedział, że większość ludzi na tej ziemi tak właśnie podchodziła do swojej pracy, w tym wszyscy bez wyjątku subiekci – rzecz jasna sam nie zaliczał się do tej zgrai – niemniej miał nadzieję, że panna Kinga naprawdę będzie jego prawą ręką. Właściwie przez całe lata nią była, choć na głos nigdy by nie przyznał, że to właśnie kobietę uważał za swoją główną podporę. Teraz przynajmniej tego sobie gratulował – że powstrzymał się przed wyrażaniem takich pochwał. Bo oto koniec końców panna Niwińska okazała się taką samą płochą niewiastą jak Amelia Gajewska i jak zapewne przygniatająca większość kobiet, które tracą głowę z powodu byle przystojniaczka, uperfumowanego i ubranego niczym dandys z żurnala.

Toteż gdy dziś ponownie usłyszał, że dziewczyna odmawia pozostania dłużej w pracy, nie mógł się powstrzymać, by tego z goryczą nie

skomentować.

– Znowu? – Tyle tylko przecież powiedział, ale to najwyraźniej wystarczyło, by ją rozgniewać.

– Mam pilne sprawy – odparła chłodno. – Nie może tak być, że stale się ode mnie oczekuje, abym została dłużej w sklepie. Otóż nie zawsze mogę przystać na takie żądania. Nie wtedy, gdy już wcześniej zdążyłam coś zaplanować.

Żądania?! Niewiele brakowało, a zagotowałyby się ze złości. Ona to nazywa żądaniami? A do tego ten ton, absolutnie, zdaniem Antoniego, nie do przyjęcia. Oburzenie spowodowane krnąbrną reakcją pracownicy – tym przecież, u licha, była, niezależnie od jakichś tam rodzinnych układów z pryncypałem – sprawiło, że stary subiekt wyraził na głos to, co do tej pory jedynie trawił w myślach.

– Powiada panna, że zaplanowała coś pilnego, tak? Jak miemam, zapewne znowu chodzi o wizytę kuzyna?

Szczyściem w pobliżu nie było akurat żadnego klienta. Dwaj najbliżej stojący subiekci jednak wszystko usłyszeli i wymienili się znaczącymi spojrzeniami. Antoni, widząc to, po raz pierwszy zaklął w duchu. Bocianowicz i Kaźmierak chętnie łowili takie smaczki i jeszcze chętniej puszczali je w obieg. Nie powinien był tak się unieść, popełnił poważny błąd. Tym samym otworzył drzwi do kolejnych plotek i tylko Bóg raczy wiedzieć, czym to się skończy. Zwłaszcza że panna Niwińska nie pozostawiła jego słów bez ciętej riposty.

– To, co robię po pracy, jest wyłącznie moją sprawą. Pana uwagi mają prawo dotyczyć tylko moich obowiązków w sklepie, niczego więcej.

Ani chybi, musiała się jednak skumać z socjalistami albo i innymi nihilistami. Zwariowane czasy, żeby młodzi pracownicy pozwalali sobie na taką impertynencję. A zwłaszcza kobiety! Babom ostatnio w ogóle

poprzewracało się w głowach. Jak choćby tej tutaj. Skoro nie podoba jej się praca w sklepie, niechby przynajmniej uczciwie wyszła za mąż i zajęła się dziećmi, zamiast się awanturować z jakimś wyperfumowanym gagatkiem.

– Właśnie o tym mówię – rzekł z naciskiem, nieco jednak ścisząc głos. – O pani obowiązkach względem miejsca, w którym zarabia pani na utrzymanie. Wszelka niestosowność, jakiej dopuszczają się pracownicy, rzutuje potem na opinię o naszym sklepie.

– O naszym sklepie? – Uniosła brwi. – Ten sklep nie jest ani moją, ani pana własnością. Zapomina się pan, panie Antoni.

Tym razem i ona podchwyciła uśmiezek na twarzy Bocianowicza, któremu sekundował Kaźmierak, ale jedynie wzruszyła ramionami. Trudno, należało się staruszkowi, bo ostatnimi czasy miała wrażenie, że stale ścigał ją spojrzeniami. Nie chciała sprawić mu przykrości, ale sam się o to prosił. Bardzo wątpliwe, by miała z tego powodu stracić posadę – obaj pryncypałowie nie zgłaszali uwag do jej pracy – ale dziś nawet to nie miało dla niej znaczenia. Dwa dni temu dostała depezę od Zbyszka, w której zapowiedział swój przyjazd. Nie mogła oprzeć się wewnętrznemu przeczuciu, że to nie będzie zwykła towarzyska wizyta, jakie co pewien czas jej składał. Nie potrafiła racjonalnie uzasadnić tego przeczucia, wystarczyło jednak, że nie dawało jej ono spokoju. Coś się wydarzyło... A może dopiero miało się wydarzyć. Jedno było pewne – czuła się tak samo jak wtedy, przed dziesięciu laty, gdy podjęła wreszcie decyzję, że musi zmienić swoje życie i opuścić mieszkanie wujostwa.

Zbyszek czekał na nią tak jak zwykle przy Bramie Floriańskiej i jak zwykle w czasie swojej wizyty zaprosił ją na obiad. Gdy czekali na zamówione dania, zagadywał ją o tym i owym, przy czym więcej niż zazwyczaj narzekał na nudę w kancelarii i rozplotkowaną Warszawę.

Roześmiała się.

– Nuda i nadmiar obowiązków jest zmorą niemal w każdym miejscu pracy. Dobrze, jeśli nie towarzyszą temu nerwy i inna udręka. A plotkarze są wszędzie, nic się na to nie poradzi. Im mniejsze miasto, tym gorzej.

Jej uwagę zwrócił trudny do określenia wyraz twarzy Zbyszka. Jakby się wahał przed wyjawieniem jej czegoś, co najwyraźniej leżało mu na sercu.

Położyła dłoń na jego dłoni i spojrzała mu w oczy.

– Zgaduję, że coś się stało. Wyduś to wreszcie z siebie.

Niespodziewanie zacisnął palce na jej dłoni, tak że natychmiast się zorientowała, że uwolnienie się nie wchodziło na razie w grę. Niepewnie rozejrzała się wokół, ale szczęśliwie nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Postanowiłem, że wyjeżdżam. Do Paryża.

– O... – Nie mogła ukryć zaskoczenia. – Na długo?

– Mam nadzieję, że na bardzo długo.

– A co z kancelarią? – Być może powinna była raczej zapytać o zdanie ciotki i Klementyny, ale nie potrafiła się na to zdobyć.

Wzruszył ramionami, ale zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się kelner z zamówionymi daniami, co pozwoliło im obojgu zyskać na czasie, a Kindze dodatkowo uporać się z niespodziewaną wiadomością. Gdy to wreszcie nastąpiło, poczuła ogromny smutek. Jakże będzie za nim tęskniła! W ciągu ostatnich lat stał się jej bardzo bliski, zyskała w nim przyjaciela, o jakim kiedyś tylko marzyła. A teraz go straci. Nawet jeśli nadal będą ze sobą korespondować, to jednak bez jego odwiedzin, bez rozmów twarzą w twarz, bez żartów, które zawsze poprawiały jej humor. A bez tego wszystkiego utrzymanie wzajemnej bliskości będzie bardzo trudne, z czasem zapewne niemożliwe. Odległość nie sprzyja zacieśnianiu więzów. Na samą myśl o tym łzy zakręciły się jej w oczach.

– Rzucam kancelarię – mruknął. – Pamiętasz, opowiadałem ci kiedyś o Adrienne, moim francuskim koledze z Petersburga. Już dawno namawiał

mnie na przeprowadzkę. Twierdzi, że bez trudu znajdę zajęcie w jego paryskiej firmie.

– A więc to tak... Wyjeżdżasz stąd na zawsze – stwierdziła cicho i czym prędzej pochyliła się nad talerzem.

Zacisnął mocniej palce na jej dłoni, jakby w obawie, że mogłaby się wyrwać, choć przecież w ogóle nie miała już tego zamiaru.

– Wyjedź ze mną. – Powiedział to tak cicho, że w pierwszej chwili nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Ależ tak, musiała się przesłyszeć. Bo przecież... Jak to tak...

Zupełnie nie mieściło jej się to w głowie.

– Możesz przecież wyjechać ze mną – dodał, ale tym razem nie mogła się mylić. Naprawdę to powiedział, nic jej się nie zdawało. Lecz mimo to...

– Nie rozumiem – odezwała się po chwili niepewnym głosem. – Miałabym wyjechać z tobą do Paryża?

– Dokładnie tak. – Nawet się roześmiał. Wyglądało na to, że jego pewność siebie wróciła. Jakby ostatecznie rozprawił się z wszelkimi wątpliwościami i rozterkami. Przestał też ścisnąć jej rękę i wskazał na talerz. – Zjedz coś, bo jesteś blada jak chusta. Potem mi odpowiesz.

Miałaby teraz cokolwiek przełknąć? Była pewna, że nie utrzymałaby nawet łyżki w dłoni. A jednak jego śmiech oraz zwykły wesoły ton orzeźwiły ją i przywróciły jej jasność myślenia.

– Odpowiem ci już teraz – rzekła. – To niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe? – Jej riposta bynajmniej go nie skonfundowała. Liczył się z taką reakcją i dlatego teraz w najlepsze zajadał z takim apetytem, jakby od kilku dni nie miał nic w ustach.

– Daj spokój – zachnęła się.

– Nie. – Odstawił pusty talerz i ponownie ujął ją za rękę. Już nie żartował, jego oczy patrzyły przyjaźnie, lecz poważnie. – Nie dam ci

spokoju, dopóki nie podasz mi powodu swojej odmowy.

– Dopóki nie podam powodu? – Otworzyła szeroko oczy. – Tych powodów jest mnóstwo. Nie istnieje za to żaden, dla którego miałabym się zgodzić na to szaleństwo.

– Podaj mi przynajmniej niektóre – nie ustępował, a ponieważ milczała, kontynuował: – No widzisz, nie potrafisz. Nie ma ich.

– Nieprawda. – Potrząsnęła głową. – Są. W dodatku tak oczywiste, że aż nie warto o nich mówić. Dlatego dajmy już temu spokój.

– Być może jest jeden – odezwał się po dłuższej chwili ciszy. – Chodzi o... niego, tak? On cię tu zatrzymuje. Bo oprócz niego wszystko inne jest bez znaczenia.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała bez ruchu, jakby rażona piorunem. Gdy wreszcie poderwała się z miejsca, drżała na całym ciele, jak w gorączce. Chwyił ją za rękę, ale się wyrwała i skierowała do wyjścia. Byłaby wybiegła – nie bacząc na to, jak zareagują pozostali goście – ale zabrakło jej sił. Z trudem trzymała się na nogach. Zbyszek potrzebował kilku dodatkowych minut, by uregulować rachunek, po czym zrównał się z nią.

– Nie obawiaj się – zaczął. – Nie będę ci robił wymówek ani namawiał na wyjazd. Ale byłoby to jakieś wyjście z tej sytuacji. Dla ciebie... i dla pozostałych.

– W tym ciebie? – odparła trochę zbyt porywczo, ale zaraz zawstydziała się tych słów. Mógł je różnie zinterpretować.

– Dla mnie również – przyznał spokojnie. – Trudno by mi było tak zupełnie stracić cię z oczu.

– Ja także będę za tobą tęskniła – rzekła, po czym opadła na najbliższą ławkę. Najchętniej rozplakałaby się na głos, zachowała jednak dość przytomności umysłu, by się przed tym powstrzymać. – Będzie mi bardzo smutno bez ciebie – dodała, gdy usiadł przy niej.



W milczeniu, zupełnie bezrefleksyjnie przypatrywali się przechodzącym obok nich ludziom. Jakaś przysadzista kobieta w ciemnej prostej sukni i śmiesznym, niepasującym do niej kapeluszu z trudem nadążała za dwiema rozbrykanymi mniej więcej dziesięcioletnimi dziewczynkami, które w ogóle nie reagowały na jej uwagi i nawet się na nią nie oglądały. Nie wyglądała na ich matkę ani na babkę; z powodu malującego się na jej twarzy zmęczenia i desperacji w ogóle trudno było nawet w przybliżeniu ustalić jej wiek. Równie dobrze mogła mieć trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Zapewne służąca, może niania, uznała ponuro Kinga. Taki jest los niezamożnych kobiet. Niezamożnych, niezamężnych kobiet, poprawiła się. Smutne memento, jak sama będzie wyglądała za kolejnych dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat spędzonych w kantorku na zapleczu sklepu.

O ile czegoś w swoim życiu ponownie nie zmieni. Ale czy zaskakująca, wręcz zapierająca dech w piersiach propozycja Zbyszka mogła być furtką dla takiej zmiany? Zapewne, lecz mimo to...

– Wiem, że masz prawo czuć się... – sprawiał wrażenie, jakby szukał odpowiedniego słowa – ...oszołomiona. Trudno ci tak nagle podjąć decyzję i w pełni to rozumiem. Ale przynajmniej postaraj się to rozważyć. I weź pod uwagę wszystkie... okoliczności.

Wzmianka o okolicznościach sprawiła, że Kinga ponownie się zachnęła, ale – na szczęście – nie zarumieniła. Rumieńce, dąsy, łzy i zaprzeczenia nie miały zresztą sensu. Niezależnie od tego, czy Zbyszek odgadł całą prawdę, czy tylko się jej domyślał, nie był przecież w błędzie. Tak jak nie był w błędzie Antoni ze sklepu, a zapewne także niektórzy subiekci. A wcześniej Amelia – wtedy, przed laty, gdy próbowała ją ostrzec przed romansiem z żonatym mężczyzną. Kto jeszcze o tym wiedział? Albo się domyślał? Pomyślała o ciotce Marii... i o Klementynie. Zacisnęła dłonie.

– Biorę pod uwagę te okoliczności – odparła nadspodziewanie

rzeczowym tonem. – Także te, o których ty chyba w ogóle nie pomyślałeś. Czy zdajesz sobie sprawę, jak zareagowałaby twoja matka, gdybyśmy wyjechali... razem? – Zaledwie to powiedziała, a zaśmiała się cynicznie w duchu. Łatwa do przewidzenia reakcja ciotki, zamiast ja przerazić, sprawiła jej niemałą satysfakcję.

Co w tym dziwnego? – pomyślała z ironią. Jestem niemoralna. Jestem przecież owocem zatrutego drzewa.

Zbyszka także ubawiły jej słowa.

– Ty naprawdę uważasz, że boję się lania? – prychnął wesoło.

– W takim razie pomówmy poważnie. – Przybrała wyraz twarzy adekwatny do tej zapowiedzi. – W jakim charakterze miałabym ci tam towarzyszyć? Co miałabym tam robić? Przecież nie będziesz mnie utrzymywał.

Omam nie powiedziała: „nie będę twoją utrzymanką”, jednak na szczęście w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Uczynił taki ruch, jakby ponownie – tak jak już wcześniej, w restauracji – zamierzał uścisnąć jej dłoń, lecz tym razem się powstrzymał. Jego spojrzenie wyrażało szczerą życzliwość, zrozumienie i przyjaźń, nic ponadto.

– Jesteś moją kuzynką i w takim charakterze tam pojedziesz – odparł. – Nie ma w tym nic niewłaściwego, by krewni podróżowali razem. I z pewnością znajdziemy ci tam jakieś zajęcie. Paryż to nie Kraków czy nawet Warszawa. To olbrzymia metropolia, w której każdy ma szansę znaleźć miejsce dla siebie. Pamiętasz jeszcze, czego nauczyłaś się na lekcjach francuskiego? – dodał niespodziewanie.

– Obawiam się, że niewiele. Od skończenia pensji minęło jedenaście lat.

– Tam, na miejscu, bez trudu sobie przypomnisz.

– Nie powiedziałam, że wyjadę – odparła.

Boże, o czym oni w ogóle mówili? To w dalszym ciągu nie mieściło się

jej w głowie. Paryż? Ze Zbyszkiem u boku? Rozejrzała się wokół i serce jej się ścisnęło. Tak, pragnęła jakiejś odmiany, ale czy była gotowa zostawić miasto, które od dekady było jej domem? Te stare kamieniczki, odgłos końskich kopyt i dorożek na brukowanych, wąskich uliczkach? Rynek, na którym знаła niemal wszystkie kwiaciarki, i górujący nad tym rynkiem kościół Mariacki? Wzgórze wawelskie, kopiec Kościuszki, pobrzmiwające śmiechem i głosami spacerowiczów Planty? Teatr pełen rozentuzjasmowanych widzów, a także recenzentów czyhających na każde potknięcie ulubionego przez widownię aktora, aktualnej gwiazdy sezonu? Ciotkę Amelię, do której szczerze się przywiązała? I wreszcie cmentarz, miejsce pochówku rodziców.

Była prawie pewna, że gdyby przyjęła propozycję Zbyszka, najprawdopodobniej byłby to wyjazd w jedną stronę, bez możliwości powrotu. Skok na głęboką wodę. Czy naprawdę była gotowa na takie zmiany w życiu?

A potem pomyślała o Warszawie. O ciotce. O Klementynie... O nim. I ponownie poczuła bolesny skurcz w sercu.

– Zastanów się. – Miała wrażenie, jakby głos Zbyszka dobiegał do niej z daleka. Nie odwzajemniała jego spojrzenia, ale wiedziała, że na nią patrzył. I znowu bez problemu odgadywał jej myśli. – Tak czy inaczej, musisz... z tym skończyć. Chyba sama rozumiesz, że tak trzeba. A nie uwolnisz się od niego, jeśli nie znajdziesz się daleko stąd.

Wstrząsnęła się, jakby wylano na nią kubel lodowatej wody. Nie mogła mieć pretensji o te słowa. Zbyszek miał przecież prawo wyrazić swoje zdanie, powinna być nawet wdzięczna, że wyraził je w formie pełnego zatroskania ostrzeżenia, nie zaś jednoznacznego potępienia.

Z drugiej strony – czy jakakolwiek odległość coś tu zmieni? Przecież próbowała walczyć z tym uczuciem. Wtedy, przed laty, gdy jeszcze jako

młody, obiecujący asystent Burgiewicza składał wizyty na Kruczej i wiele wskazywało na to, że pochlebiało mu zainteresowanie, wręcz entuzjazm ze strony Klementyny. Wtedy, gdy ogłaszano zaręczyny ciotecznej siostry. I potem, gdy widziała ich oboje przed ołtarzem. A także za każdym razem, gdy już jako zięć Burgiewiczów okazywał coraz żywsze zainteresowanie kuzynce swojej żony, ona zaś, podobnie jak wcześniej, rzucała ciętymi ripostami, by tylko nie zorientował się w jej prawdziwych uczuciach. Ale i tak się zorientował. Dał to wyraźnie do zrozumienia tamtego dnia, gdy przestrzegł ją przed małżeństwem z Milewiczem. Abyś nie popełniła takiego błędu jak ja – mówił. I posłuchała go. Wyjechała z Warszawy. Lecz nawet przeprowadzka do Krakowa, która miała oznaczać zerwanie z rodziną, nie odmieniła jej serca. Wystarczyło, że Aleksander pojawił się w Krakowie, że do niej przyszedł. Wprawdzie nie za pierwszym razem, wprawdzie musiało upłynąć kilka lat do następnej jego wizyty, niemniej granice zostały przekroczone. Czy wyjazd do Paryża mógłby tu coś zmienić?

Jej matka przed laty postąpiła podobnie – może nie identycznie, bo jednak okoliczności mimo wszystko były trochę inne – niemniej pewne skojarzenia nasuwały się same. Klara zerwała ze Stefanem, wyjechała z Sulimowa, straciła kontakt z prawie całą rodziną. Nie uciekła jednak przed tamtym uczuciem. Czy taka ucieczka jest w ogóle możliwa?

A jednak Zbyszek ma rację. Trzeba to wreszcie jakoś skończyć. A przynajmniej podjąć taką próbę. Trwanie wciąż w tym samym miejscu oznacza jedynie dalsze pogrążanie się, nic więcej.

– Zastanowię się – odparła wobec tego, ale tak cicho, że wątpiła, aby ta odpowiedź do niego dotarła.

Jednak usłyszał – zobaczyła, że jego twarz w jednej sekundzie się rozjaśniła, jakby przesunął się po niej promień słońca. I choć dokładał wszelkich starań, by w jego głosie poza zadowoleniem nie dało się

wychwycić wzruszenia, nie do końca mu się to udało.

– Dobrze. Nie śpiesz się. Ja także potrzebuję czasu, by uporządkować swoje sprawy. Jeszcze co najmniej przez sześć tygodni nie mogę porzucić miejsca w kancelarii, mam tam obowiązki, z których muszę się do końca wywiązać, nikomu innemu ich nie podrzucę. No i poczekam, co Adrien mi odpisze, co konkretnie ma mi do zaoferowania. Nie bój się, nie jestem jakimś nieopierzonym smarkaczem, abym rzucał wszystko i jechał w ciemno, w nieznane, bez żadnych gwarancji. A do tego ciebie narażał na takie niedogodności.

Nie powiedziałam, że na pewno pojedę, ale że się zastanowię, chciała sprostować, jednak uznała, że chyba na razie nie ma sensu ponownie mu tego przypominać. Choć przecież podejrzewała, że Zbyszek zinterpretował jej odpowiedź jako już wyrażoną zgodę. Podświadomie czuła bowiem, że sama również taką decyzję podjęła.

\*\*\*

– Myślę, że powinnaś wyjechać. W ogóle nie pojmuję, dlaczego się wahasz.

Słowa Amelii wprawiły Kingę w lekką konsternację. Nie była pewna reakcji ciotki, oczekiwała jednak zdecydowanie bardziej wyważonej odpowiedzi, i może nie aż tak jednoznacznej.

– Powiedziałaś to tak, jakby chodziło o jakąś błahostkę, a nie o ważną życiową decyzję – odparła niemal oskarżycielskim tonem.

– Nie jest to przecież kwestia życia i śmierci, czyli taka, od jakiej nie ma już odwrotu – uśmiechnęła się Amelia, odwracając twarz od słońca i chowając się pod parasolem. Uwielbiała słońce i wiatr; gdy była młodą dziewczyną, nigdy się przed nimi nie chowała. Teraz też ulegała tej samej pokusie, co przed laty, choć zdecydowanie rzadziej i z pełną świadomością,

że to, co w przeszłości uchodziło jej bezkarnie, teraz bezlitośnie odbiłoby się na wyglądzie jej cery i włosów. Co nie znaczyło, że łatwo jej było pożegnać się z dawnymi zwyczajami.

– Nie ma odwrotu? – zachnęła się Kinga. – W moim przypadku tak właśnie będzie, jeśli zdecyduję się opuścić kraj. Nie jestem zamożną hrabianką, która może wydawać pieniądze na podróże w tę i z powrotem.

– O, nie przesadzaj. Podróżują nie tylko książęta i hrabiowie.

Potrafi być niemożliwa, zirytowała się Kinga. Czasami zachowuje się tak, jakby wciąż była na scenie, jakby liczyła się tylko ta wyimaginowana teatralna rzeczywistość.

– Owszem, ale z pewnością nie dotyczy to samotnych, niezamożnych kobiet, dla których czas działa na niekorzyść – sarknęła. – Nie mogę wiecznie zaczynać od nowa. Jeśli nie powiedzie mi się w Paryżu, będzie mi trudno wrócić i znaleźć tu swoje miejsce. A przede wszystkim nową pracę.

– Upływ czasu na ogół działa na niekorzyść dla wszystkich, nie tylko dla niezamożnych kobiet. – Ciotka wzruszyła ramionami. – Oczywiście, nie ma pewności, czy powiedzie ci się w Paryżu. Ale gdy przed laty postanowiłaś porzucić Warszawę i przenieść się tutaj, też tego nie wiedziałaś. W pewnym sensie porwałaś się z motyką na słońce. Wyruszyłaś w nieznaną, nie mając pojęcia, co cię czeka, i nie znając tu nikogo. Nie miałaś pewności, jak cię przyjmę i czy w ogóle będę chciała mieć z tobą do czynienia. Pod tym względem teraz znajdujesz się w znacznie lepszej sytuacji. Jedziesz z kuzynem i możesz liczyć na jego wsparcie.

Dotarły już do podnóża wzgórza wawelskiego i w zamyśleniu zapatrzyły się w przepływającą dołem rzekę.

– Gdy zdecydowałam się przenieść do Krakowa, miałam osiemnaście lat. Bałam się, ale wierzyłam, że wszystko się jakoś ułoży. Że mam czas – westchnęła Kinga. – Dużo czasu. A teraz...

– A teraz masz go mniej, więc nie powinnaś marnować ani dnia – odparła kategorycznie Amelia. – Nie tak dawno sama mówiłaś, że marzysz o jakiejś zmianie, że praca w sklepie cię nuży i masz poczucie, jakbyś zaczynała się zapadać w jakiś grząski grunt. Moim zdaniem i tak wytrzymałaś tam nad podziw długo. Nie musisz sama siebie skazywać na takie dożywocie. Nie jesteś w sytuacji tych wszystkich, którzy muszą godzić się z podobnym losem, bo mają na przykład rodziny na utrzymaniu. Ty wciąż możesz szukać swojego szczęścia.

– Myślałam, że będziesz chciała mnie tu zatrzymać – uśmiechnęła się półgębkiem Kinga, odprowadzając wzrokiem przesuwające się po niebie obłoki. – Że będzie ci żal stracić mnie z oczu... Tak jak kiedyś, wiele lat temu.

Amelia ujęła ją lekko za podbródek, co sprawiło, że patrzyły sobie teraz prosto w oczy.

– Oczywiście, że będę za tobą tęsknić – rzekła z powagą. – Będzie mi cię brakowało bardziej, niż przypuszczasz. Ale to nie jest powód, dla którego miałabym cię tu zatrzymywać. Wierzę, że będziesz tam szczęśliwa, a to teraz najważniejsze.

Kinga ponownie poczuła wzruszenie. Stojąca przed nią kobieta przez całe życie kogoś lub coś żegnała. Obojętnie, czy były to marzenia o sławie, o występach w pierwszoplanowych rolach na największych scenach, czy też pragnienie spędzenia życia u boku ukochanego mężczyzny – żadne z nich się nie spełniło, a ona przyjęła ten fakt z prawdziwą godnością. Z taką samą godnością wzięła też na siebie konsekwencje swoich wyborów, choć towarzyszyła temu bolesna świadomość, że nie tylko ona je poniosła, ale także jej rodzice, a nawet mąż. A jednak wciąż potrafiła snuć kolejne marzenia, nawet jeśli nie dotyczyły jej przyszłości, lecz szczęścia innych, bliskich jej osób. Na przykład córki Leona.

– Gdybym cię posłuchała i poślubiła któregoś z tych miłych panów, z którymi mnie kiedyś swatałaś, nie rozmawiałybyśmy w tej chwili o moim wyjeździe – odezwała się żartobliwie Kinga, starając się w ten właśnie sposób zapanować nad wzruszeniem. Nie za bardzo jej się to udało. Ciotka pokręciła głową.

– Potem i tak zrozumiałam, dlaczego to nie było możliwe. Dlaczego mnie wtedy nie posłuchałaś – odparła ciepło, lecz zarazem z powagą w głosie.

Kinga nie wytrzymała jednak jej przenikliwego spojrzenia, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Amelia przez kilkanaście sekund obserwowała ją w milczeniu, po czym bez trudu zrównała z nią krok.

– Samotność to wielkie wyzwanie, dla większości zbyt wielkie – rzekła. – I nie każdy nadaje się do życia w ascezie.

– Rozumiem, że to wstęp do większej przemowy, ale wołałabym, abyś mi ją darowała – mruknęła Kinga. – Nie powiesz mi niczego, czego sama bym nie wiedziała. Oczywiście masz rację, ale niewiele to zmienia.

– Dlatego lepiej, abyś wyjechała. – Gajewska chwyciła ją za łokieć, zmuszając, by dziewczyna zwolniła. – Abyś wyjechała jak najdalej stąd.

– Raczej abym uciekła, to miałaś na myśli – odparła porywczo Kinga. – Jeśli już poruszyłaś tę kwestię, mów otwarcie, bez owijania w bawełnę. Mam uciec, tak jak zrobiła to kiedyś moja matka.

– Nie tak. Znacznie dalej. A przez to skuteczniej. – Amelia poluzowała ucisk, jakby już teraz dawała dziewczynie możliwość ucieczki. I zanim Kinga zdążyła jakoś odnieść się do tych słów, dodała pośpiesznie: – Zresztą mogę także służyć własnym przykładem. Bo być może właśnie dlatego nie potrafiłam ułożyć sobie życia, że zawsze byłam zbyt blisko... niego. Gdy ożenił się z Klarą, powinnam była uciekać gdzie pieprz rośnie zamiast siedzieć tak blisko nich... Na wyciągnięcie ręki. Zawsze gotowa na wezwanie i na każde skinienie. W tych warunkach moje małżeństwo nie



miało najmniejszych szans.

Ale moja sytuacja jest jednak inna. Mężczyzna, którego kocham, od lat nie mieszka w tym samym mieście, co ja. Na co dzień się przecież nie widzimy, chciała zaprotestować Kinga, ale zaniechała tego pomysłu. Po pierwsze – nie była jednak gotowa na tak otwarte wyznania. Po drugie – jej sytuacja tylko pozornie była inna niż to, czego doświadczyła ciotka, a poniekąd także Klara. Tylko czy w takim razie odległość ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Paryż to zupełnie co innego – kontynuowała Amelia, jakby odpowiadała na niewyrażone wątpliwości i rozterki Kingi. – Tam będziesz musiała stawić czoła nowym wyzwaniom, które pochłoną mnóstwo twojego czasu i myśli, a zarazem sprawią, że spojrzysz na to, co zostawiłaś tutaj, z zupełnie innej perspektywy. Czas i odległość robią swoje. Nie od razu, ale tak właśnie się dzieje. Z każdym. Z tobą też tak będzie.

W milczeniu szły przed siebie, a pochłonięta swoimi myślami Kinga dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, że Wawel został już daleko za nimi – właśnie mijały kościół Świętych Apostołów Piotra i Pawła.

– Zaczнешz wreszcie normalnie żyć – odezwała się ponownie Amelia. – W Paryżu roi się od interesujących mężczyzn. Może będzie wśród nich taki, z którym w końcu ułożysz sobie życie.

A ona jednak znowu swoje, westchnęła w duchu Kinga.

– Nie interesuje mnie to – burknęła, lecz Amelia tylko się roześmiała.

## ROZDZIAŁ 16

Spodziewał się łez, wyrzekania, lamentów i oczywiście prób przekonania go, by zmienił decyzję. Był na to przygotowany, starał się też zawczasu przygotować do odparcia argumentów matki. A jednak tym razem go zaskoczyła. Wiadomość o planowanym wyjeździe wyraźnie ją poruszyła – co do tego nie miał wątpliwości – mimo to przyjęła ją zdecydowanie spokojniej, niż przewidywał.

– No tak – rzekła. – Miałam przeczucie, że nie usiedzisz dłużej w jednym miejscu. Ale żeby aż tam? Do Paryża?

– To dla mnie wielka szansa – odparł. – Grzechem byłoby nie skorzystać z takiej możliwości. To mi otworzy znacznie lepsze perspektywy.

– Zapewne. – Burgiewiczowa skinęła głową.

Obserwowała go uważnie, jakby chciała dotrzeć wzrokiem do samego dna jego myśli, po czym, ni z tego, ni z owego, oznajmiła, że będzie jej go bardzo brakowało. Bo to jednak trochę tak, jakby go traciła.

– Nic podobnego – odparł. – Będę pisać. I nie wykluczam, że kiedyś was odwiedzę.

– Te twoje obietnice – uśmiechnęła się z przymusem. – Z Petersburga także miałeś często pisać i co? Zaledwie raz na kwartał przysyłałeś kilka słów.

– Ależ droga mamo, wtedy byłem nieopierzonym smarkaczem. –

Mrugnął do niej wesoło. Powinna się domyślić, że teraz, jako dorosły mężczyzna, nie musi się tłumaczyć ze swoich wyborów. – Poza tym nie zostajesz przecież sama. Masz tu swoje towarzystwo, przyjaciół. No i przede wszystkim Klementynę – dodał tonem, który miał ją pocieszyć.

Wiedział, że go kochała. Klementyna zajmowała jednak szczególne miejsce w jej sercu i nawet fakt, że ostatnio doszło do pewnego zgrzytu w ich stosunkach, niewiele zmieniał. Zbyszek był silny i niezależny, toteż mogła być spokojna, on sobie poradzi. Poza tym jako mężczyzna miał w wielu kwestiach ułatwione zadanie. Klementyna dla odmiany była zupełnie nieporadna i zbyt delikatna, by stawiać czoła problemom. W dodatku nadal tak niewiele wiedziała o życiu. Matka zawsze uważała, że córka potrzebuje jej opieki, rady czy nawet strofowania i krytyki. Że wciąż jest jak dziecko, któremu oddaje się całe swoje serce i wszelkie starania. Dlatego potrafiła pogodzić się z wyjazdem syna. W przypadku Klementyny za nic by tego nie zniosła.

Zbyszek jednak wiedział, że jak na razie przeprowadził jedynie wstępną, a raczej rozpoznawczą, szarżę, zaledwie preludium. Dopiero teraz dojdzie do eksplozji. Ale trudno. Będzie musiała pogodzić się z tym, co usłyszy. Albo przynajmniej przyjąć to do wiadomości.

Już otwierał usta, by zakomunikować jej następną nowinę, ale go ubiegła. W dodatku trafiła w samo sedno.

– A co z tamtą sprawą, o której rozmawialiśmy przed kilkoma tygodniami? – spytała niczym profesor podczas egzaminu. – Nie prosiłam cię o pomoc, ale sam się zadeklarowałeś i...

Z niezadowoleniem stwierdził, że mimo pewności siebie i niezależności, którą tak się przecież chlubił, w tym momencie poczuł lekki niepokój. Jakby wciąż był małym chłopcem czekającym na srogą reprimendę.

– I zająłem się tym. Kinga wyjeżdża razem ze mną – odparł, zmuszając

się do spojrzenia matce prosto w oczy.

Dłoń, w której trzymała filiżankę z kawą, niebezpiecznie zadrżała i część czarnego, gorącego płynu znalazła się na jej jedwabnej sukni, ale Burgiewiczowa nie zwróciła na to uwagi. Wpatrywała się w niego osłupiałym wzrokiem, a gdy wreszcie przemówiła, jej głos przypominał skrzek żaby.

– Co powiedziałaś? Ona jedzie tam z... tobą?

– Właśnie tak. – Skinął głową, czując nieznośne napięcie w karku.

– W jakim charakterze?

Kinga spytała go dokładnie o to samo. Teraz udzielił prawie identycznej odpowiedzi jak wówczas, gdy rozmawiał z cioteczną siostrą.

– W charakterze mojej bliskiej kuzynki. A ty, droga mamó, myślałaś, że... co?

Cholera, zaklął zaraz w duchu. To ostatnie zdanie było niepotrzebne. Nie mógł sobie pozwalać na podobną brawurę, sytuacja i bez tego była wystarczająco... delikatna. I trudna. Dlatego musiał czym prędzej choć trochę zniwelować znaczenie tego, co przed sekundą mu się wymknęło.

– Powinnaś być zadowolona, mamó. Zawsze przecież niepokoił cię fakt, że mieszkała w Krakowie. Właśnie tam, w pobliżu... jego rodziny. Z tego wzięły się twoje podejrzenia.

Jak najbardziej uzasadnione, pomyślał z przykrością. Kinga przecież niczemu nie zaprzeczyła, choć nie rozmawiali o szczegółach.

– Teraz ten powód do niepokoju powinien zniknąć. Twoja siostrzenica znajdzie się naprawdę daleko stąd – dodał.

Świadomie podkreślał te słowa: „moja bliska kuzynka”, „twoja siostrzenica”, jednak Burgiewiczowa nie dała się złapać na ten lep.

– Będziecie tam razem. To mi się nie podoba.

– Co konkretnie masz na myśli? – Uznał, że jednak spróbuje przycisnąć ją nieco do muru. Potrafiła bardzo otwarcie wyrażać swoje opinie, ale były takie pytania, na które unikała odpowiedzi wprost. Zwłaszcza jeśli zadająca je osoba zachowała niewzruszoną pewność siebie. W takich okolicznościach zdarzało się, że matka traciła rezon. Nie wygrała na przykład ani jednej słownej potyczki z mężem.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli – odparła niechętnie, ale przynajmniej odwróciła wzrok. – Nie jestem naiwna. Odwiedzasz ją, jesteście w stałym kontakcie.

– Na litość boską – wyprostował się. – Masz mi za złe, że nie odwróciłem się od mojej kuzynki?

– Kuzynki? – Uśmiechnęła się drwiąco, wzgardliwie. – Takie kobiety jak ona zdolne są do wszystkiego. Mnie nigdy nie oszukały te jej bystre oczka i wystudiowane pozy. Ta pozorna niezależność. Zawsze widziałam jej zakłamanie. Ale ty i twój szwagier daliście się złapać na ten lep. A także twój ojciec. I Bóg jeden wie, ilu jeszcze...

Postanowił, że przestanie się jednak cackać z matką. Chciał jej oszczędzić, ale skoro uciekała się do podobnych argumentów, to trudno. Ostatecznie i tak podjął decyzję o wyjeździe, a matka nie mogła mu w tym przeszkodzić. W niczym innym także. Nie miała żadnej władzy nad nim... ani nad Kingą.

– Nienawidzisz jej z powodu twojej siostry. Myślisz, że tak trudno to odgadnąć?

Nie odpowiedziała, jej twarz przypominała teraz wykutą w kamieniu rzeźbę. Podniósł się niecierpliwie i przeszedł po pokoju. A potem ponownie się przed nią zatrzymał.

– Wiem, co wydarzyło się w przeszłości. Wiem o Klarze i ojcu. I co z tego? To stare dzieje, takie rzeczy zdarzają się tysiącom ludzi na świecie,

pod każdą szerokością geograficzną. Ostatecznie przecież postawiłaś na swoim. Ożenił się z tobą, a Klara wyszła za innego. W dodatku zmarła dawno temu, ojciec też już nie żyje. Naprawdę nie stać cię na wybaczenie, nawet po tylu latach? Zwłaszcza że w gruncie rzeczy nic niezwykłego się nie stało. Musiałaś wyżywać się na Kindze? Na osieroconym dziecku powierzonym twojej opiece? I robić to nadal, w dodatku nie przebijając w słowach? – Wciąż milczała i patrzyła nieruchomo w obraz na ścianie. Uznał, że ma już dość. Jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. Sięgnął po kapelusz. – Dobrze, skoro nie jestem w stanie do mamy dotrzeć i przekonać, najlepiej zrobię, gdy się pożegnam. Przykro mi, droga mamó, że tak do tego podchodzisz. I te twoje insynuacje, te kolejne podejrzenia... To z mojego punktu widzenia jest nie do przyjęcia. Ale trudno. Nie zmienię cię, nic na to nie poradzę. Może kiedyś ty zmienisz zdanie, może to zrozumiesz... A może nie, mniejsza z tym. Do zobaczenia, mamó.

– W gruncie rzeczy niewiele o tym wiesz – odezwała się, gdy zupełnie już się tego nie spodziewał.

Nie spytała, skąd w ogóle miał jakąkolwiek wiedzę o tamtych sprawach. Jakby w ogóle jej to nie interesowało. A może przypuszczała, że to ojciec mu o wszystkim powiedział? Cóż, w pewnym sensie tak właśnie było. Tak czy inaczej, nie drążyła, chyba naprawdę ta akurat kwestia wcale jej nie obeszła, w każdym razie nie ona była teraz dla niej najważniejsza. Musiała myśleć, że wiedza, którą posiadał, nie była kompletna. „W gruncie rzeczy niewiele wiesz” – powiedziała. Zbyszek miał nadzieję, że jego uśmiezek był w tej chwili łudząco podobny do tego, który widział na jej twarzy.

– To, co wiem, w zupełności mi wystarcza. Chyba że chciałabyś mnie bardziej oświecić w tej materii?

Odwróciła się do niego plecami.

Wzruszywszy ramionami, opuścił salon, a gdy znalazł się w przedpokoju,

stanął oko w oko z Klementyną. Zorientował się, że musiała dopiero wejść – nie zdjęła jeszcze z siebie wierzchniego okrycia ani kapelusza. Położyła palec na ustach, dając do zrozumienia, by głośnym powitaniem nie zdradził jej obecności, po czym pociągnęła go za rękę w głąb przedpokoju. Tam gdzie ani matka ani nikt ze służby nie mógł ich usłyszeć. Natychmiast nabrał nie najlepszych przeczuć, w jej spojrzeniu nie dostrzegł jednak ani rozpacz, ani trwogi. I wtedy domyślił się, że wysłuchiwała jego rozmowy z matką.

– Wiesz, że wyjeżdżam? – bardziej stwierdził, aniżeli zapytał. – Że wyjeżdżamy? – poprawił się, patrząc jej prosto w oczy.

Skinęła głową i ścisnęła jego rękę.

– Zrób to – wyszeptała. – Zabierz ją jak najszybciej. I jak najdalej stąd.

Zrozumiał, że jedynie to się teraz dla niej liczyło.

## ROZDZIAŁ 17

*Nigdy dotąd do Ciebie nie pisałam i możesz być pewna, że więcej już tego nie zrobię. Zbyszek namawiał mnie, abym się z Tobą spotkała i pomówiła w cztery oczy, ale to niemożliwe. To ponad moje siły, nie zniosłabym tego. Myślę, że z Tobą jest podobnie, że także nie tęsknisz za moim widokiem. I że przynajmniej w tej kwestii podzielasz moje zdanie. Na robienie Ci wyrzutów także nie mam już siły ani ochoty, czuję zresztą, że byłoby to poniżej mojej godności. I bez tego z pewnością wiesz, co o Tobie myślę. Zawsze byłaś bystra, to Ci muszę przyznać. Tym bardziej powinnaś zrozumieć, czego teraz od Ciebie oczekuję. Nie jest to prośba, lecz żądanie, a do tej pory nie stawiałam Ci przecież żadnych. To jest pierwsze i mam nadzieję, że pozostanie ostatnim.*

*Jak rozumiem, Twój wyjazd oznacza koniec kontaktów z moim mężem. Wszelkich – mam na myśli również korespondencję. Nie będę miała możliwości tego sprawdzić, nie pozostaje mi zatem nic innego, jak zaufać resztkom Twojego rozsądku. Zawsze uważałam, że w przeciwieństwie do mnie jesteś silna i potrafisz trzymać się raz podjętego postanowienia. Wprawdzie okazało się, że jesteś tak samo słaba i uległa jak wiele innych kobiet, ale Twój wyjazd oznacza przecież – tak to przynajmniej odbieram – że pragniesz wycofać się*



*z popełnionych błędów, co może okazać się szansą dla nas obu. Nie zmarnuj tego, Kuzynko. A teraz najważniejsze – nie rozmawiałam z moim mężem o Twoich planach. Aleksander oczywiście wie, że Zbyszek wyjeżdża do Paryża; chyba rozumiesz, że nie może być mowy o robieniu z tego tajemnicy. Na razie nie ma jednak pojęcia, że i Ty się tam wybierasz. Że będziesz towarzyszyć mojemu bratu. Oczywiście i tego się dowie, ale w stosownym czasie, gdy już opuścicie Warszawę. I to ja o wszystkim mu powiem. Nie moja Matka, nie mój brat i – rzecz jasna – na pewno nie Ty. Mama i Zbyszek już mnie o tym zapewnili. Tego samego oczekuję od Ciebie.*

Nie przeczytawszy do końca, Kinga zmięła w dłoni kartkę zapisaną drobnym, kształtnym pismem Klementyny. W tym momencie nie odczuwała ani upokorzenia, ani gniewu, ani nawet wstydu. Szczerze mówiąc, była zbyt znużona, by odczuwać jakiegokolwiek silniejsze emocje. Tego dnia, zaledwie kilka godzin wcześniej, oznajmiła staremu Gajewskiemu, a także jego wspólnikowi, panu Sagurskiemu, że ma zamiar odejść ze sklepu, najpóźniej w początkach października. Późną jesienią wybiera się bowiem za granicę. Na jak długo? Na to pytanie nie potrafiła dać precyzyjnej odpowiedzi. Tak czy inaczej, nie warto trzymać dla niej miejsca w sklepie – przynajmniej w tej jednej kwestii miała stuprocentową pewność. Z kolei takie słowa jak „na zawsze” czy „nigdy więcej” w ogóle nie przeszłyby jej przez gardło – miały w sobie coś ostatecznego i tak kategorycznego, że przejmowały ją niemal zabobonnym lękiem.

Nie umiała się przy tym powstrzymać od wzruszenia. Praca w sklepie i życie, jakie prowadziła w Krakowie, już od jakiegoś czasu ją nużyły, niemniej spędziła tu dziesięć lat, sporo się nauczyła i wyniosła cenne doświadczenia. A także – niewątpliwie – dobre wspomnienia. Patrząc na swój kantorek – nigdy nie przywiązała się do słowa „gabinet” – nie mogła

oprzeć się przeświadczeniu, że właśnie do tego miejsca będzie najczęściej wracała wspomnieniami. Na pewno częściej niż do mieszkania w kamienicy na Plantach, o tym na Kazimierzu nie mówiąc. Spostrzegła też, że Gajewski zmarkotniał. Byłaś moją prawą ręką, stwierdził ze smutkiem, bez mała współniczką. Zawsze przecież dobrze się rozumieliśmy. Domyśliła się, że w obecności współnika wolał nie mówić o sprawach, które szczególnie leżały mu na sercu. Kinga była jego pracownicą, ale także członkiem rodziny, krewną córką. W jego przekonaniu doskonale nadawała się do wzięcia na siebie przynajmniej jakiejś części odpowiedzialności za sklep, gwarantowała, że nadal będzie to rodzinny interes – słowem była w stanie podjąć się tego, do czego Amelia zupełnie się nie nadawała i czego nie chciała robić.

Kinga zgadywała, o co chodziło staremu pryncypałowi, domyślała się tego zresztą od dawna. Wiedziała jednak, że ciche marzenia Gajewskiego należały raczej do sfery pobożnych życzeń, zupełnie niemożliwych do realizacji. Nie miała wątpliwości, że i on był tego świadom, a jednak gdy zostali sami, przypomniała mu, że w sensie formalnym i tak nie mogłaby zostać współniczką Sagurskiego.

– Poza tym mam naprawdę ważne powody, by wyjechać – oznajmiła. – To chyba najlepsze, co powinnam teraz zrobić ze swoim życiem, nawet jeśli w tym momencie serce się kraje – dodała.

Pan Wincenty popatrzył na nią badawczo i o nic więcej nie zapytał, a jedynie ledwo dostrzegalnym ruchem pokiwał głową. Za to koledzy subiekci, gdy się dowiedzieli o jej planach, poparli je bez najmniejszego wahania, w dodatku z widoczną zazdrością. Dobrze panna robisz, mruknął Bukszewicz. Niestety nie każdy tak może postąpić, dodał z żalem, mając być może na uwadze swoją sześćoosobową rodzinę, której był jedynym żywicielem i wobec tego musiał trzymać się posady, która nie mniej go nużyła niż Kingę.

Rozmowa z pryncypałami, zwłaszcza z Gajewskim, i z kolegami wprawiła ją w melancholijny nastrój. Który bynajmniej nie uległ poprawie, gdy z kolei później właściciel kamienicy wręczył jej list od Klementyny. Już sam fakt, że kuzynka w ogóle do niej napisała, sprawił, że pod Kingą ugięły się kolana. A co dopiero, gdy poznała treść listu – zupełnie niepasującą do niezdecydowanej, niezaradnej i pod wieloma względami dziecinnej jeszcze Klementyny. Takie słowa mogły wyjść jedynie spod pióra osoby dojrzałej, zdecydowanej, która nie tylko wie, czego chce, ale także potrafi wprowadzić swoje zamierzenia w życie. O Klementynie w żadnym razie nie można było tego powiedzieć i dlatego Kinga była skłonna podejrzewać, że autorką listu była tak naprawdę ciotka. A kuzynka jedynie pisała pod jej dyktando... niczym posłuszna i pilna pensjonarka pod okiem swojej przełożonej.

Tak czy owak, powinnam odpowiedzieć, uznała. Mimo to przez kolejne dziesięć, może nawet piętnaście minut nie ruszyła się z miejsca. Z Aleksandrem nie widziała się już od dłuższego czasu. Niekiedy przysyłał jakąś wiadomość, ona jednak – tak jak mu zapowiedziała – nie odpowiadała na te listy. Podejmując decyzję o wyjeździe z kraju, wykluczyła jakąkolwiek możliwość spotkania się z nim sam na sam w jej mieszkaniu. Jednak nawet gdyby przyszło jej stanąć z nim twarzą w twarz, nie miała najmniejszego zamiaru uprzedzać go o swoich planach. Z pewnością bowiem próbowałyby wybić jej te projekty z głowy i naprawdę nie była pewna, czy nie uległaby jego perswazjom. Dlatego nie mogła w ogóle dopuścić do takiej rozmowy. Klementyna – czy też ciotka Maria, zależy, która z nich była faktyczną autorką listu – nie musiała jej tego przypominać.

Ma rację, okazałam się słabą kobietą, pomyślała ponuro Kinga. Ale jednak ocalałam te resztki rozsądku, o których raczyła wspomnieć.

Podbudowana tą myślą zasiadła wreszcie do stołu i sięgnęła po pióro.

*Droga Kuzynko* – zaczęła, ale zaraz podarła kartkę. Klementyna – lub

ciotka – nie bawiła się w takie ceregiele. Żadnych wstępów i fałszywych czułości. Trzeba przejść od razu do rzeczy.

*Nie obawiaj się, nie mam zamiaru szukać żadnego kontaktu z Twoim mężem. Lecz nawet gdyby w niezamierzonych przeze mnie okolicznościach do takiego spotkania doszło, nie ma mowy, abym zwierzała mu się z planów wyjazdu. Zostawiam to Tobie, Ty zdecydujesz, czy naprawdę chcesz z nim o tym rozmawiać. To już wyłącznie Wasze sprawy, ja zajmę się własnymi.*

Na moment się zawahała, czy potrzebne są tu jeszcze jakieś dodatkowe zapewnienia z jej strony, typu „obiecuję”, „masz moje słowo”. Uznała jednak, że to zbyteczne. Na pewno zbyt egzaltowane, a przez to mało wiarygodne – a w każdym razie tak mogłoby to wyglądać w oczach ciotki lub kuzynki.

Czym prędzej zakleiła kopertę. A potem oparła głowę na złożonych dłoniach, miała bowiem wrażenie, jakby właśnie teraz odpłynęły z niej resztki sił, a znużeniu towarzyszył wyjątkowo dojmujący smutek.

To samo uczucie melancholii i zmęczenia wróciło kilka tygodni później, gdy siedziała już w pociągu do Warszawy. W ostatnich dniach pobytu w Krakowie miała zbyt wiele bieganiny i załatwiania tych wszystkich spraw, które związane są z wyjazdem, by zaprzętać sobie głowę czymkolwiek innym. Dopiero gdy pożegnała Amelię i starego Gajewskiego, a potem zajęła wskazane przez konduktora miejsce, z trudem zapanowała nad łzami, które cisnęły jej się do oczu. Na szczęście nie popłynęły po policzkach, dzięki czemu, gdy wyjrzała przez okno, by po raz ostatni pozdrowić Gajewskich, mogła im zaprezentować promienny uśmiech. Który zniknął z jej twarzy natychmiast, gdy tylko pociąg ruszył i straciła ich z oczu. Zamyśloną, smutnym wzrokiem odprowadzała mijane po drodze pola, wsie, miasteczka. W tym momencie była zupełnie pewna, że na zawsze żegna się z tym widokiem. I choć sama sobie od tygodni powtarzała, że podjęła słuszną

decyzję, nie potrafiła zapanować nad smutkiem. Ale przecież tak jest zawsze albo prawie zawsze, próbowała się pocieszać. Niemal każdy, kto decyduje się na podobny krok, odczuwa dokładnie to samo. Melancholię, niepewność, obawę przed tym, co przyniesie przyszłość. A potem do tego dołączy jeszcze tęsknota. Kinga w każdym razie już zaczynała tęsknić. Lecz i to przecież miało minąć. Tak przynajmniej przekonywała ją Amelia, której słowa potwierdzał Zbyszek. Upływ czasu jest najskuteczniejszym lekarstwem także na tęsknotę. A ty przecież nie jedziesz tam sama, ja też tam będę – podkreślał kuzyn. Sama to sobie powtarzała niczym mantrę, a jednak...

Pierwszym przystankiem na trasie podróży była Warszawa, to stąd następnego dnia mieli wyruszyć do Paryża. Ostatni dzień i noc przed opuszczeniem kraju Kinga miała spędzić u panny Adamskiej, która z radością zgodziła się przyjąć ją u siebie. Szczęśliwie w ciągu minionych lat w miarę regularnie korespondowały ze sobą, stąd łatwiej było teraz Kingie poprosić ją o gościnę. A Adamska – choć bez wątpienia gubiła się w najrozmaitszych domysłach – nie zarzuciła jej pytaniami o przyczyny tego dość zaskakującego kroku.

Wprawdzie Zbyszek zaproponował, aby Kinga zatrzymała się u niego, ona jednak uznała, że z różnych względów nie jest to najlepszy pomysł. Podczas krótkiego pobytu w Warszawie wolała nie zwracać na siebie uwagi, co byłoby niemożliwe, gdyby przystała na propozycję kuzyna. Zaraz zaczęłyby się plotki i domysły, do których zapewne i tak dojdzie, gdy tylko ludzie dowiedzą się o ich wspólnym wyjeździe. Lepiej jednak, gdy nastąpi to dopiero, gdy oboje będą się już znajdować daleko stąd. Poza tym zdawała sobie sprawę, że ciotka z pewnością nie życzyłaby sobie jakichkolwiek komentarzy na temat ewentualnego noclegu siostrzenicy w mieszkaniu jej syna i choć Zbyszek bezlitośnie wykpiwał te obawy, Kinga tym razem była skłonna oszczędzić zarówno Burgiewiczowej, jak i sobie podobnych

przykrości. No i – co najważniejsze – nie chciała w tym czasie natknąć się na Aleksandra. Mieszkanie Adamskiej chroniło ją przed taką ewentualnością, choć oczywiście musiała zachowywać się ostrożnie i dyskretnie.

Przy tym wszystkim cieszyła się na spotkanie z dawną nauczycielką, co jednak nie znaczyło, że się go trochę nie obawiała. Nie widziały się przecież dziesięć lat; korespondencja, nawet ta w miarę regularna, nie mogła zastąpić rozmowy w cztery oczy. Jednak Kinga nie miała ochoty na zbyt daleko idące zwierzenia – w ostatnim czasie w jej życiu miały miejsce takie sprawy, o których wolała nikomu nie opowiadać. Wprawdzie panna Adamska nigdy nie była dociekliwa, nigdy o nic nie wypytywała swoich uczniów, zadowolając się jedynie tym, o czym sami chcieli ją powiadomić, tym razem jednak miała prawo czuć się co najmniej zaintrygowana.

Szczerze okazało się, że nie zmieniła dawnych przyzwyczajień. Tak jak przed laty przywitała Kingę życzliwym słowem i uśmiechem. Czekala na nią na dworcu, zadbała, by bagażowy umieścił kufer podróżny i torby w wynajętej dorożce. A potem, już w mieszkaniu, ugościła swoją dawną uczennicę pożywnym obiadem i co rusz powtarzała, jak bardzo się cieszy, że wreszcie ją widzi.

– Mam wrażenie, jakby czas się zatrzymał – rzekła. – A właściwie nawet cofnął. Do tamtego dnia, gdy żegnałyśmy się przed twoją przeprowadzką do Krakowa. Prawie wcale się nie zmieniłaś.

Jedynie na pierwszy rzut oka, odpowiedziała jej w myślach Kinga. W istocie wiedziała przecież, że zmieniła się, i to bardzo. Nie była już tamtą nieopierzoną młodziutką dziewczyną, która zuchwałością próbowała zatuszować swoje obawy, niepewność, a także – przede wszystkim – brak życiowego doświadczenia. Teraz miała już spore doświadczenie i więcej pewności siebie, a mimo to wciąż zmagala się z wewnętrznym niepokojem. Ale właśnie o tym nie chciała mówić, więc tylko uśmiechnęła się

i odpowiedziała, że czuje się jednak znacznie starsza niż wtedy, gdy ostatnio się widziały – co przecież do pewnego stopnia było prawdą. Dodała też, że jej zdaniem to raczej panna Adamska nie zmieniła się ani na jotę i wygląda bardzo korzystnie – choć ten akurat komplement zupełnie mijał się z prawdą. Już przed laty nauczycielka wyglądała poważniej, niż wskazywałyby na to jej wiek, i nawet miłe, pogodne usposobienie jej nie odmładzało. Wtedy także Kinga nie potrafiła jej sobie wyobrazić jako beztroskiej dziewczyny lub młodej kobiety, a upływ czasu jedynie pogłębił to wrażenie. Adamska, która zawsze była szczupłą, teraz schudła jeszcze bardziej, przez co jej sylwetka stała się wręcz koścista, a zmarszczki na twarzy dużo bardziej widoczne niż wcześniej.

Pod innymi względami z pewnością się jednak nie zmieniła, wciąż można było liczyć na jej życzliwość, dyskrecję i pomocną dłoń. A także na promienny uśmiech, który każdemu, kto się z nią zetknął, pomagał uwierzyć, że żadne, najgorsze nawet kłopoty i zmartwienia nie trwają wiecznie.

Gdy Kinga spytała ją, czy kuzyn mógłby ją dziś odwiedzić, by raz jeszcze omówić wszelkie szczegóły jutrzejszej podróży, Adamska odparła, że nie widzi żadnych przeszkód. Nawet gdyby chciał przyjść jedynie w celach towarzyskich, będzie tu mile widziany.

Przywitała go i przyjaźnie zaprosiła do swojego skromnego saloniku, pogawędziła godzinkę przy herbacie, a potem zostawiła ich samych, aby mogli swobodniej pomówić. Kinga spytała Zbyszka o ciotkę, Klementynę i siostrzeńców – i zadowolona się jego krótką, ogólnikową odpowiedzią, z której jasno wynikało, że sytuacja jest jako tako opanowana i – jak to ujął – całkowicie pod kontrolą. Gdyby było inaczej, raczej by tego przed nią nie ukrywał. W każdym razie chciała mu wierzyć, nawet jeśli nie mówił wszystkiego. Tak naprawdę obchodził ją tylko Aleksander, a dokładniej – czy cokolwiek podejrzewał i czy jakimś sposobem nie dowiedział się o jej

aktualnym pobycie w Warszawie. Zbyszek jednak nawet nie zająknął się na temat szwagra, wobec czego Kinga uznała, że roztropniej będzie przynajmniej na razie o niego nie pytać. A tym samym, być może, nie wywoływać wilka z lasu.

W każdym razie dzięki wizycie kuzyna ponownie nabrała ducha i z większym optymizmem zaczęła patrzeć w przyszłość. Dlatego gdy trzy godziny później panna Adamska zakomunikowała jej, że w bawialni ktoś na nią czeka, Kinga natychmiast ponownie się zaniepokoiła i od razu nabrała złych przeczuć. Zwłaszcza że w spojrzeniu nauczycielki było coś zastanawiającego. Słyszała wprawdzie pukanie do drzwi wejściowych i zorientowała się, że ktoś wszedł do mieszkania, jednak zajęta porządkowaniem swoich dokumentów, nie wsłuchiwała się w dochodzące z korytarza głosy i słowa. Była pewna, że to stróżowa przyniosła Adamskiej wypraną pościel. Jak się jednak okazało, było inaczej.

– Kto to jest? – spytała zdławionym głosem.

W ułamku sekundy pomyślała o Aleksandrze. Jeśli to on, jeśli to on tu przyszedł, to...

Była pewna, że Adamska słyszała bicie jej serca, które tłuło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Jednakże odpowiedź, którą otrzymała, w jednej chwili ją zmroziła.

– Pani Maria Burgiewiczowa.

– O Boże – wyszeptała dziewczyna. Miała wrażenie, jakby jej serce zamarło.

Adamska, uśmiechając się łagodnie, ujęła ją za rękę.

– Idź do niej – rzekła. – No już... Nie zachowuj się jak dziecko.

Mówisz tak, bo nie wiesz wszystkiego, pomyślała Kinga. Była jak ogłuszona i potrzebowała kolejnych kilku sekund, by jako tako wziąć się w garść. Adamska miała przecież rację – ona, Kinga, nie mogła zachowywać



się jak tamto dziecko, które przed laty umierało ze strachu, gdy Tomaszowa prowadziła je przed oblicze ciotki. I które czekało na reprimendę i karę za niepopelnione winy. W każdym razie nie za swoje winy.

Tym razem było jednak inaczej. Tym razem miała przecież coś na sumieniu i – paradoksalnie – to ostatnie spostrzeżenie przywróciło jej odwagę.

– Tak – rzekła już znacznie pewniejszym głosem. – Tak, oczywiście.

Burgiewiczowa istotnie czekała na nią w saloniku. Gdy Kinga tam weszła, a Adamska zamknęła za nią drzwi, przez chwilę mierzyły się z ciotką uważnymi spojrzeniami.

– Dzień dobry, ciociu – odezwała się wreszcie dziewczyna.

Przedłużające się milczenie zaczynało ją coraz bardziej denerwować, lecz dokładała wszelkich starań, by tego nie okazać. Nawet wtedy, gdy doktorowa nie odpowiedziała na jej pozdrowienie. Usiadła wobec tego i czekała, pytając sama siebie, jak długo to jeszcze potrwa. Ciotka najpewniej zamierzała ją zdeprymować i przestraszyć, a do tego za skarby świata nie należało dopuścić.

– Miło mi ciocię widzieć – rzekła, dziwiąc się, że tak łatwo przeszło jej przez gardło owo ewidentne kłamstwo. Którego zresztą Burgiewiczowa była jak najbardziej świadoma. – Zbyszek powiadomił ciocię, że zatrzymałam się u panny Adamskiej? – Zabrzmiało to jak pytanie, choć w istocie było stwierdzeniem oczywistego faktu.

– Oczywiście – przemówiła w końcu doktorowa. Chłodnym, nieprzyjaznym tonem, ale to akurat także Kingi nie zaskoczyło. – Czy mam zrozumieć, że tym samym zdradził jakąś tajemnicę? – dorzuciła ironicznie ciotka.

– Nie, skądże – odparła Kinga, na tyle uprzejmie, na ile się dało. – Wszystko w porządku.

– Nic nie jest w porządku. – Burgiewiczowa nie zwlekała z ripostą. – Ale czasami dochodzi do takiego bałaganu, do takich zniszczeń, że już nie sposób przywrócić nieskazitelnej czystości. I nie pozostaje nic innego, jak ratować to, co jeszcze się da ocalić.

Kinga drgnęła. Nie spodziewała się takiej przemowy, takich metafor. Mimowolnie przypomniała sobie swoje zaskoczenie, gdy po raz pierwszy usłyszała, jak ciotka porównała ją do owocu zatrutego drzewa. Wtedy także na moment osłupiała, że ta, wydawałoby się, aż do bólu pospolita, przyziemna i przewidywalna kobieta potrafiła zachowywać się i wyrażać w sposób, jakiego raczej trudno byłoby się po niej spodziewać.

– Wyjeżdżam – odparła głucho, gdy zdała sobie sprawę, że ciotka czeka na jej odpowiedź. – Mam nadzieję, że to zakończy wszelkie... – Szukała odpowiedniego określenia, ale przecież takie nie istniało. To znaczy nawet jeśli istniało, nie nadawało się do użycia w tej rozmowie. Dlatego dodała: – Że to wreszcie zakończy wszelkie nieporozumienia między nami. Niewykluczone, że nigdy się już nie zobaczymy. – Przy ostatnich słowach mimowolnie zadrżała i odniosła wrażenie, że ciotka to spostrzegła.

– Wyjeżdżasz z moim synem – zauważyła lodowato doktorowa.

– Tak, z moim ciotecznym bratem – uniosła się trochę dziewczyna, a równocześnie z niezadowoleniem poczuła, że się zarumieniła. Do licha, jeszcze tego brakowało. Jakby mało było oczywistej insynuacji w tym, co przed chwilą usłyszała.

– I mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętać... Że on jest twoim krewnym. – Burgiewiczowa nie zmieniała tonu. Choć jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że także była wzburzona, w każdym razie Kinga takich wątpliwości nie miała, zbyt dobrze znała tę kobietę.

– Dlaczego miałabym kiedykolwiek o tym zapomnieć? – spytała obruszona.

– Po prostu wiem, do czego jesteś zdolna – odparła wyniośle ciotka. – Twoje oburzenie i wystudiowane pozy niczego tu nie zmieniają. Obie wiemy, w czym rzecz, więc daruj mi wchodzenie w szczegóły.

– Ja wiem jedno – wyprostowała się Kinga. – Nienawidziła mnie ciocia, odkąd pamiętam. I to tylko dlatego, że moja matka... – Przygryzła wargi. Podobnie jak Burgiewiczowa, nie miała ochoty na roztrząsanie takich szczegółów. Na pewno nie na dzień przed opuszczeniem kraju. Marzyła, by ciocia wstała i wyszła, choćby bez pożegnania, lecz niestety nie zanosило się na to.

– No tak, twoja matka – rzekła powoli doktorowa. – Może czas, abyś tego i owego się o niej dowiedziała. Właśnie dzisiaj, zanim wyjedziesz z moim synem.

– Ciociu! – Kinga nie wytrzymała. – To, co jesteś mi teraz gotowa oznajmić, od dawna nie jest już dla mnie tajemnicą. A zatem naprawdę nie ma sensu...

– Klara i mój mąż mieli romans.

– Ty i wuj nie byliście jeszcze wtedy małżeństwem – zaczerwieniła się ponownie Kinga. – To się skończyło jeszcze przed waszym ślubem, właśnie z inicjatywy mamy. I chyba między innymi dlatego to, co ich łączyło, trudno nazwać prawdziwym romansem.

– A ty oczywiście wiesz, czym jest prawdziwy romans – skrzywiła się z ironią Burgiewiczowa i ponownie zapanowała pełna napięcia cisza.

Kinga zdawała sobie sprawę, że znalazła się teraz na bardzo kruchym lodzie, który w dodatku w kilku miejscach zaczynał pękać. Żałowała, że w ogóle zaczęła mówić o swojej matce – spostrzegła jednak, że tym samym wyszła naprzeciw oczekiwaniom ciotki. Był to jeden z powodów jej nieoczekiwanej wizyty, co do tego Kinga nie miała już wątpliwości. A zarazem punkt wyjścia do kolejnych ataków na siostrzenicę, która

w dodatku sama wystawiła się na cel. Nie będę z nią o tym rozmawiać, postanowiła rozpaczliwie Kinga. Nie o mnie i nie o mojej matce. Usłyszałam już dość. Wystarczy.

Tylko jak się pozbyć tej baby z mieszkania? Przecież nie mogła jej wyrzucić, nie wypadało też prosić o interwencję pannę Adamską. A zatem ciotka ponownie była górą. Opanowana, pełna niechęci i wzdargy, panowała nad tą rozmową. Na wspólny wyjazd syna i siostrzenicy nie miała jednak wpływu, w tej kwestii była bezsilna i pełna obaw, i to dodało Kindze pewności siebie. Ciotka mogła obrażać ją i ubliżać pamięci zmarłej siostry, ale to wszystko było przecież do zniesienia. W końcu i tak sobie pójdzie i więcej się nie zobaczą.

– Zaczęła z nim romansować niedługo po ogłoszeniu naszych zaręczyn – odezwała się wreszcie Burgiewiczowa. Nie podnosiła głosu, ale i bez tego brzmiał on twardo, oschle, nieprzyjemnie. – Bez wątpienia była to inicjatywa Stefana, ale to jej nie usprawiedliwiało. Mogła i powinna była się powstrzymać, nie dopuścić, by romans się rozwijał. I od razu dać mu do zrozumienia, że nic z tego nie będzie. Wiedziała, że złożył mi obietnicę. A mimo to postąpiła inaczej. Jak wiele innych, pozbawionych charakteru i elementarnych zasad moralnych, kobiet.

Kinga siedziała niewzruszona, starając się wytrzymać surowe, krytyczne spojrzenie ciotki. Nie miała wątpliwości, że wypowiadając ostatnie zdanie, Burgiewiczowa miała na myśli nie tylko swoją siostrę i inne, mniej lub bardziej anonimowe kobiety bez charakteru. Wśród nich była także ona, jednak nie podjęła tej rękawicy. Trudno, powtarzała sobie jak mantrę, sama jej dałam broń do ręki. Ale wyrzuci z siebie to wszystko i sobie pójdzie. I już nigdy więcej...

– Słabo się z tym kryła – kontynuowała Maria. – A on nawet nie próbował udawać, jak się sprawy mają. – Głos jej niebezpiecznie zadrżał,

odezwały się w nim dawna gorycz i ból, ale zapanowała nad nim. Nie chciała się rozkleić, nie przy tej dziewczynie, która przecież... – W końcu sam mi wyznał... Powiedział, że chce być wobec mnie uczciwy. Uczciwy – powtórzyła z nieskrywaną wzdrganiem. – Bredził, że zaręczyny to jeszcze nie kontrakt ślubny. Nazywał małżeństwo kontraktem... – Uczyniła taki gest, jakby chciała podnieść się i przejść po pokoju, ale i nad tym odruchem zapanowała. – Mówił, że to się zdarza tysiącom ludzi na świecie... Liczył na moją wspaniałomyślność. Twierdził, że z pewnością znajdę jeszcze swoje szczęście. Co za bzdury! Przecież już zdecydowałam, z kim chcę spędzić życie. Dlatego nie chciałam dalej słuchać. Powiedziałam o wszystkim mojemu ojcu i matce Stefana. Ojciec, biedaczysko, nie stanął na wysokości zadania. Klara była jego ulubienicą, więc choć przyjmował do wiadomości moje argumenty, nie potrafił zdobyć się wobec niej na stanowczość. Ale za to mogłam liczyć na przyszłą teściową. Bardzo mnie lubiła. I tak jak ja uważała, że obietnic należy dotrzymywać, a słowa nie wolno łamać. Powiedziała mi, że Klara nie jest kobietą, która zapewni mu spokojną życiową przystań, i miała rację. Twoja matka była bardzo niedojrzałą dziewczyną, przy której z pewnością nie miałby możliwości zrobienia kariery, bo musiałby się stale nią opiekować. A namiętność i tak przecież prędzej czy później wygaśnie. I co zostanie, jeśli oprócz niej nie ma niczego, co spajałoby dwoje ludzi? – Na moment umilkła, nie znaczyło to jednak, by czekała na odpowiedź lub jakąkolwiek inną reakcję Kingi. – Stefan słuchał matki – podjęła po chwili. – Miała silną osobowość i mężczyźni niemal jedli jej z ręki, w tym jej własny syn. – Po twarzy Burgiewiczowej przemknął słaby uśmiech. Zarazem jednak taki, w którym nie było nawet cienia ironii i wzdrgania, a jedynie szczerzy podziw i sympatia.

Słuchając jej, Kinga nie mogła wyjść ze zdumienia, że ciotka była gotowa walczyć o małżeństwo z mężczyzną, który poślubiłby ją wyłącznie ze strachu

czy też ulegając perswazjom swojej matki. Ta zresztą, jak się miało okazać, także w pewnym sensie okazała się bezradna.

– A jednak w tej konkretnej sprawie nie chciał jej ustąpić – kontynuowała teraz ponurym tonem doktorowa, a uśmiech zniknął jej z twarzy. – Przemogłam się więc i zwróciłam się bezpośrednio do Klary. Choć początkowo obiecywałam sobie, że nie odezwę się do niej słowem. Zrobiłam to jednak... Ale nie prosiłam, nie błagałam. Zażądałam, a ona od razu dała mi słowo, że to skończy. Że nie stanie na drodze mojemu szczęściu. W ogóle się nie broniła i nie tłumaczyła. Po prostu obiecała.

– I dotrzymała słowa – wtrąciła Kinga, uznawszy, że czas najwyższy, aby to teraz uczynić. – A nawet wyjechała, by poślubić mojego ojca. Ale nim także ciocia pogardzała. – Nie mogła odmówić sobie tej pełnej żalu wymówki.

Burgiewiczowa skinęła głową i zapatrzyła się na stojący na stole wazon, lecz jej spojrzenie było odległe, pełne wspomnień.

– Tak było – rzekła powoli. – Całymi latami byłam pewna, że Klara po prostu uwikłała się w kolejny romans i skandal. Że Stefan szybko wywietrzył jej z głowy, bo była jak wiatr. Przy nikim i niczym nie potrafiła się na dłużej zatrzymać. I upłynęło dużo czasu, zanim wreszcie odkryłam prawdę. Zanim dowiedziałam się, co skłoniło ją do małżeństwa z tym aktorem. Stefan nie dawał za wygraną, więc uciekła do tamtego. Brzmi to jak tanie, szmatławce romansidło, jakich pełno na świecie, ale w naszej rodzinie naprawdę coś takiego się wydarzyło. Gdy to do mnie dotarło, zaczęłam nawet współczuć twojemu ojcu. Był tylko kolejnym mężczyzną, który oszalał na punkcie tej kocietki, a w rezultacie odegrał jedynie rolę tarczy, za którą się ukryła.

W pierwszym odruchu Kinga chciała zaprotestować, ale przypomniawszy sobie opowieść Amelii, dała spokój. Zresztą zaintrygowało ją teraz co innego.

– Kiedy ciocia się o tym dowiedziała? – spytała, pamiętając, że jako dziecko miała okazję słuchać zdecydowanie negatywnych opinii ciotki na temat swojego ojca. Drugorzędny aktorzyzna – tak najczęściej go nazywała. W którymś momencie przestała o nim mówić, a Kinga nie próbowała prowokować jej do wspomnień. I dopiero teraz, w świetle tego, co właśnie usłyszała, gdy poznała wreszcie przyczynę, postanowiła zadać to pytanie. Kiedy ciotka dowiedziała się prawdziwych powodów, dla których Klara poślubiła Leona. Przecież i ona, Kinga, dopiero niedawno je poznała.

– Kiedy przeczytałam jej listy do Stefana – odparła oschle Maria.

– Listy? – Kinga patrzyła na nią oszołomiona.

Czyżby chodziło o te listy, które umierający wuj wskazał Zbyszkowi? Te same, dzięki którym ona i Zbyszek poznali prawdę? Przecież to miała być tajemnica, której wuj strzegł jak oka w głowie. Jak widać zupełnie mu się to nie udało. Słowa jego żony w pełni to potwierdziły.

– Tak, listy. Te, które przeczytał potem Zbyszek. Czyżby ci ich nie pokazał? – Burgiewiczowa najwyraźniej napawała się wyrazem osłupienia na twarzy dziewczyny. Nie uśmiechała się jednak radośnie, wręcz przeciwnie. Na jej twarzy nie było widać ani odrobiny zadowolenia. – Po śmierci Stefana odkryłam, że szuflada, w której tak pieczołowicie je przechowywał, jest pusta. Ale i tak zdążyłam się wcześniej zapoznać z ich treścią. Zawsze podejrzewałam, że nie zdobył się, by je zniszczyć, że muszą gdzieś być. Jako lekarz czy naukowiec był bardzo dokładny, uważny, skrupulatny. Ale w życiu prywatnym bywał często roztargniony, nieobecny duchem. Na konspiratora z pewnością się nie nadawał.

– Kiedy je przeczytałaś? – Poniewczasie Kinga zdała sobie sprawę, że zwróciła się do ciotki w tak samo bezpośredni sposób jak do Amelii, ale Burgiewiczowej chyba to nie przeszkadzało. W każdym razie nie sprawiała takiego wrażenia.

– Kilkanaście lat temu. Wkrótce po śmierci jego matki, był wtedy zaaferowany zbyt wieloma sprawami, by za każdym razem pamiętać o zamykaniu na klucz swoich szuflad i ukrytych tam pamiątek. Otworzyłam szufladę, znalazłam je, przejrzałam i ... odłożyłam na miejsce. Pomyślałam: co za żałosne, niesmaczne wynurzenia. Pomijając już zwykłą nieostrożność, to jak w ogóle można coś takiego przechowywać... Niczym jakąś relikwię. Nie dałam mu jednak poznać, że odkryłam jego cenny skarb. Może gdyby ona jeszcze żyła, ale tak... – Machnęła lekceważąco dłonią, jednak w wyrazie jej twarzy było coś takiego, co kazało wątpić, by naprawdę odczuwała jedynie pogardę dla męża i swojej zmarłej siostry. – A potem, gdy po jego śmierci zauważyłam, że listy zniknęły, zrozumiałam, że zdążył powiedzieć o nich Zbyszkowi – kontynuowała oschle. – Wolał skompromitować się przed własnym synem niż dopuścić, żeby wpadły w moje ręce. Żałosny głupiec! Bardzo dobrze, pomyślałam, niech się chłopak dowie, i to w dodatku z pierwszej ręki. Niech pozna, jaki naprawdę był jego ojciec. Mnie by pewnie nie uwierzył. Nie miałam też nic przeciwko temu, aby i tobie je pokazał.

– No cóż – mruknęła nieco oszołomiona Kinga. – Nie mylisz się, ciociu. Rzeczywiście, poznałam treść tych listów.

– Jeśli o mnie chodzi, zawsze uważałam, że podobną korespondencję należy od razu niszczyć zamiast traktować jak relikwię – skrzywiła się Burgiewiczowa. – Przechowywanie jej latami, a nawet do samej śmierci, jest ryzykiem, nigdy nie wiadomo, kiedy i w czyje ręce wpadnie, ale na ogół zawsze nie w te, co trzeba, i nie w porę. Nauczyłam się tego od mojego ojca, który bazując na smutnych doświadczeniach swoich rodziców, zawsze jak żrenicy oka pilnował swoich rachunków i innych dokumentów, ale niszczył prywatne listy.

Kinga westchnęła.



– Tak czy inaczej, to już przeszłość. – Starła się teraz mówić spokojnie, niemal pojednawczo. – Rozumiem, że to cię wtedy bolało, ale... Moja matka się przecież wycofała, zeszła ci z drogi, zniknęła z waszego życia. A także z mojego... – dodała już ciszej.

– Klara nigdy nie zniknęła z naszego życia. – Burgiewiczowa niemal weszła jej w słowo. – Jestem pewna, że po śmierci twojego ojca... wznowili romans. Choć nie wykluczam, że i wcześniej coś było na rzeczy. Ta nagła śmierć Leona... Wszedł prosto pod rozpędzony powóz. Świadkowie twierdzili, że sprawiał przedtem wrażenie roztargnionego, bardzo czymś zaaferowanego.

– Nigdy w to nie uwierzę. – Kinga zerwała się na równe nogi. Czują, że skronie jej pulsują, że krew niemal zagotowała się w jej żyłach. – Odkąd sięgnę pamięcią, ciocia zawsze wszystkich podejrzewała...

– I nie przypominam sobie, bym się kiedykolwiek pomyliła. A już na pewno nie w kwestiach dotyczących mojej rodziny. Bo tu instynkt nigdy mnie nie zawiódł – odparła doktorowa, a jej lodowate, ostre spojrzenie sprawiło, że Kinga ponownie spurpurowiała i usiadła.

Cisza, jaka teraz zapadła, dosłownie dzwoniła w uszach, ale dziewczyna nie ośmieliła się jej przerwać, a Burgiewiczowa sprawiała wrażenie, jakby zbierała się do kolejnego ataku. I być może do zadania decydującego ciosu.

– Po śmierci Leona mój mąż przynajmniej kilka razy ją odwiedził, choć mówił mi, że jeździ do Krakowa jedynie w celach naukowych, na sympozja i konferencje. – Jej twarz wykrzywił przykry grymas. – Sympozja i konferencje – powtórzyła z ironią. – Do tego wszystkiego miał mnie za idiotkę, która nie potrafi myśleć i kojarzyć prostych faktów. Zwłaszcza że dotarła do mnie informacja, że widziano ich tam razem. Gdy mu o tym powiedziałam, jedynie uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami. A potem zaczął kpić, że zamiast go śledzić bądź opłacać informatorów, lepiej

bym zrobiła, gdybym także odwiedziła swoją siostrę. Zwłaszcza że zdiagnozowano u niej nieuleczalną chorobę. Wtedy nie wytrzymałam. Jak śmiał mówić do mnie w taki sposób?! I do tego stawiać mi takie zarzuty! On – mnie! „A może mi jeszcze oświadczysz, że to ty dokonałeś tej diagnozy? – krzyknęłam. – Bo jestem pewna, że bardzo dokładnie ją przebadasz”. Wtedy odparł, że jest mu obojętne, co o nim myślę i co zamierzam w tej sprawie zrobić.

– Ciociu... – wtrąciła bezradnie Kinga, ale nie miała pojęcia, co miałaby dalej powiedzieć. Wszelkie pytania, dociekania, tłumaczenia, przekonywania jedynie pogorszyłyby sytuację.

– No i te listy... Fakt, że je zachował, mówi jednak sam za siebie – mruknęła ciotka, a potem utkwiała w siostrzenicy baczne, przejmujące spojrzenie. – Nie mówiłam o tym nikomu – rzekła twardym, niemal urzędowym tonem. – Z tobą także nie miałam zamiaru o tym rozmawiać. Ale sytuacja się zmieniła.

– Ciociu, ja... – zaczęła Kinga, ale ponownie umilkła. Zresztą Burgiewiczowa i tak nie zamierzała dopuścić jej teraz do głosu.

– Wiem, dlaczego postanowiłaś wyjechać z moim synem. Robisz to z tego samego powodu, co kiedyś Klara. Nie zaprzeczaj, nie czas teraz na tłumaczenia i wymówki. Dobrze, że będziesz daleko stąd. Gorzej, że w towarzystwie Zbyszka. Ale zapamiętaj sobie: nie chcę, aby mój syn powielił los Leona Niwińskiego. Mam nadzieję, że dobrze mnie zrozumiałaś.

## ROZDZIAŁ 18

Reszta wieczoru minęła jak we śnie. Nawet gdy ciotka już sobie poszła, Kinga nie odzyskała humoru, a optymizm, jakiego nabrała po wcześniejszej wizycie Zbyszka, ponownie legł w gruzach.

– Gdybym wiedziała, że odwiedziny pani Burgiewiczowej tak wytrącą cię z równowagi, nie wpuściłabym jej do mieszkania – zażartowała w pewnym momencie Adamska. Obie wiedziały, że za nic nie pozwoliłaby sobie na taką nieuprzejmość. – Miałam nadzieję, że może coś sobie wyjaśnicie – dodała już poważniejszym tonem.

– Że się pojednamy? – podchwyciła Kinga, uśmiechając się przy tym ze smętną ironią.

– No, może nie aż tak. – Adamska także się uśmiechnęła. Ponownie starała się żartować, jakby to miało poprawić nastrój. – Aż taką optymistką to nawet ja nie jestem. Ale nieraz wystarczy samo wyjaśnienie. Łatwiej się wtedy pożegnać.

– Tak – odparła Kinga. Podniosła się, by ze stojącego w rogu stolika przynieść karafkę wody. – Można powiedzieć, że wyjaśniła mi parę spraw.

– Ale widzę, że to tylko pogorszyło sprawę – westchnęła panna Adamska.

– Nie wiem. – Kinga upiła łyk wody. – Mam pustkę w głowie. – Popatrzyła ze smutkiem na Adamską. – Moje stosunki z ciotką były tak złe, że chyba nic już nie mogłoby ich pogorszyć. Ale zepsuła nam obu, to znaczy

mnie i pani, nasz pożegnalny wieczór. To akurat nie ulega najmniejszej wątpliwości.

– Sobie samej z pewnością także go zepsuła – odparła z werwą Adamska. – Nie widziałam na jej twarzy zadowolenia ani triumfu. Ale my obie nie pozwolimy sobie przecież niczego zepsuć. Zostaw tę zimną wodę. Zapraszam cię na gorącą czekoladę i placek ze śliwkami. To odgoni twoje smutki, jakie by tam one nie były.

– Pewnie tak – rzekła Kinga bez większego przekonania. – Ale... – Zawahała się. – Wolałabym nie wychodzić z domu.

– Wcale nie proponuję wyjścia do miasta – odpowiedziała wesoło Adamska. – Co ty sobie wyobrażasz, moja panno, że mam dość pieniędzy, by przehulać je w cukierniach i kawiarniach? Będziemy się raczyć w domu, to ci powinno wystarczyć.

– Przecież nie umie pani piec ciast – zauważyła żartobliwie Kinga. Uznała, że powinna jednak spróbować wyjść naprzeciw wysiłkom nauczycielki, by poprawić nastrój. Poza tym uwaga była jak najbardziej słuszna; Adamska przy wszystkich swoich zaletach nie miała pojęcia o gotowaniu i bynajmniej nie garnęła się, by to zmienić.

– Gorącą czekoladę potrafię przygotować – odparła pozornie obruszona nauczycielka, ale jej oczy śmiały się wesoło. – A o ciasto zadbała stróżowa. Anioł, nie kobieta. Powinna otworzyć cukiernię, z pewnością zbiłaby na tym majątek.

– Kiedyś pani wyjaśnię, dlaczego zdecydowałam się opuścić kraj – przerwała jej Kinga. – Napiszę, gdy tylko nabiorę do tego dystansu, poukładam sobie w głowie...

– Nie musisz. – Adamska łagodnie uścisnęła jej dłoń. – Naprawdę nie trzeba.

– Dziękuję. – Kinga odwzajemniła uścisk.

Przypomniała sobie, że przed laty, gdy zdecydowała się wyjechać do Krakowa, też podziękowała Adamskiej za dobro i zrozumienie, które u niej znalazła. I nie miała wątpliwości, że nauczycielka także pamiętała tamto pożegnanie. Teraz jednak chodziło o coś więcej i obie miały tego świadomość.

Adamska nie odprowadziła jej na dworzec. Pożegnały się w domu, Kinga o to poprosiła, a nauczycielka nie robiła z tego problemu. Stróż i jego synowie pod komendą Zbyszka wynieśli jej bagaże do czekającej na dole dorożki, a one dwie trzymały się w objęciach, dopóki kuzyn nie przyszedł i nie oznajmił, że czas już jechać na stację. Kinga zapłaciła i podziękowała stróżowi – Zbyszek chciał ją w tym wyręczyć, ale stanowczo się sprzeciwiła – po czym, nie odwracając się, wsiadła do dorożki. W tłumie ludzi na dworcu nie zauważyła nikogo znajomego, nikt też nie przyszedł, aby ich pożegnać. Bagażowi natychmiast zajęli się kuframi, a oni bez żadnej zwłoki zajęli miejsca w wagonie. I dopiero gdy pociąg ruszył z miejsca, Kinga poczuła bolesny ucisk w gardle, a łzy nabiegły jej do oczu. Nie od razu dotarły do niej słowa Zbyszka, nie tylko dlatego, że wypowiedział je bardzo cicho. Drgnęła dopiero wtedy, gdy pogłaskał jej dłoń – zrobił to bowiem inaczej niż kiedykolwiek wcześniej.

„Wyjeżdżam z moim ciotecznym bratem” – przypomniała sobie własne słowa, wypowiedziane wczorajszego wieczoru.

„I mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz” – w jej uszach wciąż brzmiała odpowiedź ciotki.

Uśmiechnęła się niepewnie i ostrożnie wysunęła rękę z uścisku Zbyszka. Natychmiast napotkała jego przyjazny wzrok.

– Nie bój się – powiedział tonem, który zapewne miał ją uspokoić. – Wszystko będzie dobrze. Wszystko się jeszcze ułoży. Zobaczysz.

Skinęła potakująco głową, choć w tym momencie wcale nie była pewna,

czy ta zapowiedź się sprawdzi.

\*\*\*

Ostatni wagon już dawno zniknął za horyzontem, peron opustoszał, a Aleksander wciąż stał nieruchomo i wpatrywał się w dal. Tłum ludzi, który jeszcze kwadrans temu otaczał go ze wszystkich stron, rozpiechł się na różne strony. Na miejscu zostało tylko kilka osób, które, podobnie jak on, tkwiły w bezruchu, jakby nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Od czasu do czasu podchwytywał zdumione, a niekiedy rozdrażnione spojrzenia przechodzących kolejarzy, tragarzy i zawiadowcy; ci zawsze mieli jakąś robotę do wykonania, toteż fakt, że ktoś stał beczynn timer, gapiąc się przed siebie, irytował ich w najwyższym stopniu. Sam wiedział, że powinien już odejść. Na dobrą sprawę w ogóle nie powinno go tu być. W szpitalu czekali na niego chorzy, potem miał zaplanowanych kilka konsultacji w gabinecie. A wieczorem... Na samą myśl o wieczornym powrocie do domu wzdrygnął się na całym ciele. Najchętniej zostałby w szpitalu na noc, i gdyby tylko zaproponował któremukolwiek koledze, że zastąpi go do rana, każdy rzuciłby mu się na szyję z radości. Ale uznał, że jednak tego nie zrobi. Wróci do domu. Wytrzyma spojrzenia tej żalosernej kobiety, z którą kiedyś nieopatrznie się związał. Zastanawiał się, czy Klementyna wydusi wreszcie z siebie to, co w jej przekonaniu było dla niego tajemnicą. Czekala z tym, aż Kinga wyjedzie. Czy to znaczy, że teraz wykrzesze z siebie choć odrobinę energii i determinacji? Bardzo w to wątpił. Jak mógł być takim głupcem, że wcześniej, przed laty nie dostrzegał, jaka była naprawdę? Bojaźliwa, niezaradna, niezdecydowana, zupełnie bez ikry. Kompletnie nijaka. To znaczy nie tyle nawet nie dostrzegał, co tłumaczył to sobie po swojemu, w każdym razie nie tak, jak powinien. Iluż rozczarowań by sobie wówczas zaoszczędził, zresztą nie tylko sobie, bo także jej.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że zatrzęsł się na całym ciele. Było cholernie zimno, w ostatnich dniach w ogóle nie zwracał uwagi na pogodę, ale teraz jakby wracał do rzeczywistości. Gdy znajdował się już nieopodal swojej kamienicy, odruchowo podniósł wzrok ku rozświetlonym oknom na pierwszym piętrze. A zatem Klementyna wróciła już z dziećmi do domu. Zauważył, że ostatnimi czasy jakby rzadziej bywała u matki, ale nie dochodził przyczyn tego stanu rzeczy. Co najwyżej obawiał się, czy teraz, dla odmiany, teściowa nie zacznie częściej bywać u nich, ale jak dotąd i tego nie zaobserwował. Oczywiście mogła przychodzić wówczas, gdy nie było go w domu, ale w takim razie Klementyna z pewnością by mu o tym powiedziała. Na ogół mówiła mu o wszystkim. Na ogół, bo jednak tej ostatniej wiadomości mu nie przekazała. Ile jeszcze spraw przemilczała?

I nagle, zupełnie niepodziewanie uświadomił sobie, że właściwie nie jest tego ciekaw. Nic go to nie obchodzi. Czy poinformuje go o czymś, czy nie – jakie to ma znaczenie? Również o pobycie Kingi w Warszawie, a także o jej wyjeździe do Paryża. Właściwie to nawet lepiej, że dowiedział się o tym w inny sposób, oczywiście przez czysty przypadek. Na dobrą sprawę każdy sposób był lepszy od rozmowy z Klementyną. Na każdy temat, a już zwłaszcza na ten. Niech więc nadal milczy. Zniesie nawet te jej błagalne, wystraszone spojrzenia sarny schwytej w sidła. Byle tylko nie zaczęła mówić o Kindze.

Z niechęcią wszedł do kamienicy, a kolejne stopnie schodów pokonywał najwolniej, jak to możliwe. Skinieniem głowy odpowiedział na powitanie służącej, ale zaledwie zdążył zdjąć płaszcz i kapelusz, przypadły do niego dzieci, które z krzykiem wybiegły mu na spotkanie. Przygarnął je do siebie z czułością, były przecież nie tylko najważniejszą, ale wręcz jedyną przyczyną, dla której wracał do tego domu.

Krzyś z każdym rokiem stawał się coraz bardziej podobny do dziadka

Burgiewiczza i do Zbyszka. Dla odmiany rezolutna Anetka przypominała mu trochę jego matkę, ale jeszcze częściej... Kingę. Dobrze, że nie odziedziczyły prawie żadnych cech po swoich rodzicach, w każdym razie Aleksander gotów był dziękować za to Bogu.

Wiedział, że teściowa uważała wnuki za nieokrzesane wisusy. Nie znaczyło to, że ich nie kochała – Aleksander wiedział, że po swojemu była do nich bardzo przywiązana – niemniej na każdym kroku dawała do zrozumienia, że dzieciom przydałoby się więcej dyscypliny, właściwie jakiegokolwiek dyscypliny, bowiem robiły, co chciały, i nie potrafiły zachować się w towarzystwie.

W głębi ducha był nawet skłonny przyznać babie rację, i może, gdyby mniej działała mu na nerwy i nie przypominała stale, jak jej zdaniem należałoby wychowywać Krzysia i Anetkę, sam zacząłby wdrażać jakieś rygory, choć oczywiście bez przesady. Utemperowanie dzieci nie musiało przecież oznaczać zupełnego odebrania im swobody. Teściowa drażniła go jednak coraz bardziej i dlatego z czystej przekory – zaprawionej, przyznawał to, złośliwością – odrzucał jej rady i uwagi, perorując przy tym, że wedle najnowocześniejszej myśli pedagogicznej nie powinno się limitować żywiołowości i temperamentu dziecka. Z satysfakcją potem patrzył, jak wiała się w bezsilnej pasji, bo zdawała sobie sprawę, że jest wobec niego zupełnie bezradna.

Przy okazji z politowaniem obserwował panikę na twarzy żony, choć przecież zdawał sobie sprawę, że powinien być jej raczej współczuć. Chciała, biduła, zadowolić wszystkich, pogodzić ze sobą to, czego pogodzić się nie dało. Pragnęła szczęścia i świętego spokoju, nie pojmując, że to niemożliwe. Nie w ich sytuacji. Powinien był jej żałować, lecz... nie potrafił. Drażniła go bowiem nie mniej niż jej matka, choć inaczej. I z nieco innych powodów.

– Dobrze, że już wróciłeś – usłyszał jej cichy głos, a gdy, wyściskawszy



dzieci, wyprostował się, natychmiast rzucił mu się w oczy wyraz załęknięcia na jej twarzy.

– Jak się miewasz? – spytał od niechcienia.

– Zaraz siadamy do kolacji.

Nie spodobał mu się pełen pokory ton jej głosu. Wolałby otwarte wymówki, nawet awanturę – cóż, skoro Klementyna nigdy się do nich nie uciekała. A to znacznie utrudniało mu sprawę.

Podczas kolacji większość jego uwagi była skupiona na dzieciach. Jak zwykle bardzo żywiołowych, rozgadanych, najwyraźniej szczęśliwych, że wrócił do domu wcześniej niż zazwyczaj i zasiadł z nimi do stołu. W takich sytuacjach zawsze czuł wyrzuty sumienia, że poświęcał im tak mało czasu. Oczywiście nie był pod tym względem wyjątkiem wśród ojców, jednak nie próbował szukać dla siebie usprawiedliwienia. W jego przypadku częste nieobecności nie były spowodowane szukaniem wesołego towarzystwa, które urozmaicałoby mu codzienną nudę. Najchętniej w ogóle nie wracałby do tego domu, ale wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na tak drastyczny krok. Właśnie ze względu na uśmiechnięte twarzyczki syna i córki. Oboje niczego jeszcze nie rozumieli. Niewykluczone, że w przyszłości – o ile to i owo do nich dotrze, a raczej tak będzie – także nie zrozumieją, i może nawet go potępiają. Na razie jednak go kochały, bezwarunkowo i bez żadnych zastrzeżeń. I fakt ten stanowił dla niego ogromną pociechę.

Starał się unikać spłoszonych, sarnich spojrzeń żony, jednak nie zawsze było to możliwe. Ona też go kochała, oczywiście tak, jak umiała i według tego, jak pojmowała miłość, w jakimś sensie także bezwarunkowo i bez zastrzeżeń; a zatem i wobec niej powinien także odczuwać jakieś wyrzuty sumienia – lecz tak nie było. Zapewne nie świadczyło to o nim najlepiej, ale nie mógł zaprzeczać i tym oczywistym faktom. Miał za to coraz większą nadzieję, że Klementyna nie zdobędzie się na żadną poważną rozmowę, że

daruje mu łzawe wyznania. To by znaczyło, że po kolacji będzie mógł się wreszcie zamknąć w swoim gabinecie. Tak jak przed laty robił to jego świętej pamięci teść.

Jak się jednak okazało, Klementyna była zdeterminowana, by pomówić z nim na osobności. A przynajmniej podjąć próbę takiej rozmowy. Bo gdy tylko dzieci zaczęły nalegać, by im poczytał lub opowiedział jakąś historię, ich matka zaskakująco kategorycznym tonem oddała je pod opiekę niani. Teraz ja muszę o czymś pomówić z waszym papą, rzekła.

Zarówno Krzyś, jak i Anetka z wielkimi oporami przyjmowali podobne zarządzenia, jak i wszelkie inne próby narzucenia im czegośkolwiek. Jak zatem należało się tego spodziewać, także i teraz oboje głośno i zdecydowanie wyrazili swoje niezadowolenie, a ustąpili dopiero wtedy, gdy ojciec obiecał im, że potem jeszcze do nich zajrzy.

Gdy Jankiewiczowie zostali wreszcie sami, na dłuższą chwilę zapadła głucha cisza. Aleksander nie zamierzał pierwszy jej przerywać, leniwie sięgnął po cygaro i zapatrzył się na wiszący nad komodą obraz. Kątem oka obserwował jednak żonę. Widział, jak zaciskała dłonie, jak na przemian bladła i czerwieniła się, jak szukała odpowiednich słów, bo te, które wcześniej sobie przygotowała, zawieruszyły się gdzieś w jej pamięci albo nagle wydały się zupełnie nieodpowiednie. Taka właśnie była, odkąd ją pamiętał. Ale też taka właśnie mu się kiedyś – dawno temu – spodobała, choć już sam nie potrafił powiedzieć czemu. Tak jednak było, a świadomość tego sprawiła, że postanowił jednak przerwać coraz bardziej nieznośne milczenie.

– Chciałaś mi coś powiedzieć... – zaczął spokojnie.

– Tak. – Ponownie zbladła i zaraz się zaczerwieniła. – Tak... – powtórzyła niepewnie. – Unikasz mnie, prawie ze sobą nie przebywamy. Nie rozmawiamy... O niczym.

No cóż, taka była prawda, nie mógł zaprzeczyć i nie zamierzał tego robić.

Dlatego tylko wzruszył ramionami.

– A zatem słucham. O czym chciałabyś rozmawiać? – odparł tonem niezachęcającym do dalszych wynurzeń.

Klementyna wyglądała teraz jak człowiek, który planuje zanurzyć się w lodowatej wodzie, a nawet jest już na to zdecydowany, a jednak myśl o podobnym wyczynie wywołuje w nim drgawki. Mogła się jeszcze wycofać, w tym momencie Jankiewicz był niemal pewien, że to zrobi, ona jednak zdobyła się na odwagę.

– Należą mi się jakieś względy od ciebie, nie uważasz? – oświadczyła już znacznie pewniejszym tonem. Jakby ta lodowata woda ją otrzeźwiła; najtrudniejszy był pierwszy krok, cała reszta poszła już łatwiej.

No pięknie, zakpił w duchu. Mama Burgiewiczowa musiała włożyć niemało trudu w przygotowanie córki do takiego wystąpienia. W to, by Klementyna sama z siebie ułożyła podobny tekst, nie bardzo chciało mu się wierzyć.

– A jakie konkretnie względy masz na myśli? – spytał uprzejmie, zastanawiając się, czy żona zdobędzie się na odpowiedź i na to, by wypomnieć mu na przykład osobną sypialnię.

Pytanie ją rozgniewało, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

– Ona wyjechała – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Wyjechała na zawsze. Bo to trzeba było wreszcie skończyć. Ona to zrozumiała... Czas, abyś i ty przyjął to do wiadomości.

Nie spodziewał się, że żona wyrazi to w tak jednoznaczny sposób, bez mglistych, enigmatycznych porównań, bez bawienia się w półsłówka, bez owijania w bawełnę. I w dodatku tak zdecydowanym – jak na nią – tonem. Najchętniej zareagowałby teraz w taki sam sposób – o niczym innym nie marzył – ale postanowił trzymać nerwy na wodzy. Pozwolił sobie jednak na uśmiech: zimny, drwiący, nieprzyjazny.

– Doprawdy? – rzucił niby od niechcienia.

Widział, że zagotowała się z pasji. Musiał przyznać, że do tej pory nie oglądał jej takiej. A zatem, wbrew jego przypuszczeniom, nie różniła się tak bardzo od innych kobiet.

– Nigdy jej już nie zobaczysz! Nigdy, rozumiesz?!

Powolnym ruchem zgniótł niedopałek cygara w popielniczce i sięgnął po następne. Nigdy nie palił dużo, ale trudno. Skoro i tak wszystko diabli wzięli.

– Nie byłbym tego taki pewien – zauważył drwiąco. – Wyjechała przecież z twoim bratem. A zatem, tak czy owak, wszystko zostaje w rodzinie.

W pierwszej chwili myślał, że Klementyna rzuci się na niego z pięściami, ale tak się nie stało. Jedynie zaciskała dłoń.

– Jak śmiesz – wydusiła. – Takie podłe insynuacje...

– Różnie bywa – odparł lekko, jakby ta sprawa naprawdę przestała mieć dla niego znaczenie.

Ponownie zapadła cisza, którą tym razem przerwała żona.

– W jaki sposób się o tym dowiedziałeś? O tym, że wyjechali... razem? – spytała drżącym głosem. Przecież nie od Zbyszka; brat obiecał jej, że przy pożegnaniu ze szwagrem nie powie mu o Kindze, i choć nie miała wątpliwości, że cała ta konspiracja zupełnie mu nie odpowiadała, była jednocześnie pewna, że dotrzymał słowa. A zatem... – Ona ci powiedziała. Napisała do ciebie albo znowu się spotkaliście – wyrzuciła z siebie jednym tchem. Innego wytłumaczenia nie znajdowała.

– Nie – przerwał jej ostro, kategorycznie. Cała ta sytuacja przypominała mu w tej chwili nie tyle tragifarsę, co wręcz groteskę, która wywoływała w nim niesmak. – Nie ona i od razu uprzedzam twoje pytanie, że także nie twój brat. Choć właśnie wczoraj, gdy życzyłem mu szczęśliwej podróży, odniosłem wrażenie, że czuł się jak ostatni idiota. Wymogłaś na nim milczenie, ale rola spiskowca zupełnie do niego nie pasuje. Ma na to zbyt

otwartą naturę.

– A zatem... skąd wiedziałeś?

– A jakie ma to teraz znaczenie? – Ponownie wzruszył ramionami. – Ważne, że masz to z głowy, prawda?

– Widziałeś się z nią – stwierdziła z pełnym przekonaniem.

– Powtarzam, że nie – odparł, czując, że wbrew wcześniejszym postanowieniom, by nie dać po sobie niczego poznać, ogarnia go jednak coraz większa irytacja. – Nie zaproponowałem jej spotkania. Nie chciałem jej niepokoić i narażać na dodatkowe przykrości. Te, których zaznała od ciebie i twojej matki, wystarczą jej już na resztę życia.

Klementyna drgnęła jak po uderzeniu. Odniósł wrażenie, jakby w tym momencie jej duża, okrągła twarz nagle się skurczyła i wydłużyła.

– Nie chciałeś jej niepokoić – powtórzyła głucho. – Tylko ona się liczyła... Zawsze ona...

Nie zaprzeczył. Nie mógł się nawet zdobyć na rzucenie jakiegokolwiek litościwego słowa. Nie dziś, gdy wciąż miał przed oczami znikający na horyzoncie pociąg.

– A co będzie z nami? – podniosła nagle głos. – Z naszym małżeństwem? Z naszą rodziną?

Najchętniej znowu wzruszyłby ramionami, ale nie mógł przecież raz po raz powtarzać tego samego gestu. Przez chwilę się zastanawiał, po czym zdecydował, że i tym razem wyrazi to wprost, otwarcie, bez żadnych niedomówień.

– A co ma być? – odparł. – Będzie tak jak do tej pory. Czego się spodziewałaś? Chyba że zdecydowałaś się na separację. Jeśli tak, nie będę stawiał żadnych przeszkód. – Wyprostował się, podniósł i sztywno uklonił. – A teraz, gdy już to sobie wyjaśniliśmy, pozwól, że pójde i poczytam trochę w gabinecie.

Klementyna wpatrywała się w niego nieruchomym, a zarazem pełnym przerażenia wzrokiem, zbyt oszołomiona, by zdobyć się na jakąkolwiek inną reakcję. Wiedziała jednak – oboje to wiedzieli – że nie zdecyduje się na takie rozwiązanie, o którym wspomniał Aleksander. Mimowolnie pomyślała o ojcu – przypomniała sobie, jak opuszczał salon, jadalnię i znikał za drzwiami swojego pokoju, odprowadzany pełnym goryczy i bezsilnego gniewu spojrzeniem żony. I nie miała najmniejszej wątpliwości, że w tym momencie na jej własnej twarzy malował się dokładnie ten sam wyraz, co niegdyś na twarzy jej matki.

# SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

## Karta redakcyjna



*Owoce zatrutego drzewa. Tom II*

ISBN: 978-83-8219-866-9

© Agnieszka Janiszewska i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Cyrulik Wioletta

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Agata Wawryniuk



**Wydawnictwo Zaczytani należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek